

X

W WALCE O POLSKĘ NIEPODLEGŁĄ



NAPISAŁ ALEKSY RZEŃSKI

Dar
do zasobów
magazynowych
dla

Miejskiej Biblioteki nr 1

w ŁSŁZI

№ 1410

22/X 1947

418 44
A203.
ALEKSY RZEWSKI. *Julian* Ks 15
14.2.
Dobry

W WALCE
Z TRÓJZABORCAMI
O POLSKĘ NIEPODLEGŁĄ

18603
WSPOMNIENIA

- 1931 -



ŁÓDŹ
WYDAWNICTWO KSIĘGARNI ŁÓDZKIEJ „CZYTAJ”
1931.

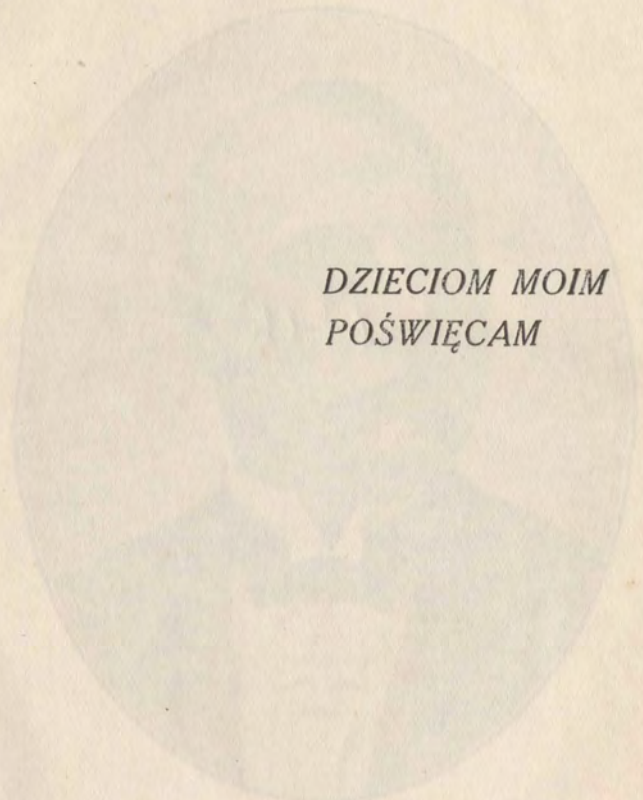
21

M.B.
im.
L. W.
w
Łodzi



W DZIAŁACH WYDZIAŁU KRAJOWEGO

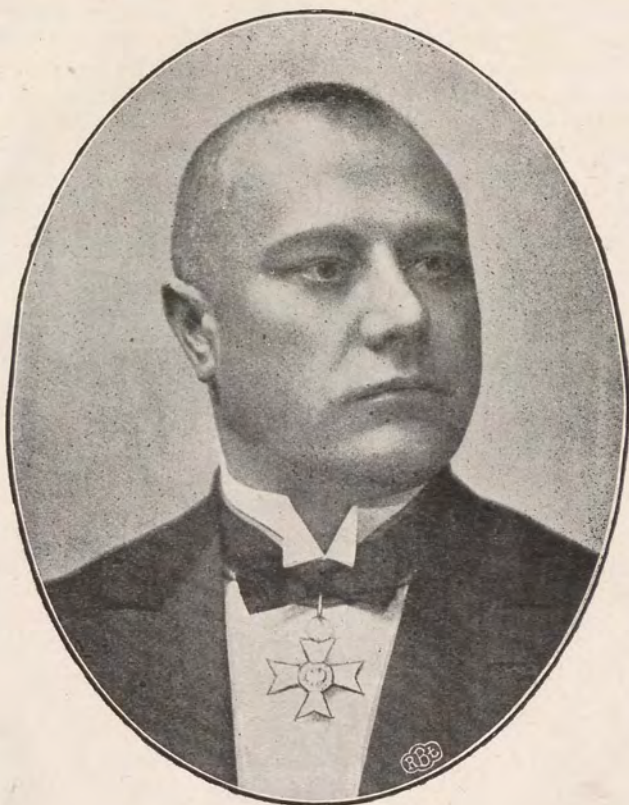
*Wydanie pierwsze
rok 6 1910. Strona*



**DZIECIOM MOIM
POŚWIĘCAM**

ALEKSY RZEWSKI

J. W. S. Wysz
samemu i parawania
Lub 6 VII 1935. Autor



ALEKSY RZEWSKI.

PRZEDMOWA.

Klasyfikując rodzaje psychiki ludzkiej ze stanowiska jej stosunku do świata zewnętrznego, wyodrębnić należy dwa zasadnicze typy: czynny i bierny. Klasyfikacja ta przez swą jednostronność nie ogarnia wszelkich możliwości psychicznych, cech charakterystycznych, wydatnych, składających się na powstanie indywidualności. Posiada jednakże wartość praktyczną dla celów wychowawczych i wobec zadań krytyki, w tych szczególnie warunkach, gdy przeżycia, doświadczenia autora są wyrazem określonego środowiska społecznego, ich treść obiektywna świadczy, iż ma się do czynienia z jednostką wybitnie uzdolnioną i społeczną. Zbiór szkiców i opowiadań pióra A. Rzewskiego, obecnego starosty łódzkiego, bojownika wolności, publicysty, działacza samorządowego i państwowego, skupiające bezpośrednio Jego przeżycia w okresie trzech dziesiątków lat, stanowią cenny przyczynek do historii ruchu rewolucyjno-niepodległościowego w ujarzmionej Polsce; są one dziś dużej wartości dokumentem psychologicznym, jako wyraz psychiki czynnej, organicznie związanej ze środowiskiem robotniczym, które wytworzyło zbiorowym wysiłkiem ideologję polityczną, niepodległościową.

Głęboka obserwacja społecznego życia w niepodległej Polsce wskazuje, w jakim stopniu warunki niewoli politycznej, system rządu i wychowania młodzieży upośledził, przytłumił w psychice ogółu zdolności czynne. Rozpatrując z tego stanowiska współczesne życie Polski, ujawniające w wielu dziedzinach wielkie braki, znaczne niedomagania, wynikające z braku odpowiednich usprawnień, z niedojrzałości społecznej stwierdza się, że istotny tragizm narodu tkwił w systematycznym tłumieniu, tępieniu zdolności czynnych, twórczych, co w zbiorowości narodowej wytwarzało specjalny typ psychiki, umysłowo uwstecznionej, biernej w stosunku do konkretnych zadań życia społecznego, strukturalnie niezdolnej do świadomych, celowych wysiłków zbiorowych.

Odczuwał głęboko St. Wyspiański ten tragizm psychiki zbiorowej, niezdolnej do tworzenia własnej historii, szczególnie — groźny w górnej warstwie, zagrażający bytowi narodu. Głęboko wnikał w jego przyczyny St. Brzozowski.

A. Rzewski w swych szkicach i opowiadaniach odtwarza po mistrzowsku to środowisko, gdzie wykuwała się i hartowała się wola zbiorowa, gdzie zrodziła się mocarna idea—czyn.

W wielotyśięcznych łódzkich masach robotniczych, oddawanych na łaskę i nie łaskę, najczęściej obcego kapitalisty, okupujących każdy przejaw poczucia narodowego, żądzę, wiedzy, dojrzewającej świadomości społecznej—knutem, przetrącaniem kości w cyrkułach policyjnych i w żandarmskich norach śledczych, więzieniem i katogą, w tych masach zrodziła się i rozwijała idea rewolucyjno-niepodległościowa, organizująca rzesze. Partja nie była wówczas pełnym złobem, lecz źródłem romantycznego entuzjazmu i twardą szkołą życia, szkołą charakteru, gdzie odwaga przekonań, nieustraszone męstwo, zdolność osobistego poświęcenia się dla sprawy, dla przyjaciela, wielkoduszne zamiłowanie do ryzyka — stanowiły elementarne cechy żołnierza walki o niepodległość.

W tych masach robotniczych była ostoja moralna czynu zbiorowego, walki zbrojnej. Z tej szkoły wyszli: Okrzeja, Montwił-Mirecki, Baron, Szulman Kopiaś, Antoni Kmiecik, któremu A. Rzewski poświęca w swym zbiorze piękne i serdeczne wspomnienie, i wielu innych rycerzy pracy i ducha.

Z terminu tej ciężkiej szkoły o najwyższych wartościach wychowawczych wyszedł i Arciszewski, którego sylwetę kreśląc, nieomal jak sprawozdawca, lapidarnie, lakonicznie, bez frazeologii literackiej, wyciosał pewną ręką, z twardej bryły robociarskiego żywota, postać o rysach granitowych, wyraźnie bohaterskich. Uczniem wiernej tej szkoły jest również A. Rzewski. Na tem polega trwała i wielka wartość Jego szkiców i opowiadań. Wzruszające, pełne dramatycznego napięcia i uroku są szczególnie przygody autora na wygnaniu syberyjskiem.

Książka ta winna się znaleźć na półkach czytelni robotniczych, zarówno jak w księgozbiorach dla użytku dorastającej młodzieży, jako lektura o wartościach wychowawczych, dająca przykład hartownego ducha w walce z trójzaborcami; przemawiająca do młodzieńczej wrażliwości prostą mową serca, wrażliwego na krzywdę i niedolę ludzką, przejętego głęboką wiarą w zwycięstwo Dobra na ziemi.

WŁADYSŁAW GACKI.

Łódź, kwiecień 1930 r.

W WALCE Z CARATEM.

MOTTO:

O wy, kwiaty, z wiosennej oczekiwań łąki,
Wicher rwał wam korony i łamał łodygi,
Mróz zwarzył białym szronem nierozkwitłe pąki —
Wyście nie odstąpiły zwartej światła ligi!
Ciebie, wiotka, boleśnie wrażliwa, Mimozo,
Co rzuciłaś twe ciche, melodyjne śnienia,
Poszłaś w burzę, by poić się jej krwawą zgrozą,
Poszłaś pomagać dziełu walki i zniszczenia!..
Z wirydarza Idee zerwane, o kwiaty,
Biorę was wszystkie w korne mej miłości dłonie,
Splatam w wian wasze biele, fiolety, szkarłaty,
I wian precudny kładę na Przyszłości skronie. —

SAVITRI.

PRZERWANA PIEŚŃ

(Rok 1907).

„Zamieszkacie z Marią w specjalnie wynajętem dla Was mieszkaniu. Otrzymacie nielegalne dokumenty, jako małżonkowie Czarneccy. Będziecie gospodarzami składnicy bibuły partyjnej. Trwać to będzie dwa miesiące, a potem zlikwidujemy mieszkanie i inna para Was zastąpi na nowem mieszkaniu. Mam nadzieję, „Przeboju“, że będziecie się tak zachowywać wobec Marii, że nie dacie powodu ani do sądu partyjnego, ani do wyrzucenia Was z partji za czyny nieetyczne.“

— Za kogo wy mnie macie? — Odrzekłem z wyrzutem.

— Nie posądzam Was o nic, ale wiem, że mężczyzna, przebywając przez dłuższy czas sam na sam z kobietą, zapomina nieraz o obowiązkach

i bardzo często zwierzęciem się staje. Wiem to z życia. Niejednemu kula browninga wytłumaczyła dokumentnie jaka istnieje różnica pomiędzy człowiekiem, a zwierzęciem!...

Zraził mnie ten suchy, rozkazujący i szorstki ton ob. „Tytusa“. Odrzekłem rozżalony, że mam inne obowiązki, możeby więc partja wyszukała innego, godniejszego partyjnika, któremu nie będzie potrzeba grozić kulą browninga.

„Tytus“ był jednak nieugięty. Tłumaczył, groził, prosił, a kiedy doszedł do wniosku, że trwam dalej w uporze, wyjął polecenie na piśmie egzekutywy, Łódzkiego komitetu PPS., polecające zastosowanie się natychmiastowe do wskazówek „Tytusa“.

Nazajutrz przedstawiono mnie Marji.

Była to brunetka żywa, ognista i energiczna, lat około dwudziestu, studentka uniwersytetu krakowskiego.

Spojrzała na mnie dosyć obojętnie, jak na przedmiot jakiś, lub kosz bibuły, wypowiedziała kilka konwencjonalnych zdań z zapewnieniem, że miło jej będzie przebywać w towarzystwie człowieka, który zajmuje czołowe miejsce w ruchu rewolucyjnym w Łodzi, a w „Łodzianinie“ pisze ładne wiersze.

Zaczerwieniłem się po uszy. Byłem tak onieśmielony i zażenowany jej pewnością siebie, brawurą i energją, że ledwo mogłem wypowiedzieć drżącym głosem słowo: „Dziękuję!“

Nazajutrz przenieśli moje manatki do nowego locum. Pokoik umeblowany na czwartym piętrze, skromny, pełen słońca i światła. Parawanik odgradzał łóżko „Marji“ od pozostałej części

mieszkania. W tym samym dniu przyszedł transport bibuły z Warszawy. Nazajutrz wieczorem zaczęły się schodzić „technikarki“. Każda z nich przychodziła do pokoju szczuplutka, a wychodziła już jako niewiasta o bardzo korpulentnych kształtach. Za parawanikiem, każda z „dromaderek“ opinała agrafkami całą suknię odezwaniami, wkładała ją potem na siebie i doręczała transport kolporterowi dzielnicowemu. W taki sposób transportowano broń i pociski. Kobiety oddawały nieocenione usługi ruchowi rewolucyjnemu, ale były wypadki nieraz tragiczne, kiedy do czynności partyjnej wtrąciło się serce, a potem miłość, rozczarowanie, zemsta, mściwość a nieraz nawet denuncjacja. Były to jednak wypadki nader rzadkie i w masowym ruchu kobiet – ofiarńiczek ilość takich wypadków była minimalna. Centralne bibuły były dość dobrze zakonspirowane, natomiast punkty kolportażu dzielnicowego mniej.

W pierwszy, drugi i trzeci dzień zachowałem się jak trusia. Przyrzekłem sobie, że odpowiadać będę tylko na pytania. „Marja“ milczała jednak uparcie. Widocznie nie pragnie mojej rozmowy pomyślałem i milczałem również jak zakłęty.

Obserwowałem dosyć szczegółowo zachowywanie się Marji. Udawała tylko znudzoną i zobojętniałą na wszystko, w oczach jej jednak tliły się błyski płomienne, które stwierdzały u mojej niby – żony, wybuchowy i żywiołowy charakter. Zauważyłem po kilku dniach, że Marja odżywia się źle. Rano ciasteczka, wieczorem czekoladki, obiad jadła w restauracji; mieszkanie nasze było zaniedbane, z tego widać było, że gospodarstwem i porządkami nie zajmowała się widocznie nigdy. Postanowiłem więc sprowadzić maszynkę spirytusową, czajnik do

herbaty, szklanki, cukierniczkę i zająć się sam gospodarstwem. Nie znosiłem nieładu i cygarety. Kazałem stróżce przewietrzyć pokój, wyszorować podłogę, uporządkować mieszkanie, założyć czyste firanki. Sprowadziłem dwa wazoniki i przyniosłem dużo białych róż i innych kwiatów. Cieszyłem się myślą, że mogę w ten sposób zrobić „Marji“ przyjemność. Żałowałem jej, że przerwała studia krakowskie, że haruje w orce partyjnej od świtu do wieczora, że nie ma nikogo z bliskich w Łodzi, że jest samotna i przygnębiona... Zdawałem sobie sprawę, że oprócz pracy partyjnej, każdy musi mieć odpowiednią atmosferę duchową, bliskich, którzy podsycają w nim ten boży znicz idei, gorejący w ludzkim sercu.

Zwykle wieczorem, gdy przybywały „technikarki“, ulatniałem się dyskretnie z mieszkania.

* * *

Przybyłem tego dnia o godzinę później, niż zwykle. Przemiana, jaką zauważyłem w zachowaniu się Marji, była kolosalna: usta, zwykle zaciśnięte, rozchylała z miłym uśmiechem, oczy rozradowane patrzyły na mnie z dobrocią i radością. Zagotowałem herbatę, rozłożyłem na stole przyniesione zapasy i poraz pierwszy tego wieczoru popłynęła rozmowa szczerą i serdeczną...

O czym śmy wtedy nie rozmawiali... literatura, filozofja, przyroda, ekonomja społeczna, polityka, przyszłość Polski. Przeskakivaliśmy lekko z tematu na temat, odkrywając ze zdziwieniem wspólne zainteresowania i upodobania.

Marja odnosiła się do mieszkania z coraz większym przywiązaniem. Wyczuwałem, że tęskni

za rozmową, za herbatką przyrządzaną przeze mnie, że mnie bada ostrożnie i obserwuje.

Zachowywałem się, w myśl danego słowa bez zarzutu... Serdecznie zapytywałem się o jej troski, co jeszcze bardziej wzbudzało u Marji zaufanie do mnie. Opowiadała mi o ciężkich borykaniach z losem: Ojciec urzędnik państwowy w Małopolsce, nie mógł jej pomagać jak należało. Od siódmej klasy idzie o własnych siłach przez życie, zarabiając na dalsze kształcenie korepetycjami. Poznała ze szkoły bojowej w roku 1906 instruktora bojówki, „Wiesława“, który zachęcił ją do pracy dla ludu i Polski Niepodległej. Rzuciła się w wir pracy i walki. Rodzice wierzą, że wyjechała do Królestwa przygotowywać dzieci ziemiańskie do matury... „Niech się ludzą, bo dzieli mnie od nich cały świat pojęć i myśli. Idę ku nowym światom, pociągają mnie spiżowe hasła walki zbrojnej z najazdem. Duszę się w tej atmosferze skrajnego legitymizmu, tromtadracji galicyjskiej, jałowości, jednostajności, lizusostwa i obkurantyzmu..“ – rzekła w zamyśleniu.

W rozmowach tych wychylała się dusza Marji, zdolna do poświęcenia się na stosie ofiarnym, łaknąca piękna, sprawiedliwości i prawdy, o rozległej skali ideowej, pełna wiary w Jutro, a jednak smutna i boleśnie nieraz zadumana...

Ujmowała rzewnością i odczuciem niedoli ludzkiej. Wykwint duszy i rzewliwość wypowiedziała w swoich skargach na zawody życiowe, na gorycz, którą już w latach dziecięcych pić musiała z pełnej kruży...

Zacząłem się przyzwyczajając do „przybranej żony“ i nie miałem urazy za to, że mnie w pierwszych dniach nieco lekceważyła...

Nieraz po całodziennej pracy pełnej niebezpieczeństw, była jak rozelkany wichurą wieczór jesienny: smutna lub rozdrażniona...

* * *

Dnie płynęły szybko i bez troski. Zbliżały się chwile rozstania... Obawiałem się, że już nie będę mógł żyć sam zdala od „Marji“, że jak księżyc naokoło ziemi, tak myśl moja krążyć będzie naokoło pięknej, rozumnej, ideowej i dzielnej niewiasty...

Przedostatni wieczór chciałem spędzić jak najuroczyściej: uamilem mieszkanie kwiatami, sprowadziłem dużo ciastek, owoców i słodyczy. Wina ani trunków nie piliśmy. Marja była abstynentką, ja również byłem jednym z założycieli towarzystwa abstynenckiego w Łodzi. Doznawałem tego wieczoru jakiegoś nieokreślonego lęku, byłem zdenerwowany i roztargniony... Marja w ślicznej sukience była promieniejąca, wesoła i rozmowna. Mówiła mi, że muszę się przenieść do Krakowa zdać maturę, wstąpić na uniwersytet. Przy pomocy organizacji wystara się dla mnie o jaką pracę, która umożliwi mi dalsze kształcenie się.

Ja mówiłem jej po raz pierwszy o jej oczach, o ustach, o duszy pięknej, o tem wszystkim, czego nigdy w rozmowach dotychczas nie poruszałem.

Usiadła przy mnie blisko, blisko... Oparła głowę na ramieniu, a z ust jej popłynęły słowa, które były dla mnie jakoby objawieniem nowej nieznannej prawdy, niezwyklej jakimś odkryciem. Jej ciemne oczy, przesłonięte mgłą rozrzewnienia, patrzyły na mnie serdecznie i miłośnie... Z zachwytem obserwowałem piękny profil twarzy

i z przejściem niezwykłym złożyłem pierwszy, lękliwy pocałunek na jej czole. Bezładne myśli wirowały mi w mózgu, upajałem się zapachem jej włosów, a dusza rozskrzydlona upojeniem błogosławiła tę chwilę czystą, jasną i promienną...

– Słyszysz, Marjo, jak serce bije?

...dla Ciebie.

– Słyszę...

I nagle jak gwałtowny dysonans w harmonii tonów, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Listonosz.

– Z czym?

– Telegram.

Myśleliśmy, że to napewno policja carska, która w podobny sposób wzywała zwykle „podejrzanych“ gospodarzy mieszkania do otwarcia drzwi. Usuwać dowodów winy nie mogliśmy, bo w mieszkaniu było kilka pudów bibuły nielegalnej. Otwieram drzwi, dygocąc jak w febrze, a tu, istotnie, wchodzi listonosz. Telegram z Krakowa na nazwisko nielegalnej mej niby żony, Czarneckiej.

– „Matka umierająca, przyjeżdżaj natychmiast. – Ojciec“.

Nastrój zapanował grobowy, przerywany tylko łkaniem Mariji, której twarzyczka pod wpływem wrażenia zastygła, jakby wykuta z kamienia. Powiało na nas lodem... Uczucie nasze przytłoczył ciężki kamień hiobowej wieści... Czar przysł...

Rozchodziły się nasze drogi życiowe...

Szczęście uciekało za góry, za rzeki jak złudzenie, jak cudna bajka...

Po chwili „Marja“ gotowa do drogi z paszportem zagranicznym, już na właściwe nazwisko, (który zdobyła jeszcze przedtem ze względu na konieczne transporty książek i bibuły krakowskiej), żegnała się ze mną na zawsze...

* * *

Po kilku miesiącach zostałem aresztowany, a potem wysłany na Sybir i nigdy już więcej nie otrzymałem wiadomości o losie Marji. Przypomniały mi się wtedy słowa Nietzschego z Zaratustry: „że wiele gorzkiego zamierania musi być w twórczym życiu. Nie jedno pożegnanie przeżyć musiałem i znam rozdzierające serca ostatnie godziny. Lecz tak chce ma wola twórcza, dola moja... Ty, duszy mojej zrządzenie, które przeznaczeniem zowią! Ty, we mnie będące! Ty, nade mną!“...

NA BARYKADACH ŁODZI

ROK 1905 W HISTORJI WALK Z CARATEM. —
BARYKADY NA WIDZEWIE. — ATAK KOZAKÓW.

Nareszcie po długich, tajonych, w głębi serca oczekiwanych, po kilku latach działalności konspiracyjnej, podczas której wchłaniałem chciwie nielegalne książki, przemycane z Krakowa — opowieści i dzieje męczeńskie bojowników niepodległości — rozgorzała walka na barykadach w Łodzi w czerwcu 1905 r.

Bruki ulic zaczerwieniła krew żołdaków carskich

Za napad kozactwa i krwawą masakrę bezbronnego tłumu manifestantów przy ul. Piotrkowskiej zawrzała protestem Łódź robotnicza.

Od samego rana zawyły żałobne bucзки i świstawki fabryczne, masy pracujące wyległy tłumnie na ulice, gęste patrole wojskowe i policyjne z bronią gotową do strzału, przeciągały ulicami miasta.

Ludność pałała zemstą i żądzą odwetu.

Do pierwszego starcia z żołdactwem doszło na Widzewie.

Kilkuset robotników z żerdziami, wyrwanymi z parkanów, ruszyło w brawurowym ataku na oddział kozacki, który, zostawiwszy dwóch ciężko rannych kozaków na miejscu, pierzchnął w panielnym popłochu.

Ażeby uchronić się od karnej ekspedycji na Widzew, zbudowano z nabytych pak bawełnianych barykady. Środek ten i zwycięstwo widzewiaków zostało z entuzjazmem przyjęte przez ogół robotniczy i w ciągu dwóch godzin, jak grzyby po deszczu, powstawały, prawie, że na każdej ulicy, barykady. Najczynniejszy udział w budowie barykad (tak jak na całym świecie) brali chłopcy, pełno ich było wszędzie; z brawurową wprost pogardą śmierci wdrapywali się na dachy domów i kamienic, spychając na wojsko i kozaków balje napełnione kamieniami.

Na ulicach Wschodniej, Widzewskiej, Rzgowskiej, Piotrkowskiej i Krótkiej ukamienowano w ten sposób kilkunastu kozaków.

Żołdactwo mściło się i schwytyanych robotników na ulicy rozstrzeliwało lub zakłówało bagnetami. W ciągu dwóch dni raniono i zabito przeszło tysiąc osób.

Masowe rozbijanie i rabowanie sklepów przez rozbestwione żołdactwo powtarzało się codziennie. Spiskowo-bojowa organizacja P.P.S., której byłem członkiem, miała za zadanie ująć całą akcję masową w zorganizowane ramy i prowadzić prawidłową walkę o charakterze partyzanckim.

Zbudowaliśmy pod kierunkiem instruktora, byłego oficera rosyjskiego, kilka barykad wzorowych, wedle wszelkich zasad saperskich. Wyrwaliśmy na pewnej przestrzeni bruk, kamienie usunęliśmy zupełnie i wykopaliśmy szaniec ze stosownym nasypem, który był doskonałą osłoną. Wyloty barykad znajdowały się ukośnie w bramach domów, skąd w razie przewagi „nieprzyjaciela“ można się było wycofać bez strat na sąsiednie podwórza.

Służbę sanitarną zorganizowaliśmy w okolicznych domach. Barykada taka, zbudowana w formie trójkąta na skrzyżowaniu ulic, umożliwiła wygodne ostrzeliwanie atakujących.

Podobnych szańców zbudowaliśmy osiem.

Jedna z najsilniejszych barykad była na Władzowie. Naczelnikiem obrony tej dzielnicy był Praski.

Trzykrotnie odparto tutaj atak kozaków.

Wieczorem wszystkie „piątki“ zbierały się w konspiracyjnym mieszkaniu, ażeby zdać służbowy raport lub uzupełnić przetrzebione oddziały nowymi szeregowcami.

W drugim dniu walki komendant naszego oddziału został raniony w rękę, wobec czego kierownictwo „piątką“ zostało mi powierzone w zastępstwie.

Dla mnie, rozegzaltowanego młodzieńca, był to zaszczyt nielada. Wydałem stosowne rozkazy i oczekiwałem lada chwila „nieprzyjaciela“. Załoga barykady składała się z dziesięciu towarzyszy; uzbrojona była w trzy karabiny, zdobyte wraz z ładownicami na kozakach, trzy rewolwery systemu „Nagana“; reszta obrońców posiadała długie piki. Na pobliskich kamienicach trzypiętrowych chłopcy, napelniwszy balje i beczki kamieniami, oczekiwali spokojnie trąbki sygnałowej.

Myśl, że za chwilę będę mógł zmierzyć się z tymi, którzy nas gnębią, mordują i okradają, nastroiła mnie mściwie i wojowniczo.

Zwróciłem się do kolegów z przemową, w której rzekłem, że mamy zaszczyt walczyć po raz pierwszy o wolność i niepodległość z odwiecznym wrogiem naszym – caratem!

Bojowe okrzyki współtowarzyszy były mi odpowiedzią i jasnym dowodem, że wszyscy tak

jak i ja odczuwają potrzebę walki z najezdniczym żołdactwem.

Po chwili tętent cwałujących koni dał się słyszeć coraz silniej i u wylotu ulicy ukazał się oddział kozaków, pędzących galopem na naszą barykadę. „Cel!“ „Pal!“ wrzasnąłem jednocześnie. Z domów po obu stronach ulicy jak grad zaczęły spadać kamienie. Czterech kozaków zwałiło się z koni, reszta w panicznym przestraszeniu rzuciła się do ucieczki.

Jednego z ranionych kozaków koń przywlókł prawie do samej barykady.

„Przec z caratem!“ rozległo się wśród naszej rozentuzjasmowanej wiary. Kilku kolegów, strzelając, puściło się w pogoń za kozakami. Od zabitych odpasaliśmy ładownice i zabraliśmy karabiny. Dobiliśmy konia, który raniony w brzuch, rządził ciężko.

Jeden z kozaków, ranny kamieniem w głowę, podczas odpasywania mu ładownicy, w mniemaniu, że chcemy go dobić, zaczął formalnie wycze z strachu. Aczkolwiek bestjałskie czyny kozackie i setki bezbronnych zabitych dyktowały nam zemstę, to jednak czuliśmy, że dobiecie go byłoby czynem niegodnym żołnierza rewolucji. Wciągnęliśmy go do bramy i opatrzyliśmy mu zranioną ciężko rękę i głowę. Kozak spoglądał z niedowierzaniem na nas, nareszcie ryknął nieludzkim głosem: „Spasibo, rewolucjonierzy poljaki, za żizn!...“ i usiłował całować nas po rękach.

Starski, który nazajutrz poległ od kuli kozackiej, odrzekł z godnością: „Pomnij, kozak, czto poljak, borjuszczyjsia za swobodu, nie warwar, a czelowiek!“ (Pamiętaj, kozacze, że polak, walczący o wolność nie jest barbarzyńcą, lecz człowiekiem).

M.B.

im.

L. W.

w

MOTTO
Łodzi

Więzienia mu wzmocniały siły,
Sybirską hartowała dal,
Wyszedł z nich człowiek z jednej bryły
Mocny, hartowny, jako stal.

Drwiąc z carskich katów, grózb i pałek
Poświęcił sprawie żywot swój,
Z nieliczną garstką wielki śmiałek
Z caratem wszedł w śmiertelny bój.

A. ORŁOWSKI.

WSPOMNIENIA O KOMENDANCIE.

34082 Było to w roku 1906. W partji P. P. S. ścierały się i zwalczały zaciekle dwie strony: Pierwsza na czele z Wydziałem Bojowym i jego szefem ob. „Mieczysławem“ (Piłsudskim) reprezentowała kierunek narodowy i niepodległościowy, propagujący konieczność walki zbrojnej z najeźdźcami, druga, z Sachsem na czele, stała na stanowisku federacji z Rosją rewolucyjną, odrzucała konieczność walki zbrojnej, wychodząc z założenia, że walka z żołnierzami rosyjskimi, którzy ochraniali policję, opóźnia obalenie caratu, prowokuje garnizony rosyjskie do walki z rewolucjonistami i uniemożliwia uświadamianie żołnierzy przy pomocy odezw, odsuwając zupełnie możliwość przeciągnięcia ich na stronę rewolucji w Polsce.

Na konferencjach przedjazdowych w Łodzi dyskutowano zawzięcie. Obyw. Golde (późniejsza komunistka) oraz kierownicy roboty partyjnej w Łodzi: „Prosper“, „Kiejstut“ i „Vera“ zobowiązali

mnie, ażebym na zjeździe we Lwowie głosował przeciw „awanturnictwu“ obywatela „Mieczysława“. Wydział Bojowy dążył wtedy do ubojowienia całej organizacji, lewica partii jednak przeciwdziałała tym usiłowaniom, obawiając się zwiększenia wpływów prawicy na członków partii.

Tak dawniej jak i dziś obawiano się dyktatury, militaryzacji, karności i żelaznej dyscypliny ludzi silnych, jaką wprowadzał Wydział Bojowy do rozgadanej, naszpikowanej frazesami i nadziejami na samoczynną rewolucję organizacji.

Po raz pierwszy z dwoma delegatami łódzkimi wyruszyliśmy za fałszywymi połpaskami do Krakowa, a potem do Lwowa. Dwudniowy pobyt w Krakowie wzmógł we mnie sentyment, nastroje narodowe i patriotyczne. Wawel, Sukiennice, pamiątki przeszłości owiały mnie czarem minionych wieków, a każdy budynek, każda ulica wołała do mojej duszy potężnym wołaniem: „Bądź przede wszystkim polakiem, miłującym swoją ziemię i to wszystko, co kształtowało naszą duszę, odwagę i dumę narodową“.

Przeobrażenia podobne przejawily się również w umysłach i przekonaniach moich kolegów, budząc jednocześnie krytycyzm do argumentów lewicy.

Na zjeździe, jak na zjeździe, powstały aż trzy frakcje, a mianowicie: prawica, lewica i centrum. Oczekiwano największego ataku lewicy przy sprawozdaniu z Wydziału Bojowego, które składał ob. „Mieczysław“ (Piłsudski). Początkowo mówił spokojnie, rozwijając plan stopniowych prac przygotowawczych Wydziału Bojowego w okresie sprawozdawczym; następnie jednak kiedy nakreślił system walki czynnej, destrukcyjnej, w stosunku do najeźdźców, kiedy wspominał, że P. P. S.

przejęła po 1863 roku spadek walki bezwzględnej o Niepodległość, że nietylko problemy socjalne winny być wysuwane na czoło zagadnień partyjnych, nietylko kwestja prowadzenia ogólnej rosyjskiej rewolucji, ale przede wszystkim umiejętność wykorzystania zamieszek, celem oderwania się od Rosji. Po przemówieniu zerwała się taka burza oklasków, że „lewica“ zrozumiała, że taktykę zwalczania bojówki należy zmienić, a ataki na Piłsudskiego osłabić, a to tembardziej, że roboczarze Warszawy, Sosnowca i Łodzi przewalili się gremjalnie na stronę prawicy. Sprawiała to nietylko siła argumentów wodza organizacji bojowej, lecz i niezwykła moc i czar przekonywania, który bił z całej postaci ob. „Mieczysława“ wtedy, kiedy mówił o Polsce i walce zbrojnej. Niewidzialna nić sympatji mocarna i silna skuła nasze dusze i kazała iść ślepo za nim do walki, na śmierć lub zwycięstwo.

I tak, jak ongiś zwyciężył doktrynerstwo ludzi małej wiary, tak samo zwyciężyć musi tych, którzy stają wpoprzek jego dążeniom do zbudowania Polski mocarnej i silnej. Zresztą już niejednokrotnie sprawdziło się przysłowie: „że z Józefem jest walczyć niezdrowo“.

PAMIĄTKI PO PIŁSUDSKIM W ŁODZI.

DRUKARNIA „ROBOTNIKA“ PRZY
UL. WSCHODNIEJ.

Łódź niema wielkich tradycji, ani pamiątek historycznych. Powstała naprzekór warunkom geograficznym i handlowym. Posiada jednak tradycje walki barykadowej z caratem, w czerwcu 1905 roku, oraz swoich męczenników i bohaterów wolności.

Rozwój przemysłu był jednocześnie narodzinami nowej klasy proletarijuszki, którym przypadł zaszczyt rozpoczęcia walki z najazdem w okresie popowstaniowym. Do tej klasy, niemającej nic do stracenia a do uzyskania wiele, zwracali się najgorętsi patrioci polscy, podtrzymując zapalający się płomień iredenty w sercach polskich. Dla tych żywiołów, niepodległość Polski była głównym celem programu, a socjalizm środkiem tylko. Nie był to jednak Walenrodizm ideowy, ale konieczność stopniowania uczuciowego nastrojów walki wpływającej z naszej psychiki narodowej i przeszłości. Socjalizm w sojuszu z dążeniami niepodległościowymi pogłębił i rozszerzył ideologię, sięgającą, w głąb duszy nietylko jednej klasy, ale całego narodu.

Partja „Proletariat“, która propagowała wyłącznie tylko walkę klas i rewolucję socjalną, nie wytrzymała naporu przeciwności, po kilku ciosach ze strony caratu nie pozostało z niej ani wśród robotników, ani z ideologii – śladu nawet. Żyła wyłącznie doktryną, oderwaną od pnia narodowego i jego bytu i upaść musiała, choćby nie było ani represji, ani caratu.

To było przyczyną, że Piłsudski „romantyk co do planów, pozytywista co do środków“ wstąpił do P. P. S.

Talentem organizacyjnym umiał Piłsudski rozplomieniać serca ludzkie, wskazując im cel, godny najwyższego wysiłku i poświęcenia. Nie zrażał się niczem, szedł wytrwale z żelazną konsekwencją, poprzez trudy i znoje.

Łódź jest dumna z faktu, że w tym pamiętnym okresie była terenem pracy konspiracyjnej naszego Wodza i Wielkiego Budowniczego Polski.

Kierownictwo pisma „Robotnik“ powierzono Józefowi Piłsudskiemu i Aleksandrowi Sulkiwiczowi.

Dnia 12 lipca 1894 roku, pojawia się pierwszy numer „Robotnika“.

Był to przełomowy moment w dziejach ruchu rewolucyjnego w b. zaborze rosyjskim.

„Robotnik“ głosił konieczność przygotowania narodu do walki orężnej o niepodległość Polski, występował przeciw ugodzie i gniciu w niewoli.

Drukarnia „Robotnika“ mieściła się początkowo w Lipnikach a potem w Wilnie. W roku 1896 przeniesiono drukarnię „Robotnika“ do Łodzi. Drukarnia mieściła się przy ul. Wschodniej Nr. 19, w dzielnicy żydowskiej naszego miasta. Dzięki prostemu przypadkowi wykryła żandarmerja

drukarnię łódzką „Robotnika“. Maszyna stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie z pierwszą stroną 36 numeru na swej ramie, gdy w noc lutową wpadli żandarmi, chwytając „Wiktora“ na gorącym uczynku pracy drukarskiej.

O tym fakcie w zapiskach żandarmerji łódzkiej znajdujemy następującą wzmiankę:

„W naczalje 1900 – błagodarja zamieczatjelno energiczieskoj, umieloj djejatjelnosti gubernskago żandarmskago naczalnika, połkownika Ł.K. Uthofa i podwiedomstwiennych jemu czynow, a także dołżnomu sodjejstwiju im pri rozyskach so storony czynow policji – iz rjadow socjalno-rewolucjonnoj partji wyrwano nieskolko jarych agitatorów, djejstwowawszich w gubernii, a kromie tego obnaruzżen i zachwaczen w gorodie Łodzi, w domie Nr. 19, kw. 4 po Wschodniej ulice, u prożiwajuszczago u niej pod familiej Dombrowskago niekojego Piłsudskago, tipografskij stanok z nabrannym na niem Nr. 36 socjalisticzewskago żurnała „Robotnik“, a pri etom i mnogo broszur rewolucjonnago charaktera“.

— — — — —
Dnia 23/X. 1920 r. wręczałem w Belwederze wespół z prezesem Rady Miejskiej A. Remiszewskim dyplom obywatelstwa honorowego Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu.

Jednym z motywów nadania był fakt Jego pracy konspiracyjnej w Łodzi. Na pięknie wykonanym kartonie figuruje następujący napis:

„W czasie, kiedy naród Polski, skuty w kajdany niewoli, był obdzierany z wszelkich mu praw należnych, pracował w mieście naszym człowiek, co poprzysiągł kajdany te zerwać, budził on sumienie narodu, wzniesając bunt przeciw najeźdźcom, aż schwytyany przez sługi carskie, w domu

przy ul. Wschodniej, pod Nr. 19, został oderwany od swej umiłowanej pracy. Miasto nasze dumne, że było polem ofiarnej walki Józefa Piłsudskiego, wyraża wielkiemu Bojownikowi o wolność, przez usta swych przedstawicieli Rady Miejskiej i Magistratu, hołd, ofiarując Mu obywatelstwo honorowe“.

— — — — —
Cóż więcej ludność naszego miasta może dodać do tych słów prostych, a szczerych, które wyrażają jej uczucia, wdzięczność i miłość do osoby Komendanta, który jest błyskawicą dla naszej epoki. Niesie On w sobie prądy przestrzeni i czasu i stanowi ich przekątną. Obleka nasze dążenia, marzenia, tęsknoty i bóle w stali czyn. Tkwi w nim utajona siła potencjonalna i czar sugestji. Cechuje Go niezłomna wola, pewność i wiara w siebie, w swoją gwiazdę przewodnią.

Uroczystość imieninowa Józefa Piłsudskiego jest pocieszającym dowodem, że w Zmartwychwstałej Ojczyźnie umiemy cenić wielkie zasługi i że czyn podjęty w imię zbawienia ojczyzny znajduje oddźwięk w tysiącach polskich serc patriotycznych.

Z WALK KAINOWYCH ŁODZI.

Łódź robotnicza posiada swoje czarne karty, a są niemi walki bratobójcze. Z mroków piwnicznych, z ciemnoty, z posiewu nienawiści i fanatyzmu partyjnego, który stwarzał zacieklej sekciarzy z robotników, zrodziła się ohydna zbrodnia bratobójcza. Brat na brata polował, jak na zwierzę, skradał się pod osłoną nocy i mordował nieraz z lubością, z błyskiem radości w oczach. Wspólna niedola ich gniotła, a jednak klasa robotnicza rozbiła się wtedy na dwa dyszące nienawiścią obozy nieprzyjacielskie.

Jedni uważali to za obowiązek wobec „rewolucji“, drudzy za nakaz „narodowy“.

Pachołkowie carscy zacierali ręce i podsycali zabójcze zarzewie, rozdmuchując tlejące się już iskry.

Nieraz podczas pogrzebów zabitych przysięgano na jednym grobie krwawy odwet „socjałom“, a o miedzę dalej, na drugim, – tak nazywanym „huliganom“. I zdawało się, że nie skończy się ta orgja nienawiści, że miłość bliźniego i hasło braterstwa wydziedziczonych, odrzucone zostały na zawsze. Dzieci traciły ojców, żony mężów, siostry braci, a dzienniki łódzkie codziennie publikowały krwawe litanie w sposób lakoniczny, potęgując powszechne zdziczenie i żądzę krwi, np.: „Zabito 10 narodowców, 15 socjalistów“.

A czytelnik, stosownie do zapatrywań, śledził rozgorączkowanym wzrokiem liczby i zapytywał,

jak o rzecz zwykłą, swego najbliższego sąsiada: „Których padło więcej?... i gdyby Grottger widział w Łodzi te straszne obrazy, stworzyłby może nową „Wojnę“, która potęgą treści i grozą scen raz na zawsze odstraszyłaby ludzi zwyrodniałych od „kainowych“ czynów.

A zanim się krew bratnia połała, — tak twierdzą wtajemniczeni, — pewien polityk polski za cenę zgniecenia rewolucji składał ofertę Wittemu o autonomję Polski... „Szut gorochowoj“ odrzekł na tę niecną propozycję Witte.

„O, rękę karaj, nie ślepy miecz!“ wrywało się na usta każdemu szczeremu patrijocie i człowiekowi w tych czasach.

— — — — —
Byłem wtedy sekretarzem związku włóknistego, liczącego w Łodzi 30.000 członków.

Nieszczęście chciało, że napadnięto na członków narodowego związku włóknistego „Jedność“ (raniono wtedy na Bałutach w dorozce obyw. Marciniaka i innych). Fakt ten wystarczył ażeby odwet i zemstę wyrzucić na mnie, jako na kierownika pepeesowego podobnego związku. Rozpoczęto mnie śledzić, kiedy wychodziłem z biura lub wracałem do domu. Czynności wywiadowcze spełniała jakaś kobieta, która obserwowała mnie w ciągu kilku dni ze znacznej odległości.

Dnia 7 stycznia roku 1907 powracałem z pogrzebu zabitego członka związku. Przy zbiegu ulic Zarzewskiej i Kruczej zastąpiło mi drogę czterech uzbrojonych ludzi, którzy z okrzykiem „Ręce w górę!“ dali do mnie kilka strzałów. Pociemniało mi w oczach. W nogach, boku i ręce szarpnęło mnie coś raptownie i runąłem na ziemię.

Uczułem, że kilku ludzi mnie rewiduje, poszukując broni. Jeden z nich krzyknął: „Żyje jeszcze!"; rozległo się znów kilka strzałów i wpakowano mi na pożegnanie pod lewą pachę trzy kule. Burka w tem miejscu była kilkakrotnie przestrzelona.

Widocznie ktoś się zbliżał, bo moi kaci rzucili się do ucieczki. Z trudem otworzyłem oczy: uczułem, że po obydwu nogach spływa mi dość obficie krew, to samo wrażenie odczułem w boku i ręce.

Umrę – pomyślałem sobie z rezygnacją i po chwili dziwny szum w skroniach wraz z uczuciem dziwnego beztroskiego spokoju i ukojenia ogarniał mnie coraz silniej. Zdawało mi się jednocześnie, że zaczynam spadać gwałtownie w przepaść. Straciłem świadomość...

Obudził mię silny ból w nogach. Leżałem na łóżku w schludnem jakimś mieszkaniu robotniczem.

Lekarz opatrywał mi nogi, przeciągając dookoła ran gazę; wokoło łóżka grono znajomych wyrażało mi swoje współczucie, niektórzy ślubowali odwet.

I znów zaczyna się błędne koło – pomyślałem...

Nogi moje, przestrzelone na wylot kulami mauzerowskimi, opuchły mi jak konwie, lepsze rany otrzymałem w bok i rękę.

Zdobyłem się jednak na wysiłek i odwagę: spytałem nieśmiało doktora: „Czy będę mógł po zagojeniu ran chodzić?" Doktor Tomaszewski, który dnia tego już drugą ofiarę bratobójczej walki opatrywał, nie odrzekł nic, lecz tłumiąc wzruszenie, zakrył twarz chusteczką. Zdawało mi się wówczas, że boleje on wraz ze mną nad pohańbieniem światła i miłości przez mrok i nienawiść.

BOSTONKA.

Nasza bostonka posiada oryginalne dzieje, posiada swoją duszę, swoje romantyczne przeżycia, dni zwycięstw i klęski...

Jest ona całym poematem okresu powstaniowego, a legenda jej przeżyć i przygód stała się osnową epoki czynów i walki...

Mała, skromna drukarenka, siewczyni buntu i myśli, za które w latach niewoli szło się na Sybir lub do mrocznych kazamat cytadeli warszawskiej.

Pisząc o bostonce trzeba jednocześnie pisać o renesansie ducha polskiego, o przeciwdziałaniu ugodzie w stosunku do zaborców, oraz o tem wszystkim co zrosło się z pierwszemi poczynaniami walki o niepodległość, z imieniem Piłsudskiego, poprzez związek walki czynnej, związek strzelecki, legjony i polskie formacje wojskowe w okresie wojny wszechświatowej na różnych frontach świata. Nasza mała, skromna drukarenka miała tak jak ludzie swoje porywy „górne a chmurne“, swoją utajoną dynamikę siły, która śmiało mogła się zmierzyć z pułkiem wrażliwych żołnierzy...

Skąd bostonka przybyła do Lipnik niewiadomo. Tajemnicę o tym fakcie zabrał z sobą do grobu Aleksander Sulkiewicz. Wiadomo tylko, że przebywała w Lipnikach, że dnia 12 lipca 1894 roku w Wilnie pod kierownictwem Józefa Piłsudskiego na drukarence tej wydrukowano pierwszy numer „Robotnika“.

Był on rakieta, prześwietlającą mroki niewoli, taranem, walącym gwałtownie w carat i jego sługi...

W roku 1894 przewieziono drukarenkę do Łodzi, a w roku 1900 wykryła ją żandarmerja rosyjska. Jej kierownik i opiekun „Wiktor“ (Józef Piłsudski) powędrował do więzienia, a drukarenkę odesłano do lokalu żandarmerji i ochrony w Łodzi przy ulicy Pańskiej. W bezczynności i spokoju pod czujnym okiem przebywała drukarenka aż do roku 1915 wśród różnych rupieci i gratów, będących własnością ochrony łódzkiej.

Okres okupacji niemieckiej w Łodzi był okresem nietylko niesłychanego ucisku, lecz i okresem głodu i nędzy. Wśród najbardziej upośledzonych, niemeldowanych nigdzie, nie korzystających z kartek chlebowych znaleźli się dwaj b. agenci ochrony. Sprzedali oni pewnej łódzkiej drukarni bostonkę, od której nabyła ją za 75 marek w roku 1916 organizacja P. P. S. Umieszczono ją w specjalnie urządzonym pokoju, w pałacyku jednego z fabrykantów łódzkich, który przebywał w tym czasie w Rosji.

Drukarenka przemówiła już bojowo nie do Moskali, ale do nowych najeźdźców pruskich językiem buntu i walki. Drukowano w języku niemieckim odezwy do żołnierzy, do pałkarzy, do znękaney ludności m. Łodzi, budząc otuchę i wiarę w zwycięstwo Sprawy.

W r. 1917 ob. Jan i Antoni Portalowie urządzili nową, obszerniejszą drukarnię konspiracyjną przy ulicy Pańskiej Nr. 77. Dla zamaskowania lokalu założono warsztat stolarski, który pozornie prowadził ob. Jan Portal.

W roku 1918 jakiś pałkarz niemiecki usłyszał w nocy podczas patrolowania ulicy podejrzany szmer drukarni. Zadzwoił do dozorczy, któremu po otworzeniu bramy kazał prowadzić się do podejrzanej piwnicy. Został tam drukarenką w pełnym ruchu, lecz zanim zdążył wydobyć szablę, rozległa się salwa brauningowa ob. ob. Portalą i Jędrzejczaka. Sługus Prusaków padł trupem na miejscu. Drugiego pałkarza zastrzelono przy ulicy Zielonej. Lokal został przez niemiecką policję polową opieczętowany, a drukarnia przewieziona do niemieckiej policji kryminalnej przy ulicy Piramowicza Nr. 5.

W odmętach krwi i kurzawie bitew padała potęga państwowa i militarna zaborców Polski. Pogrom państw centralnych stał się faktem dokonanym.

W krwawej zawierusze dziejowej upadały dynastje, rodziły się nowe czasy, powstawały z martwych nowe idee i państwa.

Niemcy, ten twór buty niesamowitej, zarzućmiałości parwenjuszowskiej, symbolizujące w swojej psychice narodowej opancerzoną pięść, grożącą całemu światu, załamywały się katastrofalnie na polach bitew nad Marną. Rozsypywały się kajzerowskie Niemcy, rewolucja wybuchła w Berlinie, a na okupantów w Polsce padł lęk i strach.

W Łodzi rozbrajano gnębieli-okupantów. Z piwnicy kooperatywy „Ognisko“ przy ulicy

Benedykta wydobyto na nowo „bostonkę“, przekazując ją do dalszej pracy pepeesowskiej „Drukarni Ludowej“.

Niedawno powołano do życia z inicjatywy magistratu m. Łodzi Muzeum miejskie historii i sztuki. Niestety wśród cennych zbiorów nie znaleziono tam naszej starej „bostonki“ i drugiej drukarni z Pańskiej 77, tych dostojnych relikwii chlubnej przeszłości, które swoim i obcym mogłyby zawsze przypominać w Polskim Manchesterze tę wielką prawdę, „że Polskę nie dostaliśmy za darmo...“

WIGILJA W WIĘZIENIU.

Dnia 10 grudnia 1907 roku zostałem wraz z innymi kolegami ze Związku Włóknistego aresztowany i przetransportowany do więzienia przy ulicy Cegielnianej. Była to trzypiętrowa kamienica typowe pudło łódzkie, z kilkudziesięciu oknami, zakrytymi żelazną blachą.

Cele, poprzerabiane z robotniczych izdebek mieszkalnych, były brudne, ciemne i pełne robactwa.

Jedzenie, tak zwane „wałówki“: – obiady udawało się więźniom otrzymać przy pomocy łapówki, którą odbierał Moskał-klucznik, stojący przy bramie. Solidarność łapówkowa strażników więziennych zyskiwała sobie prawo obywatelstwa, gdyż, ażeby nikt z nich nie czuł się pokrzywdzonym, codziennie przy bramie stał inny strażnik.

Jak stwierdzili oni sami, przeciętny dzienny dochód strażnika przy bramie wynosił 50 rubli, nie licząc kradzieży koszykowych, dokonywanych przez dozorców więziennych. Kto nie płacił łapówek, czekał przed bramą z obiadem dla więźnia kilka godzin, a nieraz wogóle nie udawało się obiadu otrzymać.

W celi pod Nr. 5 siedziało nas kilku. Między innymi znajdował się razem ze mną ob. Sadoczyński z N. Z. R-u.

W wigilię dnia 24 grudnia każdemu z nas przysłano z domu opłatek i siedem tradycyjnych potraw. Obyw. Sumieskiemu przyniesiono nawet z domu (za grubą łapówkę) wino i wódkę.

Z ukazaniem się pierwszej gwiazdki na niebie, którą zauważył przez szczelinę zakrytego okna jeden z towarzyszków naszej niedoli, podsadzony na ramionach, rozpoczęliśmy kolację wigilijną. Łamiąc się opłatkiem, życzyliśmy sobie wzajemnie tylko wolności i upadku caratu. Sprawy rodzinne i osobiste nie wchodziły zupełnie w rachubę.

„Co będzie z nami w przyszłym roku?“, zagadnął jeden z kolegów. Momentalnie powiał chłód po zebranych, bo niejednego czekał stryk, katorga, a już, jako pewnik: zesłanie na Syberję.

– „Wszystkie nasze wysiłki idą na marne, bo motłochu nie pchniesz do walki z caratem. Daj im sute zarobki i tanią wódkę, a krzyczeń będą: „Niech żyje car i jego zgraja“ – dodał z goryczą drugi.

– „Nie odrazu Kraków zbudowany. Historia uczy nas, że wszystkie wysiłki pionierów nowych idei spotykały się z obojętnością, a bardzo często z wrogim nastrojem tych, którzy przywykli do jarzma, bagienka i ciemnoty“ – dodał z zapalem inny.

„No, panowie, w górę serca!“ – wykrzyknął ob. Sumieski i począł nalewać wino w przykrywki baniek, zastępujących kieliszki.

Nastrój wśród więźniów zapanował szczery, uroczysty. Gwar w celach umilkł, każdy spożywał otrzymane dary wigilijne i dzielił się z współtowarzyszami. Strażnicy, udobruchani sutym „połowem“,

bo połowę z dostarczonego pożywienia zwykle skradli, zezwolili nawet na śpiew. Ze wszystkich cel półgłosem nucone, dolatywały tony kolend i pieśni:

„Wiemy, że tam za murami nasi bracia
(dalej walczą
I piętnują razem z nami podłą czerń
(służalczą.

Po chwili ciszy zabrzmiało znów:

Choć pod oknem kazamaty, wróg nasz
(dzierży straż,
Nam przyświeca z poza kraty walki
(sztandar nasz“.

Improwizacja któregoś z aresztantów rozległa się ochoczo:

„I my bojownicy w „tiurmie“ za kratami odcięci od swoich grubymi murami: Niech nasz stan nie smuci, wróci wolność, wróci! Hej kolenda! kolenda!“

Śpiew nagle przerwały rozlegające się na ulicy strzały, nawoływania dozorców, moskiewskie ordynarne przekleństwa i jęk przejmujący.

Cóż się stało? Otóż prowadzono ulicą trzech więźniów z żandarmskiego badania. Jeden z nich, uczeń, aresztowany za należenie do organizacji młodzieży, chciał ratować się ucieczką. Żołnierze dali salwę i aresztant, nieledwie dziecko, padł śmiertelnie raniony. Po godzinie zmarł na korytarzu więziennym. Pozostałych dwóch schwymano i bito bez miłosierdzia.

Po dłuższej chwili matka zabitego, nie wiedząc o niczem, przyniosła mu wigilijną kolację i padła zemdlona pod bramą więzienia, gdy, niby piorun

z jasnego nieba, spadły na nią słowa pijanego Moskala-klucznika: „Uże padoch, syn miatieżnik, udirał sukin syn“.

Stojąc na ramionach kolegów, z uchem przy ciśniętem do okna, komunikowałem moim kolegom niedoli o tem, co widziałem na ulicy. Nikt z nas, już dnia tego, tknąć nie mógł kolacji wigilijnej. Ślubowaliśmy sobie tylko, iż nie zapomnimy nigdy krzywdy ludu polskiego i do ostatniego tchu mścić się będziemy na pacholkach caratu, za niewinnie przelaną krew tych, którzy zdobywali się na poświęcenie i ofiarę, w imię przyszłej Wolności i Niepodległości.

ŁÓDZKA GOLGOTA.

Każde miasto w Polsce, posiada swoją Golgotę, gdzie oprawcy carscy mordowali tych, którym nie smakował chleb niewoli przez swoich nazywanych „warjatami“ „romantykami“ przez wrogów „miateżnikami“.

Gdyby można było z pyłu zapomnienia odgrzebać czyny tych wszystkich bezimiennych bohaterów, spoczywających po naszych miastach i siolach, wsłuchać się w szmery, dolatujące z za grobów, wnikać w żywoty ciche i ofiarne, to, napewno poświęcenie dla Ojczyzny rozplomieniłoby niejedno zimne i samolubne serce.

Łódź walcząca o wolność i niepodległość posiada swoją Golgotę, gdzie spoczywają Ci, którzy wypowiedzieli caratowi walkę na śmierć i życie.

W lasku konstantynowskim spoczywają szczątki śmiertelne, dwustu osób, bądź rozstrzelanych na miejscu przez sądy polowe, bądź powieszonych, przy ulicy Długiej i przywiezionych w skrzyniach, nocą przez strażników więziennych.

Poległym cześć!

Wesoły dzień nastaje
Walka świata jasność daje,
Bój nasz z carem nie ustaje
Alleluja! Alleluja!

NA ZMARTWYCHWSTANIE.

W pierwsze święto Wielkiejnocy w 1907 r. pieśń ta, (wymieniona w nagłówku) rozlegała się radośnie po przez kraty sieradzkiego więzienia na świat Boży, na wolność...

Dary Boże, święcone, przynieśli nam dość obficie krewni, znajomi, sympatycy... Szynka, kiełbasa, cielęcinka i to wszystko, co się corocznie składa na „setną“ wyżerkę świąteczną w dniu Wielkiejnocy.

Na futrynie okiennej skaczą i ćwierkają wróble, zbierają okruszyny chleba i ciasta, rozsypywane codziennie troskliwie przez więźniów. Wiosenne powietrze, przesycone blaskiem słonecznym, wnosi do szarej celi ożywcze swoje tchnienie.

Wiosna!, Wiosna! Ileż wspomnień i tęsknot nieiszczonych trzepoce się jak ptak skrzydlaty w sercu ludzkim. Wiosna przypomniała wiosnę ludów – 1848, przypomniała mi przeżywaną wiosnę wolności w roku 1905, kiedy zdawało się, że otworzyły się nareszcie wierzeje rosyjskiego więzienia. Był to rok przełomów i tytanicznych zmagających, w którym na światło dzienne wystąpiły

wszystkie siły społeczne, zorganizowane w podziemiach konspiracji. Rok pełen bohaterskich poświęceń i niesłychanych okrucieństw... Rok zakończenia wojny rosyjskiej z Japonją, a jednocześnie rozpoczęcie walki czynnej z caratem o niepodległość Polski.

W ciężkich zmaganiach z najazdem rodziły się idee, przekazane nam przez ginących ojców naszych na polach Raclawickich, pod Stoczkiem pod Małogoszczą... I jak paciorki różańca przesuwają się w myśli wspomnienia umiłowane, przeżywane ongiś na wolności...

Dzielimy się jajkiem, życząc sobie zrealizowania naszych zamierzeń i skutecznej walki z caratem. Jeden z więźniów podczas tej ceremonii poprosił o głos, wiedzieliśmy, że siedzi w więzieniu pod obcym nazwiskiem jako emisariusz polityczny z Krakowa; nigdy nikt go nie pytał ani o pochodzenie, ani o nazwisko. Więzień był zawsze skryty i zamknięty w sobie, ale nieraz, jak rakieta w kaskadach słów, wybuchała w pięknych i podniosłych słowach jego płomienna dusza... W takich chwilach słowa jego były dla nas zawsze zachętą do wytrwania, źródłem tajemnej mocy i siły ducha...

Jedni twierdzili, że był to zakonnik, inni, że ksiądz, słowem, że osobę kolegi-więźnia otaczał zawsze nimb tajemniczości. Zamilkliśmy wszyscy, zdając sobie sprawę, że w tej chwili na niego znów zstępuje ten dar niebios, który nas podnieście i pokrzepi. I dziś, po dwudziestu latach przypominam sobie jasno i wyraźnie wszystkie jego przemówienia, zdania i sentencje...

Mówił początkowo powoli i cicho, a potem coraz silniej przekonywał, gromił i zdobywał serca obecnych.

„Jesteśmy więźniami moskiewskimi – mówił – ale duch nasz, tak jak pieśń nasza, jest wolny i niezwycięzony!“...

Święto Zmartwychwstania wiąże się symbolicznie z pragnieniami i ideałami wolnościowej demokracji. Wielkie legendy chrystjanizmu wyrażają w swoich podaniach nieśmiertelną wiarę w zwycięstwo ducha, prawdy i idei..., zabito i ukrzyżowano krzewiciela ideałów, przywalono grób jego ciężkimi kamieniami, na straży postawiono żołdaków, a jednak zmartwychwstał: „dając świadectwo prawdzie!“

W wielkich legendach religijnych ludzkości streszczały się zawsze marzenia i tęsknice rzesz milionowych. Z poziomych trosk, walk i zmagañ życiowych wyrwała się zawsze dusza ludzka do słońca, do doskonałości.

Święto Zmartwychwstania jest tą najcudniejszą pieśnią nieśmiertelnego ducha ludzkiego. Z mroków przemocy i gwałtu zmartwychwstaje zwycięsko wcielenie prawdy i sprawiedliwości...

Zakuć chciano w bezduszne formułki, w doktryny materialistyczne najszlachetniejsze porywy ludzkości, lecz napróżno, bo po przez góry i doliny do chat chłopskich, inteligentkich i robotniczych płynie jak burza, potężny zew Ojczyzny: „Więzy rwij!“...

I prężą się ramiona, podnoszą się schylone czoła, bo nasze radosne Alleluja brzmi jak pieśń pogrzebowa carskiemu światu!...

Rună żelazne wrzeczadze, padną, jak gromem rażeni, przed światłem wschodzącej prawdy, pacholankowie fałszu, obłudy i kłamstwa...

W naszych organizacjach zmartwychwstały w zmienionej formie ideały Chrystusowego zmartwychwstania. Wypędzono Polskę Niepodległą

z życia, rodzin, z świątyń i literatury. Uśmiercano zbrodnię szyderstwem i ironią budzące się do walki siły. A jednak nie pomogą bagnety, więzienia i przemoc. Runie Babilon caratu i zabrzmi wtedy z udręczonych piersi zwycięskie Alleluja!..

Polska w was żyje, Polska Zmartwychwstanie nowa, potężna i silna!... Dzwony kościelne dziś biją, na to nasze nowe zmartwychwstanie, na pohybel staremu światu przemocy i zbrodni, na odrodzenie świata pracy i Ojczyzny!“...

Skończył, i wtedy każdemu z nas zdawało się, że po tej przemowie uduchowionej stał się czystszym, szlachetniejszym i lepszym...

Przypomniały mi się wtedy piorunowe słowa Juliusza Słowackiego: „Że w każdym ciele leżą niewiadome siły, a w siłach owych, anioł, niby zaklęty Duch – gotów się w błyskawicach pojawić!..

MOTTO:

W carskich siedzieliśmy turmach,
Sybirskim gnano nas szlakiem,
A każdy z nas był szczęśliwy,
Że się urodził Polakiem.

„Ta co nie zginęła“ — Edward Słoiński.

O ZMROKU.

„Powierka“ skończona. Cele zamknięto na żelazne sztaby, poprzez kraty więzienne widać czerwone, zachodzące słońce. Gwar setek głosów, odbijających się echem o mury więzienne czyni na słuchacza wrażenie brzęczącego ula. Dziwny bezwład i apatja obejmuje człowieka; myśli i wspomnienia lecą do przeszłości szczęśliwej, jasnej przepojonej radością i swobodą.

W takich chwilach zwykle zwierzenia cisną się na usta, a opowiadania zaczerpnięte z życia, przyjemniają czas słuchającym, odrywają uwagę od smutnej rzeczywistości.

Jeden z więźniów politycznych ob. Miłek, młodzieniaszek, porywczy i egzaltowany, aresztowany za należenie do organizacji młodzieży niepodległościowej, usiadł na uboczu, wydobył z kieszeni fotografię swej narzeczonej i wpatrując się z błogością w śliczną twarzyczkę, gładził swój wąsik z zadowoleniem.

— Zazdroszczę wam waszej wiary i naiwności — rzekł obyw. Kord, przerywając mu kontemplację.

– Dlaczego? – zapytał go porywczo ob. Miłek.

– Przeżyjcie tyle co ja, poznajcie przewrotność kobiecą i właściwości jej płochęgo i niestałego charakteru, z równym sceptycyzmem odnosić się będziecie do rzekomych „aniołów ziemi“.

– Przesądzacie – odrzekł urażony Miłek.

– A więc posłuchajcie genezy mego sceptycyzmu, a przekonacie się, czy warto szybować lotem Ikkara na to, ażeby po pewnym czasie boleśnie spaść na ziemię. Zastrzegam się, zaakcentowałam, – że jestem pomimo to zwolennikiem równouprawnienia kobiet i chciałbym kobietę widzieć równą mi, pod względem woli i uczuć istotą. Tylko niestety, chyba nowy ustrój i przyszłe czasy stworzą nowy typ kobiety, dziś bez względu na warstwę i stopień wykształcenia są one z małymi wyjątkami takimi, jakimi stworzyły je warunki, tradycja i otoczenie.

Wicie, że od lat młodzieńczych poświęciłem się służbie idei, nie wiedziałem co znaczą płąsy, śpiewy, spacerzy z ukochaną o zachodzie słońca, listy i sielanki romantyczne. Groza katorgi lub stryczka za czynną działalność partyjną, grożąca mi na każdym kroku, wypłoszyła ze mnie wszelką myśl swobodną i chęć do zabaw. Jako nakaz i święty obowiązek brzmiały mi zawsze w uszach słowa poety Romanowskiego:

„Co tam marzyć o kochaniu, o bogdance i róż rwaniu, dla nas niema róż“.

Bo wtedy, kiedy najserdeczniejsi druhowie ginęli na szubienicach, kiedy więzienia były pełne aresztowanych, a z katowni carskich dolatywał jęk torturowanych, nie mogło być mowy o innym pojmowaniu sprawy.

Nareszcie i ja dostałem się do więzienia, stamtąd na Sybir, a potem ucieczka i długie lata tułaczki na obczyźnie. Nieraz podczas wycieczki lub przechadzki zagranicą widziałem przytulone do siebie miłośnię pary, zazdrościłem im tego szczęścia i spokoju, ja tułacz bezdomny i banita.....

Po długim czasie, mając lat 28, wróciłem do kraju, otrzymałem pracę i wtedy całą duszą zapragnąłem tak, jak inni, „filistrami“ przeze mnie zwani, stworzyć kąt własny i ognisko rodzinne. Na drodze życiowej spotkałem dziewczę sielskie, skromne i zdawało mi się, że w oczach, postaci i zachowaniu jej znalazłem nareszcie swoją wybrankę. Wychowana na wsi – pomyślałem – uchroniła się od wpływów życia wielkomiejskiego.

Dziewczę odwzajemniało mi się również i w odpowiedzi przesyłało mi liściki, pełne tęsknoty, przywiązania i miłości. Pobraliśmy się... Pierwsze tak zwane miodowe miesiące minęły bez chmurki, potem moja „sielska“ małżonka zaczęła na gwałt (pod względem zewnętrznym) naśladować wielkie panie, pożądać zabaw i rozmaitości. Jedyne jej pragnieniem było, ażeby nie mieć dzieci. W poszukiwaniu zabaw i urozmaiceń znalazła nareszcie kogoś, kto podczas mojej nieobecności umiłał jej chwile. I tutaj cały spryt kobiecy wysiłała na to, ażeby uśpić czujność i brnąć dalej. Nie spodziewałem się niczego, bo wierzyłem, aż nareszcie spadł grom. Skandaliku ukryć było niesposób. Nastąpiły, jak zwykle w takich razach, zdemaskowania, szloch, płacz i rozbrat nazawsze...

W kilka miesięcy potem zadenucjowano mnie do władz żandarmskich, że jestem uczestnikiem zamachu. Na skutek tego „donosu“

aresztowano mnie i pomimo zaprzeczeń świadków, trzymają mnie dotychczas w więzieniu. Chciałem przedtem uzyskać rozwód, lecz dano mi tylko separację. W myśl prawa, tej nałożonej obroży, pomimo wiarołomstwa, zerwać nie można, chyba, że jedno z dwojga popełni skrytobójczo morderstwo.

Dlatego też moja była małżonka nie mając nadziei na rychłą i nagłą śmierć moją, przypuszczała, że więzienie carskie przyspieszy kres mego życia i da jej upragnioną wolność.

I jeżeli teraz czytam w pismach, że dokonano na podobnem podłożu przestępstwo morderstwa, to gdybym miał władzę, nie sadzałbym na ławie oskarżonych tych nieszczęśliwych sprawców, ale tych, którzy uniemożliwiają ludziom nowe, lepsze, inne życie.

Dziś każdemu z Was, ktoś, do więzienia przynosi obiad lub kwiaty, macie na wolności tych, którzy wam współczują i pomagają. Ja jak widzicie, całe życie muszę pokutować za kiepski i nieszczęśliwy wybór towarzyski życia — zakończył z goryczą swoje opowiadanie.

Słuchacze pokiwali smutnie głowami, niejednemu przypomniały się, podobne być może, zawody. Obywatel Miłek, wzruszony tem opowiadaniem, zbliżył się szybko do ob. Korda i ściskając jego dłoń, wyrzekł z przejęciem:

— Wierzę i współczuję wam bracie, i miejmy nadzieję, że przyszła Polska Niepodległa położy kres tym rozpaczliwym stosunkom i przez rozumne prawodawstwo rozwiąże te kwestje, które pozwolą wam ob. Kordzie być również szczęśliwym.

— Niech się tak stanie — odrzekł z ironją i niedowierzaniem, przygnębiony opowiadaniem Kord.

GRYPSANKA

(ROK 1906).

Słowo to, określające list lub wiadomość wysłaną czy otrzymaną drogą nielegalną z więzienia, zyskało sobie prawo obywatelstwa wśród więźniów politycznych w latach walki z caratem.

Pomysłowość i wynalazczość więźniów w kierunku sprawnego komunikowania się z wolnością, dochodziła do mistrzostwa. Na miejsce zdemaskowanych przez władze więzienne sposobów i sposobików, wynaleziono nowe i tak to trwało wciąż w kółko, prawie że nie przerwanie...

Spryt więźniów wysilał się na coraz to nowe kawały, które wyprowadzały w pole nawet szczywanich szpicli i żandarmów. Walka z władzą więzienną nie ucichała nigdy, przybierała różne tylko formy i dzięki temu ratowała od śmierci niejednego konspiratora i rewolucjonistę.

Przynoszono nam bieliznę wypraną z domu co dwa tygodnie, a w rękawie wewnątrz był zawsze list, pisany na bieliźnie, który nas informował o sytuacji w rodzinie i organizacji. W książkach, dostarczonych nam przez rodzinę, były punkcikami opatrzone te litery, z których składały się całe listy i ważne informacje...

W zrazach, kluskach były zaszywane listy i jeżeli kto jadał obiady zbyt łapczywie, to połykał je dość często. W podeszwach, obcasach, pasach zaszywano liściki a nawet odezwy.

Byliśmy zawsze dobrze poinformowani o sytuacji politycznej w kraju i organizacji. Otrzymywaliśmy stale nielegalne pisma i odezwy, które były dla nas nadzieją: „że tam, za murami nasi bracia dalej walczą i piętnują razem z nami podłą czerń służalczą“.

Potrzeba jest matką wynalazków, a duch żarliwy i ofiarny drwi sobie z wszelkich przeszkód i kajdan...

Nieszczęściem dla naszych „wałówek-grypsanek“ i przesyłek byli dozorczy więzienni. Odbierając od rodzin dla nas obiad po drodze wyławiali lepsze kęski, nieraz brudnymi łapami kradli mięso i nie było ani razu wypadku, ażeby przysłane więźniowi pożywienie dostarczone mu było w całości.

– Iwan, spaskudziliście mi jedzenie, brak mięsa.

– Jej Bogu, niczego nie brał!

Te i tym podobne dIALOGI powtarzały się w każdej celi. Zażalenia nie pomagały, a zmiana osób nie poprawiała sytuacji, bo inni robili to samo.

– Ażebyś się, kacapie, udławił – wykrzyknął jeden z kolegów na widok pokierowanego mięsa w garnku i zmniejszonego o połowę pożywienia.

Widocznie wypowiedział te słowa w złą godzinę, bo niedługo czekaliśmy na spełnienie tej klątwy.

Matka moja zawiadomiła mnie, jak zwykle grypsanką, pisząc list na wyprasowanym rękawie koszuli, że kilku z moich znajomych aresztowano

i że młodszego brata trzynastoletniego przesłuchiwano w żandarmerji, usiłując wydobyć od niego informacje, dotyczące mej działalności partyjnej i t. p. Aczkolwiek usiłowania ochrony skończyły się fiaskiem, to jednak zaniepokoiło mnie poważnie zainteresowanie się gorliwe moskali moją osobą. Między innymi matka komunikowała mi, że w czwartek przyśle mi kluski nadziewane śliwkami i w jednej z nich umieści w środku list szczegółowy w tej sprawie.

Oczekiwałem niecierpliwie przyobiecanej „grypsanki“. A kiedy zbliżała się pora obiadowa, liczyłem z niecierpliwością minuty i spacerowałem niecierpliwie po celi.

Nareszcie rozległy się ciężkie kroki strażnika Iwana, a potem cisza i po gwałtownym otwarciu drzwi Iwan, dusząc się i krztusząc, runął jak długi wraz z garnuszkami obiadowymi na ziemię. Ślepa wytrzeszczone niesamowicie, a rękami i nogami machał jak w tańcu św. Wita.

– A widzisz, głupcze, zdechniesz za łakomstwo!
– wykrzyknął kolega, którego Iwan od dłuższego czasu pozbawiał w taki sam sposób części obiadów.

Sytuacja stawała się istotnie tragicomiczną: Iwan czerwony, jak burak, dusząc się wyciągał ręce i wzrokiem błagał o pomoc.

– No, chłopcy, pomóżcie mu!

Po kilku potężnych boksach, których mu nie żałowano w krzyż i plecy, Iwan z trudem przełknął moją kluskę wraz z listem i nitką.

– Dołożu naczalstwu o waszej bumagie!

– Spróbuj, hyclu, to my zaskarżymy cię, że kradniesz stale nam obiady. Dowodem najlepszym będzie, żeś się moją kluską udławił.

Moskal podrapał się po łbie, ale widocznie doszedł do wniosku, że interesu na tej skardze nie zrobiłby, spluwając i klnąc po „matuszkie“, opuścił skonfundowany naszą celę.

Byłem niepokieszony, bo grypsanka ważna i konieczna spoczywała niestety w żołądku moskala... Nauczka jednak nie poszła w las. Iwan wyjmując potem z garnka kluski i zrazy krajał każdy kawałek przezornie nożem, ażeby nie połknąć po raz wtóry „kramoły“, odezwy, lub grypsanki...

SPŁACONY DŁUG.

Po potężnym strajku powszechnym, który wybuchł na całej przestrzeni państwa carów w roku 1905 i doprowadził do częściowej kapitulacji Mikołaja, rozkołysała się Łódź robotnicza. Związki zawodowe powstały jak grzyby po deszczu, a P.P.S. w lutym 1906 roku liczyła w Łodzi 22 tys. członków. Jakiś ożywczy powiew poruszył dotychczas bierne masy i wyładował się w postaci wybuchu rewolucyjnego.

Proletariat łódzki w lipcu 1905 roku przeszedł krwawą szkołę masowej walki barykadowej, a w ogniu ciężkich zmagania z caratem spotykaliśmy takie objawy ofiarności i poświęcenia, że porównać je chyba tylko można do dziejów męczeńskich pierwszych chrześcijan. Tysiące członków partji oddawało do dyspozycji łódzkiemu O.K.R-owi nie tylko czas i pracę, ale i życie...

W ogniu potężnego uniesienia nie było tchórzów i zdrajców.

Dzień 1-go maja w roku 1906 był świętem powszechnem. Ruch kołowy wstrzymany, sklepy pozamykane, tramwaje nieczynne. Na szczytach kominów fabryk powiewały sztandary.

Na placach pomimo wzmocnionych patroli, mrowie ludu roboczego.

W koszarach wojskowych rozrzucono w kilku tysiącach egzemplarzy (w języku rosyjskim), „Sołdatskij listok“ i odezwy Centralnego Komitetu Partji Socjal-Rewolucjonistów rosyjskich. W lesie Konstantynowskim urządziliśmy masówkę wojskową, na którą przybyło około 200 żołnierzy.

Przemawiał ob. „Siergiej“, eserowiec, przydzielony do łódzkiej wojskowej roboty P.P.S.

Niemiecki Wydział P.P.S. urządził w fabrykach: Gampe i Albrecht, Leonhardta, Richtera i Heinzla – masówki. Przemawiali tow. „Walter“, „Johann“ i inni, przydzieleni do naszej roboty z austriackiej partji Socj. Dem. – Tow. Walter był rodowitym wiedeńczykiem (skazany został w r. 1907 na 4 lata katorgi). „Es lebe die Unabhängigkeit Polens.“ „Es lebe Socialismus!“ rozbrzmiewało na masówkach niemieckich. W fabryce Tykocinera, następnie w dzielnicy staromiejskiej Wydział Żydowski P.P.S. urządził kilka masówek pod hasłem Niepodległości Polski i Socjalizmu.

Przemawiał Froim, członek organizacji bojowej, zabity w starciu ze szpiclami, przy ulicy Zakątnej.

Słowem, że hasła Niepodległości polskiej i Socjalizmu rozbrzmiewały w dniu tym w języku polskim, niemieckim, rosyjskim i żydowskim na chwałę wolności, na pohybel jej wrogom.

Wobec wydanego polecenia Skaffłona: „Strielat, patronow nie żalet“ i obsadzenia głównych ulic w Łodzi przez policję, zdecydowaliśmy się urządzić w każdej dzielnicy odrębny pochód.

Organizacja wojskowa (rosyjska) postanowiła przyłączyć się do pochodu w „Dzielnicy Lewej.“ Pochód posuwał się od Benedykta ulicą Pańską

ku Konstantynowskiej. Okrzykom na cześć rewolucyjnych żołnierzy rosyjskich nie było końca. Niedaleko Zielonego Rynku zagrzmiały wystrzały, i chorąży, ugodzony kulą w brzuch, oraz kilku demonstrantów, runęło skrwawionych na ziemię.

Sztandar zachwiał się i upadł na ulicę. Manifestanci rozbiegli się na wszystkie strony, szturmując gwałtownie do bram, które z rozporządzenia policmajstra łódzkiego Chrzanowskiego były zamknięte, a w bramach stróże w białych fartuchach, z błyszczącymi blachami („Dwornik“) na czapkach, jak podczas galówki, stali według rozkazów policyjnych w bramach. Kozacy konno galopem pędzili na plac boju, gdzie na ulicy wraz z chorążym leżał sztandar P. P. S. W najkrytyczniejszym momencie wybiegł jeden z żołnierzy na ulicę, nie bacząc na gęste padające strzały, podniósł z ulicy sztandar i przerzucił go przez parkan, gdzie został ukryty przez uczestników pochodu.

Po chwili żołnierz zachwiał się i z trudem, zataczając się, wpadł do bramy, brocząc krwią.

Wniesiony do mieszkania robotniczego, po opatrzeniu ran, które były śmiertelne (rana postrzałowa w brzuch i piersi), umierając, wypowiedział słowa, które utkwiły mi na zawsze w pamięci. „Proszczajcie towarzyszy!.. „Napiszcie rodnym i towarzyszam w Moskwie czto ja umier w borbie za swobodu!“ Nazywał się Siergiej Wołkow, z zawodu ślusarz, rodem z Moskwy.

„Za naszą wolność i Waszą“ widniało na sztandarach wojsk polskich podczas rewolucji w roku 1830.

Po wielu, wielu latach dług ten spłacał ofiarnie jeden z wielu rewolucjonistów rosyjskich w mundurze żołnierza na ulicach Łodzi.

Z DZIEJÓW ŁÓDZKIEJ PROWOKACJI.

JAK ŻYŁ I ZGINĄŁ KAT I SZPICEL FREMEL.

DZIEJE NIESŁAWNEGO ŻYWOTA. — STOSUNKI FREMLA
Z GRUBASEM MODZELEWSKIM. — BEZCZESZCZENIE
Kobiet I KATOWNIA ROBOTNIKÓW. — SZUBIENICA
PRACUJE. — SZPILKI W TRUPIE FREMLA.

Upadek ruchu rewolucyjnego w 1907 roku, wzrastające fale reakcji i dezorganizacja szeregów robotniczych, wydały cały szereg prowokatorów jak w Rosji, tak i w Królestwie.

Jedni ratowali tym sposobem nędzne życie, inni czynili to ze strachu i tchórzostwa przed torturami, zadawanymi w biurach śledczych. Najsłynniejszymi prowokatorami na bruku łódzkim byli dwaj bracia Fremlowie, b. członkowie S.D.K.P. i L., o wyglądzie odrażającym, twarzy nalanej, wydętych wargach, wypukłych ślepiach o ryżych włosach. Z zawodu byli przedzalnikami — jeden tak zwany „szrubownik“, drugi „przykręcacz“.

Początkowo pracowali w fabryce Wojdysławskiego. Ojciec ich był właścicielem restauracji. Wśród atmosfery, przesyconej pijaństwem i przekleństwami wychowywali się Fremlowie. Wybuchła rewolucja, wstąpili do S. D.

W r. 1906, przemawiając na zebraniu, zapoznałem się z Fremlem, który przedstawił się jako przedstawiciel fabryki, oświadczając, że „pepesowcom przemawiać nie pozwoli“. Na skutek interwencji

p. Ł. pozwolono mi mówić, lecz podczas zebrania Fremel łamaną polszczyzną przerywał mi kilkakrotnie. W tymże roku przez zarząd łódzki esdecji młodszy Fremel został mianowany kierownikiem milicji partyjnej, której zadanie polegało na zorganizowaniu samoobrony robotniczej i wyćwiczeniu robotników tej organizacji we władaniu bronią.

Znając najbardziej konspiracyjne skrytki partyjne, zapoznał się w tym czasie z naczelnikiem więzienia przy ulicy Długiej, Modzelewskim, znanym w Łodzi z tego, że ważył 11 pudów.

Fremel, jako zapalony hodowca gołębi, wymieniał nieraz rzadkie okazy opasłemu Modzelewskiemu, który dość zręcznie wyciągał szczegóły co do osób pracujących w partjach, goszcząc go za to u siebie obficie, lub przegrywając z nim w karty (celowo) znaczne sumy.

Odtąd aresztowania masowe powtarzały się coraz częściej; nie tylko aresztowano jednostki lecz policja również odnajdowała ukryte składy broni i aresztowała nieraz całe konferencje dzielnicowe.

I dopiero wtedy, kiedy większość tych, których Fremlowie mogli się obawiać, znalazła się pod kluczem, wystąpili jawnie w otoczeniu żandarmerii carskiej, jako agenci „ochrony“.

Nastał okres najstraszniejszych represji na gruncie łódzkim. Ażeby zgnieść „czerwone niebezpieczeństwo“ niektóre administracje fabryczne dostarczały list podejrzanych „ochronie“, która komunikowała je Fremlom, a ci ustawiali w szeregach steroryzowanych wojskiem i policją robotników i wywołując zaznaczonych, bili, pastwiąc się nad nimi z wyszukanem okrucieństwem. Bito kolbami, rewolwerami lub nahajkami, zakończonymi łożem przy akompaniamencie najordynarniejszych wyzwisk i przekleństw.

Aresztowane kobiety były odstawiane do prywatnego mieszkania Fremłów (w uczątku), gdzie biciem, groźbą lub wódką wydobywano nowe denuncjacje. Rzadko która robotnica uniknęła zbeszczeszczenia.

Jedną z takich ofiar, jako stałą informatorkę Fremłów, zastrzelono z wyroku partji przy ulicy św. Anny, a liczba ich była wielka, jak twierdzą denuncjowani robotnicy. Represje powyższe wywołały straszliwy popłoch; z lękiem oczekiwano w każdej fabryce ukazania się karnej ekspedycji przy udziale Fremłów i pomniejszych prowokatorów.

Organizacje robotnicze wysilały się, ażeby usunąć tych wyrodków, lecz Fremlowie, wiedząc, od zaufanych kobiet, o przygotowaniach, z góry paraliżowali plany.

Jeden z nieudanych zamachów, organizowanych przez S. D. przy teatrze Wielkim (ul. Konstantynowska) nie udał się, ponieważ Fremel poznawszy partyjną technikarkę rzucił się na nią z czeredą szpicli i przerażoną niewiastę, u której znaleziono dwa browningi. zawłókł do swojej katowni. Zamach był trudny do wykonania jeszcze z tego powodu, że najdzielniejsi z bojowców i instruktorzy znaleźli się w więzieniu.

Przysłano do Łodzi Kaznakowa ze szczególnymi pełnomocnictwami do tłumienia „kramoły“.

Szubienica pracowała codziennie, tracono, obok zwykłych bandytów, ludzi pracy i idei.

Fremlowie pewni siebie. urządzali znienacka wycieczki na miasto, występując coraz bezczelniej.

Raz, podczas jednej z podobnych wycieczek, Fremel (młodszy) zboczył do cukierni przy ulicy Zawadzkiej, gdzie właściciel, sam szpicel, gościł często swoich towarzyszków. Tu spotkał go jeden z pepesowców, p. K., pracownik biurowy, który pod

pozorem, że zaprasza go na większą bibkę, wyszedł na ulicę, by zawiadomić kogoś z parji o czekającym na niego Fremlu. Spotkał wtedy Suszkiewicza, który na gwałt rozpoczął poszukiwanie po mieście kogoś z „bronkiem“. Natrafił wtedy na „Henryka“ Millera bojowca P.P.S., który bez wahania zdecydował się na czyn zgładzenia prowokatora. „Henryk“ zajął punkt obserwacyjny naprzeciw cukierni i czekał wyjścia Fremla. Po pewnym czasie wyszedł prowokator w towarzystwie p. K. Na rogu Zawadzkiej i Piotrkowskiej Fremel wstąpił do sklepu po papierosy; z chwili tej skorzystał K. i ulotnił się przezornie.

Do wychodzącego Fremla przy domu, gdzie się mieści „Neue Lodzer Zeitung“, trzymając browning w ręce, podszedł p. Miller z następującymi słowami: „Psi synie, nadchodzi twój marny koniec, za krzywdy ludzkie!“ i wystrzelił do niego dwa razy. Fremel odruchowo chwycił się za pazuchę, gdzie miał schowany browning, i zaczął uciekać, ale upadł nawznak przy szynach tramwajowych.

„Henryk“ „dla pewności“, jak się wyraża, leżącemu już na ulicy wpakował kulę w szyję, która okazała się śmiertelną. Po spełnieniu czynu najspokojniej zmieszał się z tłumem. Tramwaje na ulicy Piotrkowskiej wstrzymano, miejsce zamachu otoczono kordonem wojska. Do Fremla, dającego słabe oznaki życia, przyjechał policmajster, któremu Fremel oświadczył słabym głosem, że nie wie, kto go zabił. Zanim przybyła pomoc lekarska, skonał marnie na ulicy. Tak się skończyła rola jednego z prowokatorów, który bezkarnie grasował dość długo.

Po śmierci odwieziono Fremla do trupiarni, gdzie robotnicy podczas oględzin zabitego, dając wyraz swej nienawiści, wbijali mu setki szpilek w ciało, co stwierdzono urzędownie podczas sekcji trupa.

Starszy Fremel, pełniąc funkcję kata, powiesił swego szwagra Kołuduńskiego i około 120 ludzi. Potem wyjechał do Berlina, gdzie został w jakiejś knajpie ugodzony kuflem w szczękę przez jednego z emigrantów łódzkich.

Podczas wojny obecnej pełnił przy armii niemieckiej funkcje szpiegowskie.

Przebywał jakiś czas w Kaliszu, potem na froncie ryskim i odtąd ślad jego zaginął bez wieści...

ŻYCIORYSY.

WÓDZ BOJOWCÓW.

Żywym symbolem Wydziału Bojowego w latach rewolucji był „Stanisław“ (Arciszewski), obecny poseł na Sejm.

Od 1905 roku przy jego współdziałaniu lub kierownictwie dokonano większości zamachów politycznych w Królestwie Polskim.

Człowiek o nieustraszonej odwadze, hartownej duszy, mocarnej woli, ofiarny i pracowity, z uporem i wytrwałością kroczy od dzieciństwa po raz obranej drodze w myśl idei. Małomówny, w obcowaniu z ludźmi surowy, poważny, skryty i zamknięty w sobie, umie jednak jako prelegent godzinami nieraz przykuwać uwagę słuchaczy wykładami z dziedziny nauk społecznych i politycznych. Słusznego wzrostu, głowa przyprószone przedwczesną siwizną, wzrok przenikliwy, cera twarzy ziemista i blada, jako skutek długoletniego więzienia, które nadwyrężyło mu zdrowie, surowy dla siebie i innych, przy tem wszystkim niezmiernie dobry i zacny, był ideałem bojownika o wolność.

Dziadek ob. Stanisława, ziemianin z Małopolski walczył w roku 1831 w obleganej przez Moskali Warszawie, a ojciec 1863 roku. Ob. Arciszewski, jako nieodrodny syn swych przodków, zmagał się z caratem również w ostatniej rewolucji 1905–7 r.

Urodzony w 1877 roku w powiecie rawskim, we wsi Sieszchowie, z powodu śmierci ojca już w 11 roku życia poznał niedolę. W Radomiu terminował rok u stolarza, a następnie 4 lata u ślusarza. Praca trwała od 5-ej rano do 8-ej wieczorem. Po ukończeniu praktyki, jako młodzieniec 17-letni, pozostawiony samemu sobie, pracuje w fabryce Fitzner i Gamper w Zagłębiu Dąbrowskiem. Po raz pierwszy styka się tutaj z działaczami socjalistycznymi i odtąd staje się jednym z najgorliwszych członków P. P. S. Pod pretekstem urządzenia zabaw tanecznych gromadzi robotników, urządza wykłady, rozpowszechnia wydawnictwa rewolucyjne. W hucie „Katarzynie“ organizuje liczne koła partyjne. Działalność ta zwraca uwagę znajdujących się w Zagłębiu prowokatorów żandarmskich. Jeden z nich, nazwiskiem Błach, donosi o nim żandarmerji, która wydaje rozkaz aresztowania go. Ostrzeżony w porę, ucieka w roku 1898 za granicę i udaje się do Londynu. Ob. Arciszewski otrzymuje pracę w jednej z pracowni ślusarskich Londynu. W tymże czasie wychodził w Londynie „Przedświt“, miesięcznik polityczny P.P.S., i kwartalnik popularnonaukowy „Światło“. Ze stowarzyszeń polskich istniał wtedy „Związek Socjalistów Polskich“. Po kilku miesiącach pobytu w Londynie udaje się do Niemiec. Zatrzymuje się w Bremie, gdzie znajduje pracę w akcyjnym Towarzystwie „Weizer“ w charakterze kotlarza. Pracuje czynnie w „Bratniej Pomocy“, organizuje wykłady, dzieli się nieraz ostatnim groszem, z przybywającymi do Bremy zbiegami politycznymi. Pracuje w fabryce razem z byłym prezydentem miasta Kalisza ob. Michalskim. Z rozporządzenia Centralnego Komitetu P.P.S. udaje się w 1900 roku do kraju. Przybywa

wtedy z rozporządzenia Centralnych władz partyjnych do Bremy z instrukcjami i wskazówkami dla ob. Arciszewskiego b. Prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski.

W 1900 roku widzimy go pracującego w Zagłębiu na „Niwce“, gdzie organizuje koła w fabrykach i kopalniach. Zapoznaje się z Montwiłem-Mireckim (stracony na stokach Cytadeli w 1907 r.), który uczęszczał wtedy do szkoły sztygarów w Dąbrowie.

Ażeby poruszyć opinię publiczną, wydaje razem z Mireckim kilka tysięcy odezw z wezwaniem do walki o wolność. Zwraca to uwagę żandarmerji, która go arestuje i odstawia do więzienia piotrkowskiego. Ażeby wydobyć od skrytego i milczącego Arciszewskiego nieco szczegółów z życia partji, żandarmerja osadza go w jednej celi z prowokatorem Dazem z Częstochowy, który jednak nic nie wskórał. Szykanami więziennymi starają się zmusić niezłomnego więźnia do uległości; za małe przewinienia osadzają go dość często w „karcerze“. Wyprowadzony z cierpliwości, rzucił się podczas badania na pułkownika żandarmerji Krzyżanowskiego i spoliczkował go dotkliwie. Sypią się zato nań nowe represje. Z małemi przerwami siedzi w więzieniu 3 i pół roku.

Przetransportowany do więzienia w Kielcach, siedzi razem z Rychlińskim z Łodzi i Skurzyńskim, b. przewodniczącym Związku górników w Jaworznie.

W 1904 roku zostaje wypuszczony na wolność. Więzienie nietylko nie osłabiło w nim ducha, lecz obudziło w nim chęć straszliwej zemsty za swoje i współtowarzyszy krzywdy.

Prawie wszyscy żandarmi, w których rozporządzeniu znajdował się ob. Arciszewski (Stanisław), zginęli w kilka miesięcy potem z rąk bojowców.

W Radomiu zastrzelony został pułkownik Płotto, następnie sławny porucznik Bielski w Płocku, naczelnik więzienia w Kielcach, Grecki, za znęcanie się nad więźniami.

Ob. „Stanisław“ Arciszewski dostaje pracę w Zagłębiu, jeździ pokryjomu do Krakowa, przewozi bibułę; organizuje nietylko ogół robotniczy, ale i chłopów po wsiach okolicznych. Spotyka się w Krakowie z Piłsudskim, otrzymuje od niego polecenia, wskazówki i instrukcje. Władze carskie, widząc, że ob. Arciszewski po długoletniem więzieniu jest niepoprawny, wydają rozkaz aresztowania go i zesłania do Archangielska na lat 3. Na kilka godzin przed przybyciem żandarmów otrzymuje w fabryce tajemniczy list z następującym napisem: „Uciekajcie, bo żandarmi idą was aresztować; skazano was na trzy lata do Archangielska“. Po otrzymaniu tej wiadomości opuszcza w pośpiechu fabrykę. Po chwili do fabryki wkroczyła żandarmerja i policja; przetrząśnięto w ciągu kilku godzin wszystkie skrytki fabryczne, lecz bez skutku. Do ostatniej chwili nie dowiedział się ob. Arciszewski o szlachetnym i nieznanym autorze listu.

W 1904 roku udaje się do Łodzi po „wspach“, dokonanych przez prowokatora Gallusa (którego potem przy ulicy Głównej raniono śmiertelnie tasakiem w głowę), zostaje mianowany przez C. K. R. funkcjonariuszem na cały okręg łódzki.

Zapoznaje się w majątku Smardzew, powiat łęczycki, z działaczką socjalistyczną „Marią“ (Ciszewską), córką właściciela majątku, która ułatwiła mu pracę organizacyjną wśród chłopów.

Chłopi, nawet zamożni, garną się masowo do organizacji.

W Turku aresztowany przez strażników, pięścią powaliwszy jednego z nich, toruje sobie drogę do wolności.

W Łodzi tymczasem budzi się ruch robotniczo-niepodległościowy.

Ob. Arciszewski organizuje manifestacje przy ul. Zarzewskiej i Fabrycznej przeciw wojnie z Japonją i mobilizacji w Polsce.

W manifestacji na Nowym Rynku padł zabity chorąży sztandaru ob. Książczyk.

Ob. Arciszewski udaje się do Zagłębia po dynamit i z przywiezionego konstruuje bombę, od której ginie w Łodzi przy ul. Długiej sprawca zabójstwa ob. Książczyka komisarz policji Szatylowicz.

Ażeby przeszkodzić mobilizacji, między Łodzią i Pabjanicami dynamitem wysadza część mostu kolejowego.

W 1906 roku wyjeżdża na konferencję partyjną, na której to dokonała t. zw. zamachu stanu „lewica“ partji, usuwając od kierownictwa żywioly niepodległościowe. Konferencję tę bezprawnie przekształcono na „Zjazd Partyjny“.

Proponowany mu przez „lewicę“ mandat do C. K. R. odrzuca. Popada w niełaskę nowych władz partyjnych, na skutek czego zostaje wysłany zdala od głównych ośrodków ruchu robotniczego z Siedlec do Białegostoku.

W końcu 1906 roku zniechęcony do pracy agitacyjnej z powodu warcholstwa „Lewicy“, wyjeżdża do Krakowa na kurs szkoły bojowej; kończy ją jako jeden z najlepszych uczniów. Wykładano wtedy znajomość obchodzenia się z bronią, materiałami wybuchowemi, terenoznawstwo, zasady organizacyjne armji pruskiej, austriackiej i rosyjskiej,

pomoc lekarską w nagłych wypadkach, budowę szańców, barykad i t. p.

Po ukończeniu szkoły, wyjeżdża do kraju, pod nazwiskiem studenta medycyny Marjana Dury. Na granicy zostaje przez żandarmów rosyjskich zatrzymany; oświadcza, że jest poddanym austryackim, wobec czego zostaje odesłany do Mysłowic, gdzie Prusacy trzymają go miesiąc w areszcie, a następnie przez żandarmerję pruską zostaje odstawiony do granicy austriackiej. Wydobył go wtedy ze szpon pruskich, socjalistyczny działacz górnośląski ob. Biniszkiwicz.

Po trzech dniach przedostał się szczęśliwie do Królestwa.

Po dwóch tygodniach organizuje z ob. Torem demonstrację zbrojną na Woli jakoteż zamachy: na placu Trzech Krzyży na sędziego wojennego, znanego z pastwienia się nad politycznymi, i na ulicy Marszałkowskiej na komisarza policji, Konstantynowa. Rzucona wówczas bomba pęka ze strasznym skutkiem i rozrywa na kawałeczki znanego w Warszawie z bestjalstwa satrapę.

W tym czasie organizacja zawarła kontrakt z kilku zagranicznymi fabrykami broni, na znaczniejsze transporty mauzerów i browningów. Rachunki wynosiły około 200 tysięcy rubli. W kraju urządzono laboratorium do wyrobu materiałów wybuchowych. Wydawnictwa rewolucyjne osiągały od lipca 1906 do czerwca 1907 roku kilka milionów egzemplarzy.

Wobec tych olbrzymich potrzeb, koniecznych do zwycięstwa ruchu rewolucyjnego, należało zdobywać pieniądze rządowe, bezpośrednio od satrapów carskich, wyciskane przez Moskali w sposób rabunkowy z ludności naszego kraju. Sprawę

konfiskat prowadzi tow. Arciszewski, który z powierzonego zadania wywiązuje się świetnie.

Jako instruktor bojowy organizuje w jednym dniu kilkanaście napadów na monopole rządowe. We wszystkich tych sklepach spalono lub zniszczono całe urządzenie sklepowe.

W „krwawą środę“ 1906 roku jako okregowiec bojowy w Mińsku Mazowieckim kieruje atakiem dwóch szóstek na pocztę, gdzie zabito żandarma i pięciu strażników.

Dnia 6 czerwca 1906 roku kieruje skutecznie zamachem na naczelnika żandarmerii Muradowa w Warszawie.

W ciągu dwóch tygodni bierze udział w kilkunastu zamachach na żandarmów, policję i rewirowych.

W lipcu 1906 roku organizuje udany zamach w Łazienkach na prowokatora Wiśniewskiego.

Kieruje zamachem na generała żandarmerji Margrafskiego, pomocnika generał-gubernatora w Otwocku. Sledził go w pociągu od samej Warszawy, następnie daje znać szóstce, która zasypuje kulami z śmiertelnym skutkiem powóz satrapy.

Ażeby dostarczyć organizacji prawdziwych rosyjskich paszportów, konfiskuje je w kilkunastu gminach.

W tymże czasie niektóre słabe i zdemoralizowane jednostki podczas aresztowań, chcąc uniknąć śmierci, rozpoczynają okres prowokacji.

Byli członkowie bojówki Dyrz i Sankowski informują szczegółowo „ochranę“ o działalności i czynach straszliwego „Stanisława“, „Marcina“ lub „Stefana“.

Rozpoczynają się masowe aresztowania w Warszawie; najdzielniejsi ludzie idą na katorgę lub szubienicę; na stokach Cytadeli ginie z okrzykiem: „Niech żyje Niepodległa Polska“, Montwił Mirecki.

„Ochrańa“ naznacza 10,000 rubli nagrody za schwytańie „Stanisława“ – Arciszewskiego.

Aresztowania masowe członków organizacjii bojowej trwają nadal. Straszliwe spustoszenie w organizacjii czynili Dyrzcz i Sankowski, których należało za wszelką cenę usunąć. Następnie prowokator Sankowski aresztuje narzeczoną obywatela Arciszewskiego (obecnie żonę); jej siostrę i szwagra; ojcu narzeczonej Sidorowiczowi (pseudonim Szymon) przyrzekł naczelnik „Ochrańy“ Zawarżyn, że jeżeli „Stanisław“ zostanie schwytańy, to dostanie sutą nagrodę i córki wypuszczą natychmiast na wolność, inaczej ześle je na Syberję. Po porozumieniu się z Sidorowiczem ob. Arciszewski godzi się, ażeby Sidorowicz propozycję przyjął, i nawiązał kontakt z Dyrzczem i Sankowskim.

Po pewnym czasie obydwaj prowokatorzy uwierzyli w szczerość Sidorowicza i udawali się z nim co pewien czas na bibki.

Organizacja bojowa za pośrednictwem ob. Adrijana została powiadomiona, że do knajpki na rogu Wareckiej i Placu Wareckiego przybędzie Sidorowicz z Dyrzczem i Sankowskim.

Bojowcy zajęli miejsca przy stolikach w oczekiwaniu gości. Po chwili elegancko ubrani, przybyli w towarzystwie Sidorowicza Dyrzcz i Sankowski.

Nie spodziewając się niebezpieczeństwa, rozpoczęli w wesołym humorze przedśmiertną bibkę.

W pewnym momencie zerwali się z miejsc członkowie szóстки i z okrzykiem „śmierć prowokatorom“ dali do nich kilkanaście strzałów.

Sankowski zerwał się do ucieczki, lecz zdążył wykrzyknąć jedno słowo tylko „łaski“. Obydwaj zostali zabici.

Po dokonaniu zamachu ob. „Stanisław“ ze swoim przyszłym teściem Sidorowiczem udał się

do mieszkania, ażeby zabrać jego żonę staruszkę, lecz ta oświadczyła, że pod żadnym pozorem z miejsca się nie ruszy, choćby jej nawet śmierć groziła. Po chwili przybyła policja i rozwścieczona stratą swych dwóch pomocników, aresztowała Sidorowiczową, a po miesiącu więzienia zesłała córki do Berezowa (gub Tobolskiej).

Jako jeden z uczestników zamachu na prowokatorów został aresztowany podczas jednej z akcji z bronią w ręku Tarantowicz, pseudonim „Albin“. Był to człowiek słaby i zarozumiały. Skazany na śmierć udał wobec sędziów skruszonego i oświadczył, że żałuje za swoje winy i za ulaskawienie zdecydowany jest wydać znanych mu bojowców i partyjników.

Rozpoczynają się na prowincji znów masowe aresztowania i polowania na nieuchwytnego a straszliwego dla pacholków carskich „Stanisława“.

Tarantowicz, widząc po pewnym czasie, że dla żardarmerji stanie się wkrótce zbyt cennym, i że mogą go tak samo, jak i innych prowokatorów skazać na śmierć, pisze list błagalny do partji, zobowiązując się znów wyjawić tajemnice „Ochrony“.

Ażeby więc ocalić wielu ludzi, podczas procesów, od niechybnej śmierci, organizacja ułatwia wyjazd Tarantowicza zagranicę. Po kilku miesiącach Tarantowicz wyjeżdża z Krakowa do Rzymu, gdzie zostaje zgładzony przez członka organizacji bojowej Minkiewicza.

Ob. Arciszewski, jak mawiano zwykle w Wydziale Bojowym, po skórze instynktownie poznawał prowokatorów.

W 1906 roku wkręcił się do organizacji bojowej prowokator Prot, student politechniki. Po zetknięciu się z nim ob. Arciszewski oświadczył kategorycznie, że jest to prowokator. W Wydziale

Agitacyjnym oburzano się na to „histeryczne“ posądzenie, lecz potem fakty dowiodły, że ob. Arciszewski miał najzupełniejszą rację. W 1907 r. na żądanie ob. Arciszewskiego Prot został usunięty z Organizacji Bojowej, a w rok później Bakaj w swoich zapiskach wspomina, że Plebański Tadeusz, pseud. „Prot“ był na usługach warszawskiej „Ochrany“.

Po oczyszczeniu atmosfery z prowokatorów, ob. Arciszewski wyjeżdża do Lublina, kierować robotą bojową w tym okręgu.

W Rejowcu kieruje zamachem na państwową kasę stacji kolejowej. W odległości dwóch wiorst znajdują się dragoni i kozacy. W akcji biorą udział trzy szóstki. Pod kasę ob. Arciszewski zakłada dynamit, który jednak dość długo nie wybucha. Dla sprawdzenia przyczyny zbliża się do kasy, gdy wtem rozlega się ogłuszający huk, drzwi i okna wyleciały z trzaskiem z zawias, pancerna kasa rozpołowiła się na dwoje, a ob. „Stanisław“ rzucony straszną siłą wybuchową o sufit upadł ogłuszony na ziemię, przysypany odłamkami szkła i żelaza... Po chwili ku zdumieniu bojowców, którzy spodziewali się, że wybuch rozerwał go na sztuki, wydobywa się z pod gruzów, z lekkimi ranami na rękach i głowie i donośnym głosem wydaje bojowcom rozkazy dla odparcia atakujących już stację policjantów i żandarmów.

Ocalenie zawdzięczał tylko temu, że stał dość blisko miejsca wybuchu dynamitu, i jak zwykle, szczęściu. Pieniądze pod ochroną szóstki, która pozostała do ostatniej chwili na stanowisku, osłaniając odwrot, odstawiono, na skonfiskowanej szlagonowi bryczce, do Lublina.

Podczas kierownictwa akcją bojową na kasę państwową akcyzy przy ul. Zamojskiej w Lublinie

(naprzeciw kościoła katedralnego) wpadł sam do pokoju, pozostawiając na dole bojowców. Woźny zatrzasnął drzwi żelazne pokoju kasy, tak, że ob. Arciszewski znalazł się jakby w pułapce. Nie namyślając się długo, wyskoczył z pierwszego piętra na podwórze i ostrzeliwując się skutecznie z wywichniętą nogą, ukrył się u ob. Ryczka przy ul. Jezuickiej 13.

W zamachu na kasjera rządowego w okolicach Grabowa w powiecie Lubartowskim, kiedy zawiodła zamokła broń szeregowców szóstki, rzucił się sam na wóz z żołnierzami, lecz konie, spłoszone strzałami, poniosły, zostawiając na szosie zabitych 2 strażników.

W 1907 roku powraca do Warszawy i tropiącym go zewsząd szpiclom daje znać o sobie.

Kieruje akcją bojową na pocztę przy ulicy Wspólnej w Warszawie.

W gmachu, wypełnionym policją, który znajduje się w bliskości cyrkulów policyjnych wśródmieściu, z prawdziwą flegmą angielską kieruje swoją drużyną. Podczas wynikłej w gmachu strzelaniny palto i kapelusz miał kilkakrotnie przestrzelone. W akcji zostało zabitych dwóch szpicli, 5 strażników i moskał woźny.

Pada wtedy zabity przez moskała woźnego ob. Józef Karkocha, który, pomimo utkwionej kuli w brzuchu, zdążył spełnić rozkaz i przerwać połączenie telefoniczne z miastem.

Podczas całej akcji na środku sali stał ob. „B.” z rozwiniętym sztandarem. Rannych trzech bojowców odwieziono szczęśliwie do konspiracyjnego mieszkania.

Pomimo szalonej naganki „Ochrany“ nie rozstawał się nigdy z „mauzerem“ i „browningiem“.

W pokoju kawalerskim spał zawsze snem sprawiedliwego. Mieszkania dobierał sobie z możliwością odwrotu w razie najścia policji.

Zwykle dla zabezpieczenia się przed nagłym wtargnięciem policji, stawiał na specjalnym stołku bombę pod drzwiami; w drugim pokoju kładł na stoliku nocnym nieodłącznego „mauzera“.

Nieraz szpicle towarzyszyli mu do bramy, lecz nie mieli odwagi zaczepić go na ulicy.

W 1907 roku w Sławkowie pod Dąbrową na czele jednej szóstki rzuca bombę pod pociąg, wiozący pieniądze. Czereda moskiewska rozbiegła się w popłochu. Następnie na odczepionej lokomotywie z rozwiniętym sztandarem dojeżdżają szczęśliwie do Strzemieszyc. Dróżnicy salutują w drodze przed sztandarem.

W 1907 roku, jako instruktor bojowy, przybył do Łodzi. Rozgorzały wtedy smutne walki bratobójcze. Policja carska ściągała wieczorem z ulic posterunki, sprzedawała broń, konfiskowaną robotnikom podczas pogrzebów, i zacierała ręce, że cudzemi rękoma pozbędzie się „kramolników“.

Należało za pośrednictwem akcji bojowej, wymierzonej w pacholków carskich, zamącić sielankę z różnymi skrytobójcami i położyć kres wzajemnemu mordowaniu się robotników, co też potem częściowo się udało.

W 1907 roku w Łodzi w sierpniu, kierując napadem na wóz monopolowy przy ulicy Przędzalnianej, rzuca pocisk, ten eksploduje, a spłoszone konie unoszą wóz z kasą. Nie namyślając się wiele, rzuca się w pogoń, chwytając konie, zrzuca z wozu czterech żołnierzy, zabiera 4 worki z pieniędzmi, zdejmując palto i owinąwszy w nie pieniądze, niesie wśród gradu kul do ulicy, na której czekała umówiona do zabrania pieniędzy kareta.

W dwa dni po tym napadzie ukazały się ogłoszenia gubernatora, wzywające mieszkańców do oddawania posiadanej broni. Wpłynęło to w znacznym stopniu na zmniejszenie walk bratobójczych.

W 1908 roku kieruje akcją na pocztę w Miedzianej Górze pod Kaliszem.

W 1909 roku bierze udział w słynnym napadzie na pociąg w Bezdanach, gdzie skonfiskowano kilkaset tysięcy rubli.

W roku 1909 wyjeżdża do Galicji i stamtąd kieruje Organizacją Bojową w kraju, dokąd co pewien czas wyjeżdża.

Od roku 1911 pracuje zarobkowo, jako monter we Wschodniej Galicji.

Z wysiłków pozostałych rozbitków organizacji bojowej P.P.S. powstają pierwsze koła strzeleckie; prowadzi je dalej Sosnkowski.

W 1914 r. wybuchła wojna: ob. Arciszewski wstępuje do pierwszych szeregów kompanii kadrowej, wyruszającej do Królestwa. Staje na czele „Oddziału lotnego“, złożonego z byłych bojowców, wyprzedzającego zawsze szeregi strzeleckie. Bierze udział w kilkunastu bitwach i potyczkach. Dosługuje się ofiarną walką i pracą rangi porucznika.

W końcu 1914 r. bierze się na nowo do roboty społecznej. Staje na czele Związku Metalowców w Warszawie. Wchodzi z kurji powszechnej do warszawskiej Rady Miejskiej, występuje z ostrą krytyką działalności okupantów. Niemcy wydają rozkaz aresztowania jego. W tym czasie wszyscy radni z kurji robotniczej zostają wysłani do obozu jeńców.

Ob. „Stanisław“ staje się nielegalnym i znowu, ścigany przez zbirów niemieckich, pracuje niezmordowanie, biorąc także udział w akcji bojowej przeciwko okupantom.

Po przewrocie zostaje ministrem Rządu Ludowego w Lublinie, a następnie Ministrem Poczt i Telegrafów za rządów ob. Moraczewskiego.

Z Zagłębia, w którym kiedyś jako młodzieniec rozpoczął pracę oświatową, wchodzi jako poseł i przedstawiciel sfer robotniczych do Sejmu Ustawodawczego.

Oto plon życia człowieka, którym się chlubić i poszczycić może cała Polska, walcząca dalej o umocnienie podstaw i fundamentów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Z SZEREGU NAJDZIELNIEJSZYCH.

Okręg radomski od ostatniego powstania Styczniowego miał tradycje najbardziej rewolucyjne.

W roku 1863 przy współdziałaniu rzemieślników radomskich stoczono bodaj największą ilość zwycięskich potyczek, słowem, Radom szczylił się zasłużenie swoją przeszłością.

Lata rewolucji roku 1906 miały przygotowane podłoże, wobec czego ruch rewolucyjno-niepodległościowy objął szerokie masy ludowe, a ilość śmiałych zamachów na pacholków carskich przewyższała (z wyjątkiem Warszawy) inne okręgi partyjne.

Duszą tych wszystkich zamachów na gruncie radomskim od roku 1905 do 1906 był ob. Korsak (Włoskowicz), obecny wicewojewoda lubelski.

Wydalony za strejk szkolny z miejscowego gimnazjum, rzucił się w wir roboty spiskowej i organizacyjnej.

Brunet o twarzy śniadej, oczach południowca, entuzjasta, zawsze pełen wiary i energii w powodzenie licznych planów i projektów, którymi zasypywał wydział bojowy, był rewolucjonistą z krwi i temperamentu.

Człowiek o nieustraszonej odwadze, wychodził z najniebezpieczniejszych opresyj obronną ręką, tak jak się zwykle zdarzało każdemu bojowcowi,

walczącemu bez trwogi i lęku; towarzyszyło mu szczęście i powodzenie we wszelkiej akcji.

Początkowo w roku 1905 prowadził pracę agitacyjno-organizacyjną, będąc kierownikiem dwóch kół garbarskich, jednego ślusarskiego i jednego szewskiego (z ostatniego wyszedł słynny bojowiec obywat. Walek).

Pod wpływem ob. Korsaka wszyscy towarzysze z wyżej wymienionych kół przeszli do organizacji bojowej.

W roku 1905, podczas strejku powszechnego, na rozkaz wydziału bojowego przerywa połączenie kolejowe, jak również telegraficzne i telefoniczne na szosie lubelskiej, warszawskiej i kieleckiej. Podczas odwrotu w nocy został przy ulicy Długiej osaczony przez dragonów i na wezwanie „ruki w wierzch“ wyjął błyskawicznie browning i zaczął się odstrzeliwać, kładąc dwóch napastników trupem. Gnany przez kilku dragonów, odstrzeliwał się co chwila. Zdawało się, że tym razem nie uniknie śmierci, gdyż bramy wszystkich domów w porze nocnej były pozamykane, a z powodu stanu wojennego nie było na ulicy żywej duszy. Lecz matka ob. Korsaka, wiedząc w jakim celu syn poszedł na wyprawę, a przeczuwając nieszczęście syna, otworzyła bramę, w którą wpadł zmęczony i zdyszany z browningiem w ręce, ratując się od niechybnej śmierci. Tymczasem żołdacy w największym zdziwieniu przetrząsali z dwu stron ulicę, powtarzając ze złością: „propał czort!“.

Drugi zamach wydział bojowy polecił wykonać ob. Korsakowi na wachmistrza żandarmów, Kalinina, który, widząc naprzeciw idących trzech młodych ludzi, przeczuł widocznie co się święci i zamiast uciekać, rzucił się na jednego z bojowców,

powalił pięścią na ziemię i, trzymając go pod sobą, wrzeszczał ile miał sił: „Karaul“. Ob. Korsak, widząc niebezpieczeństwo, strzelił wachmistrzowi w szczękę, tem uwolnił z żelaznych kleszczy przerażonego towarzysza, który nie mógł o własnych siłach ruszyć się z miejsca.

W tym samym roku kierował zamachami na kilkanaście monopoli i cztery poczty, gdzie skonfiskowano dość znaczne sumy. Z ważniejszych miejscowości wymieniam: Białobrzegi, Szydłowiec i Wrońsko.

W r. 1906 przy ulicy Nowogrodzkiej i Wysokiej w Radomiu zabija prowokatora Kwiatkowskiego.

Dnia 2 stycznia roku 1906 rzuca bombę, na żandarmów. Ogłoszony i odrzucony siłą wybuchu, omal że nie dostał się w ręce policji. Żandarmi wyszli bez szwanku. Ponieważ w pobliżu było kilku przechodniów, ob. Korsak rzucił pocisk dalej aniżeli należało.

W tymże roku rzuca bombę ze śmiertelnym rezultatem na „Czarnego Prystawa“, znanego satrapę na gruncie radomskim, który z zamięłowaniem torturował więźniów politycznych.

Po tym ostatnim zamachu, który zgładził ze świata najbardziej krwiożerczego tyrana radomskiego, nastąpiły masowe aresztowania wśród robotników. W ciągu jednej nocy aresztowano zgórą 300 osób.

Ażeby jednak wykazać tężyznę organizacji, w ciągu jednego dnia rozbraja na czele jednej szóstki 16-tu strażników radomskich.

Rozkspirowany na gruncie radomskim, zostaje przeniesiony na inspektora okręgowego do Włocławka tam, po tygodniowym pobycie, urzędująca zbrojny napad na pocztę w Osiecinach, gdzie zabito wachmistrza i młodszego strażnika.

Podczas akcji na pocztę w Kowalu poczta obstawiona była żołnierzami i strażnikami. Starszy strażnik, widząc sześciu młodych ludzi, zbliżył się do chaty, w której bojowcy zatrzymali się chwilowo, z zamiarem aresztowania. Wtem posypały się strzały i „burek“ został zabity na miejscu. Strzałami zaalarmowani zostali żołnierze, którzy, rozsypawszy się w tyraljerkę, zaatakowali cofający się oddziałek bojowców. Wywiązała się potyczka, trwająca dwie godziny; pod osłoną nocy udało się wycofać oddziałek bez strat. Odwrót osłaniał, podtrzymując strzelaninę, ob. Korsak. Wycofał się on z placówki ostatni.

Na skutek prowokacji udało się szpicłom ochrony ująć ob. Korsaka podczas snu w jednym z konspiracyjnych mieszkań we Włocławku. Skonfrontowano go z „monopolszczykami“, pocztowcami i rozbrojonymi strażnikami, którzy poznali w nim kierownika akcji. Zdawało się, że tym razem nie uniknie stryczka, lecz los chciał widocznie inaczej. Obcując z dozorcą więziennym, strażnikiem Stępowskim, tak go przekonał i zjednał dla sprawy, że strażnik ten sam otwiera ob. Korsakowi podrobionym kluczem celę. Ob. Korsak przechodzi niepostrzeżenie około posterunku warty pierwszego piętra i tutaj pod schodami więziennymi przebiera się w dragońskie ubranie i najspokojniej mija posterunek, złożony z 15 dragonów, otwiera bramę, zamykając ją z zewnętrznej strony. Po „powierce“ wykryto ucieczkę; rozpoczęła się bezładna bieżanina po podwórzu więziennym i okazało się wreszcie, że warta i personel więzienny zostały zamknięte przez zbiega.

Przy pomocy zzewnątrz, gdy żołnierze i dozorczy wydostali się na ulicę, znaleźli niedaleko bramy więziennej ubranie dragońskie, porzucone

przez ob. Korsaka. Pomimo szalonego pościgu ze strony policji i wojsk, udało się ob. Korsakowi szczęśliwie przedostać do Krakowa, gdzie kończy z odznaczeniem szkołę bojową. Stamtąd udaje się do Lwowa na kursa handlowe.

Po rozłamie w P.P.S. z „Andrzejem“, ówczesnym członkiem lewicowego C. K. R., wyjeżdża na objazd do Ameryki.

Zwołuje kilkadziesiąt zebrań, werwą i zapalem porywając masy. Pracuje jako robotnik w fabrykach metalurgicznych w różnych Stanach Ameryki, stamtąd wyjeżdża na IX Zjazd lewicy do kraju i odtąd osiada we Lwowie.

Aczkolwiek należy do sekcji lwowskiej lewicy P.P.S., sympatyzuje z kierunkiem „Placówki“, wydawanej przez ob. Kunowskiego, podkreślając na każdym kroku dążenia niepodległościowe. Pomimo lewicowego kierunku nie ma w sobie nic doktrynerskiego. Ob. Korsak reprezentował kierunek społeczno-niepodległościowy.

Wybuchła wojna. Ob. Korsak przeprowadza wśród lewicowców lwowskich uchwałę, „że wstępowanie do drużyn strzeleckich jest sprawą prywatną każdego członka“. W konsekwencji swego stanowiska niepodległościowego wstępuje do szeregów legjonowych, gdzie z brawurą odbywa prawie całą kampanię. W służbie wywiadowczej oddaje cenne usługi, otrzymuje rangę oficerską. Współtowarzysze legjonowi cenili go wysoko, ale i to prawda, że przez kretynizm i zawiść niektórych przalążonych spychany był zawsze do niższych funkcji, które wykonywał jednak bez szemrania.

Spotkałem go przed kilkoma laty, pełnego nadziei i wiary w zwycięstwo demokracji polskiej i obozu niepodległościowego. Gestykulując żywo, przekonywał tak trafnie i logicznie, że trudno

było nie podzielać jego głębokiej wiary w przyszłość ludu polskiego. Wiedzę posiadał gruntowną, niepospolitą i usystematyzowaną, sąd jasny i przenikliwy. Natura to była żywa, szlachetna i entuzjastyczna, dobry jak dziecko, wesoły, a bardzo często rubaszny i swawolny. Szanując zawsze cudze zdanie, obejściem swoim chwycił za serce, dowcipem i humorem celował.

Na moją usilną prośbę przyrzekł opisać szczegółowo jedną z akcji, która, obfitując w piętrzące się przeszkody, była dla mnie jak bajka z tysiąca i jednej nocy.

Był to zamach w październiku roku 1918 w Radomskim pod Bąkowcem, gdzie Austriakom skonfiskowano milion koron. Pomimo zaalarmowania dwóch pułków austriackich i obsadzenia wszystkich dróg, pięciu peowiakom udało się szczęśliwie wycofać z opresji.

Przeżycia i przygody współtowarzyszy idei są dla mnie zawsze, jak dawne skandynawskie sagi rycerskich Wikingów. Wierzę, że tylko tym granitowym postaciom, tym niespokojnym duchom zawdzięczamy, że lud polski nie stoczył się do rzędu helotów. Oni opromieniali nimbem uroku te męczeńskie drogi nasze; oni byli zapładniającym czynnikiem w utworach „Młodej Polski“, oni byli budzicielami ducha wśród spodlonych niewolą, oni na ostrzach bagnetów nieśli światu ewangelję wyzwalającej się Polski, oni, Prometeusze-promieniści, ofiarni – nieśmiertelni, którzy byli jako promień słońca w stuletnich mrokach niewoli – dokonali swego, bo obudzili naród cały... Cześć im za to!

Niechaj wspomnienie o ludziach czynu będzie światłem, które dusze ogrzewa i hartuje, które

jak czyste powietrze przenika atmosferę przesyconą miazmatami sobkostwa, filisterstwa, upodlenia i zgnilizny moralnej. Niechaj słabych krzepi, wąpiącym sił doda, a nielicznym, krocącym po drodze życia na służbie poświęcenia i ideałów, pozwoli przenosić łatwiej prześladowania, a z brudów życia wychodzić zawsze czystymi, z czołem podniesionem.

Gdy wszystko wewnątrz łamie się i kruszy,
Gdy wiara zwycięstw milknie, bądź umiera,
Jedno bez zgonu w męskiej żyje duszy;
Cześć dla dzielności, cześć dla bohatera!...

EDWARD MILEWSKI.

RYCERZ NIEZŁOMNY.

Jeżeli kiedyś w przyszłym Panteonie narodowym umieścimy prochy bojowników wolności, to miejsce honorowe, ze względu na zasługi dla niepodległości, należy się bezsprzecznie dawnej P. P. S. Organizacja ta wydała w owych czasach liczne szeregi nieustraszonych szermierzy wolności, męczenników Sprawy, bohaterów, nieprzejednanych działaczy w walce z ugodą i najazdem.

Organizacja bojowa, istniejąca do bezpośredniej walki zbrojnej z zbirami carskimi, w czasach rewolucyjnych 1906–10 roku, składała się z obywateli, którzy na rozkaz wydziału bojowego, za sprawę wyzwolenia ludu, gotowi byli się rzucić nawet na całe tłumy żołdaków.

A schwytani z nienacka, czy podstępem (bo rzadko którego schwytano z bronią w rękę) umierali, jak przystało, dumnie i śmiało. Pamiętne są ostatnie słowa Kopisia, Okrzei, Montwiłła, Szulmana, a ileż było takich, o których, niestety, nie przedarła się wiadomość przez mury więzień carskich?...

Bojowcy w lwiej części rekrutowali się ze sfer robotniczych, instruktorami byli przeważnie inteligenci z wyższym wykształceniem technicznym, koniecznym w tego rodzaju sprawach. Idealiści, marzyciele, wychowani na romantycznej literaturze po – powstaniowej, mściciele krzywd ojców i braci. Jednych ciągnęła do bojóweki żądza niebezpieczeństwa, temperament ten sam, który zapisał złotemi zgłoskami Polaków w walkach toczonych o wolność Europy i Ameryki, ten sam, który unieśmiertnił polskich powstańców, z 1863 roku na barykadach Paryża... Inni, tych było najmniej, oswoili się z śmiercią, przeżyli w duszy konsekwencje, jakie ich czekać mogą; chłodni, rozważni, gotowi w razie starcia tylko drogo oddać swe życie.

Do tych należał obyw. Walek Kobiałko. Na pierwszy rzut oka niktby nie przeczuł, że jest to uczestnik około 30-tu zamachów w latach 1905–10, podczas walki rewolucyjnej w Królestwie.

Niskiego wzrostu, o twarzy bladej, uduchowionej, cichy, skromny, małomówny, nieznający potrzeb osobistych, gdyż życie całe wypełniała mu Sprawa, jest jak gdyby uosobieniem dobroci i pogody charakteru. W ciągu całej swojej działalności nie splamił się nigdy żadnym czynem nieszlachetnym. Etycznie czysty, był surowym dla tych, którzy postępowaniem plamili honor i godność bojowca. Szczęście w akcjach sprzyjało mu zawsze, dwukrotnie ranny, otoczony nieraz przez sfory szpicli i żandarmów, wychodził z opresji zawsze obronną ręką; ratowała go zimna krew i nadzwyczaj szybka orientacja w niebezpieczeństwach.

W 1906 był instruktorem bojowym w Kieleckim, Puławskim i Lubelskim.

Nieraz siedząc przy pracy na zydłu szewckim, zdala od swoich i kraju, na natarczywe nalegania z mojej strony, głosem cichym, monotonnym, opowiadał swe krwawe dzieje, a mnie wtedy przed oczyma duszy przesuwała się garstka nieśmiertelnych, którzy wbrew panującej wtedy opinii ugodowej, wbrew oportunistom bliskich współtowarzyszy, padali, jak „kamienie przez Boga rzucone na szaniec“ za wolność i lud!...

Obywatel Walek Kobiałko wcześniej, bo w 19-tym roku życia wstąpił do Kieleckiej organizacji bojowej. Na widok gwałtu i przemocy burzyła się w nim krew, ręce zaciskały się mściwie, a pierś paliła żądza odwetu. Z niecierpliwością oczekiwał „pierwszej roboty beckiej“, która wobec wrzenia rewolucyjnego, ogarniającego państwo carów, trafiła się dość rychło.

Pierwszy chrzest bojowy przeszedł w zbrojnej manifestacji w Radomiu w 1904 roku, gdzie zabito pułkownika i odtąd już wypadki prowadziły go po krwawym szlaku.

Z notatek jakie poczyniłem, przytaczam ważniejsze „roboty“, w nadziei, że podanie do wiadomości poniższych akcji zapisze na zawsze w pamięci obywateli postać i czyny jednego z bezimiennych bojowników i będzie przyczynkiem do historii krwawych zmagania z caratem.

W 1905 roku z ręki jego pada w Kielcach strażnik znany z bestjałskiego obchodzenia się z aresztowanymi.

W marcu tegoż roku bierze czynny udział w konfiskacie paszportów w kieleckim, konfiskacie pieniędzy monopolowych w Leśniczówce pod Skaryszewem, gdzie dynamitem wysadzono kasę. W Szydłowcu zniszczono monopol.

W Radomiu bierze udział w akcji przy ulicy Szerokiej, gdzie urządzono zasadzkę na żandarmów, rzucając bombę.

W 1906 roku zabija prowokatora Kryłowa, konduktora kolejowego, w pociągu w drodze do Skarżyska.

W marcu tegoż roku w Kielcach przy ulicy Bożęckiej, w biały dzień ginie od jego kuli starszy strażnik, znany w całym mieście z niecnych sprawek.

W Chęcinach kieruje akcją, mającą na celu wytępienie prowokatorów w tem mieście. W biały dzień zastrzelono jednego, następnie drugiego szpicla, trzeci zdążył zbiec. Żyd w rynku, widząc stojącego na straży ob. W., z krzykiem „bandyta“ rzucił się na niego z taką siłą, że upadł z nim razem, żydówka rzuciła się na pomoc swemu mężowi, robiąc straszliwy wrzask. Nadbiegli współtowarzysze i przepędzili ich. Podczas całej akcji strażnicy w miasteczku tak się skryli, że żaden nosa nie pokazał.

Po drodze z Włoszczowy do Kielc rozbito wszystkie monopole.

W Chmielniku w czerwcu 1906 roku bierze udział w napadzie na pocztę; urzędnik początkowo dał do niego kilka strzałów, lecz grad kul mauserowskich przekonał go tak dobitnie, że podczas akcji skrył się i już nie przeszkadzał.

W Białogonie pewna para małżeńska posiadała sklep, który był jednocześnie punktem zbornym szpicli i „ochrańszczyków“. Para ta była postrachem całej okolicy, kto im się nie opłacał, był aresztowany. W czerwcu 1906 roku kula browninga przerywa im niecne życie.

W lipcu 1906 roku bierze udział w napadzie na stację kolejową Białe. Zaalarmowano wojsko,

które znajdowało się wtedy w dość poważnej liczbie, szczęśliwie jednak udało się szóstce wycofać do pobliskiego tartaku, a potem dalej.

W Międzyrzeczu w 1906 roku (między Białą a Siedlcami) kilkunastu obywateli opanowało stację: kasa ogniotrwała, zawierająca pieniądze rządowe, była mocno zamknięta. Ob. W. zakłada dynamit, który był zmarznięty, dopiero zlany naftą wybuchł z taką siłą, że rujnuje całą stację.

Pod Łukowem w 1906 r. kieruje akcją napadu na Leśniczówkę, gdzie miały znajdować się pieniądze rządowe. Wchodząc do pokoju, zastali leśniczego wraz z pułkownikiem Obruczym, (znanym z pogromów białostockich i tłumienia ruchu w czasie barykad łódzkich), grających w szachy przy stole. Satrapa, widząc wchodzących, rzucił się do drzwi, wyrwał je z zawias, usiłując się dostać do pokoju, gdzie była złożona broń. Kilka strzałów posypało się w ślad, i przesyty kulami runął na podłogę. W przyległym pokoju, czterech żołnierzy prosząc o zmiłowanie, oddali swe karabiny; pozostawiono ich w spokoju. Po skonfiskowaniu broni i pieniędzy rządowych, odwrotu dokonano szczęśliwie, burząc po drodze pięć monopolii i konfiskując jednocześnie paszporty w dwóch gminach.

Stacja kolejowa Rejowiec gub. Lubelska w 1907 roku. Konfiskata pieniędzy carskich; w której bierze udział ob. W. Podłożywszy dynamit, który zbyt wolno się palił, kierownik akcji ob. Stanisław zbliżył się do kasy, aby zobaczyć, czy się pali. W tym momencie rozległ się ogłuszający huk i detonacja, od której zapadł się górny sufit. Ob. Stanisław Arciszewski wyszedł cało prawie cudem z ranami twarzy i rąk.

W 1907 roku podczas konfiskaty pieniędzy carskich na stacji Nałęczów (gdzie zginął sędzia lubelski, który nie chciał podnieść rąk do góry) wycofuje z największym trudem swój oddziałek.

W 1907 r. w marcu w Kazimierzu bierze udział ob. W. w akcji na pocztę i monopol, konfiskując jednocześnie paszporty gminne.

W tymże roku 1907 aresztowany podczas odwrotu szóstki, nie posiadając już przy sobie broni, odstawiony do Puław i oddany pod sąd polowy. Z pomocą towarzyszy z wolności, przepiłował kraty, ob. W. przez dół ustępowy zbiegł szczęśliwie z więzienia.

W dwa tygodnie później kieruje już akcją w Małogoszczy i Chęcinach na pocztę i monopol, a w tydzień później na stację kolejową Wystrzyce.

W tym czasie technik bojowy, Kobierzycka, pseudonim „Wanda“ w Lublinie, której brat za bandytyzm i sprzedanie broni został z rozkazu wydziału bojowego zabity, mszcząc się, wydaje cały szereg towarzyszy. „Wsypuje“ ob. „Froima“, u którego znaleziono dynamit, trąbkę i t. p. (stracony na stokach cytadeli w 1908 r.), a ob. Walek przypadkowo unika jej zasadzki, nie przybywając na nocleg do mieszkania przygotowanego przez Kobierzycką. Aresztowana pozornie wraz z innymi, została zdemaskowana przez jednego z ob. listonoszów, który przejął jej „donos“ do żandarmerji.

W Kielcach w maju 1907 r. z dwiema szóstkami, uzbrojonymi w strzelbę i dziewiątki, które podczas akcji z wyjątkiem jedyne go browninga zawiodły (w przeddzień magazyn broni W. B. wpadł w ręce policji) ob. Walek decyduje się na napad na inkasenta, wiozącego pieniądze rządowe.

Uczestnicy akcji, zauważywszy, że broń nie funkcjonuje, rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony, został się ob. W. z dwoma towarzyszami. Dwu żołnierzy wraz z inkasentem spłoszone konie poniosły, goniono ich jednak aż do wsi, gdzie kasa carska ocalała od bojowców.

Drugi napad pod Chęcunami i Kielcami również się nie udał, żołnierze skoczyli z wozu do pobliskiego rowu, odstrzeliwując się gęsto, uniemożliwili zbliżenie. Ażeby uniknąć niepotrzebnych ofiar, dokonano odwrotu.

Na stacji Tumlin pod Kielcami ob. W. rzuca bombę pod pociąg, wiozący pieniądze. Podczas strzelaniny 7-miu ludzi z eskorty zostało zabitych, kasjer wyszedł bez szwanku. Pieniądze na przygotowanej furmance zabrano.

W 1908 roku w Kielcach bierze udział w odbiciu ob. Bronisławy. Akcja rozegrała się wtedy na schodach sądowych, gdzie padło trzech broniących się zaciekle żołdaków.

W 1908 r. w marcu w Kielcach grasował starszy wachmistrz, były członek orkiestry Namysłowskiego, który w pierwszych czasach rewolucji udawał wobec robotników sympatyka, brał odezwy, a potem w czasach reakcji rozpoczął energiczne tropienie i prześladowanie znanych mu obywateli. Ochraniany zawsze przez żołnierzy był pewny siebie, spotkany na ulicy przez jedną z szóstek bojowych z ob. W. na czele, pomimo obstawionych wtedy przez wojsko domów, powalony został kilkoma strzałami na ziemię. Uratował jednak swe życie dzięki pancierzowi, który na sobie nosił. Powrócił po kilku miesiącach do Kielc o kulach i zniknął z Kieleckiego bruku bez wieści.

W zamachach powyższych brał również udział jeden z najdzielniejszych instruktorów bojowych, ob. Franek Gibalski, ułan legionowy.

Słynny później, b. instruktor bojowy, prowokator Tarantowicz z Lublina, pseudonim „Albin“, również brał udział w niektórych przytoczonych powyżej utarczkach. Schwytyany podczas strzelaniny z żandarmami w Ostrowcu, ratował swe nędzne życie denuncjacjami. Po masowych jego „wypach“ w całym kraju, kiedy poczuł, że ochronie staje się zbyt ciężkim, zbiegł do Krakowa, gdzie przed organizacją, niby skruszony wydał wszystkich prowokatorów i spostrzeżone tajemnice ochrony, spodziewając się bezkarności. Z Krakowa wyjechał do Włoch, skąd w zamkniętym koszu przesłano go otrutego do Warszawy. W taki sposób skończyła się karjera prowokatora.

W 1908 roku na jednej z ulic Sosnowca ob. W. kładzie trupem znanego kata robotników, starszego strażnika Swendziola.

W 1909 roku bierze udział w słynnym napadzie na pociąg w Bezdanach, gdzie skonfiskowano pół miliona rubli. Milion rubli zapakowane w niepokażnej paczce ocalały. 18-tu ludzi rozbroiło wtedy 50-ciu żołnierzy, których większość w las zapędzono. Odwrot odbywał się dwiema grupami, podczas odwrotu został aresztowany Figiel-Fijałkowski, robotnik z Ostrowca, który wydał jednego z uczestników akcji księcia Świrskiego, bojowca, którego skazano później na 20 lat katorgi.

W akcji powyższej brali udział wszyscy wybitni instruktorzy, jak również członkowie wydziału bojowego.

W 1909 r. ob. Walek wyjeżdża do Lwowa, gdzie przechodzi 4-miesięczną uzupełniającą

szkołę „becką“, stamtąd wyjeżdża do szkoły „bombistów“, gdzie zaprawia się specjalnie w obchodzeniu z „babkami“, przeznaczonemi na Skatona w Warszawie i Kaznakowa w Łodzi.

W Grodzisku w 1909 roku zostaje raniony w udo podczas zamachu na znanego kata robotników radomskich i ostrowieckich, Aleksandra. Do ranionego bombą satrapy daje ob. W. dwa strzały z browninga, trafiając go w kark. Choć raniony w pościgu, uchodzi szczęśliwie.

Po wyleczeniu się z rany bierze udział w napadzie na pocztę między Rejowcem a Krasnymstawem, gdzie zostało 4 strażników zabitych, natomiast pieniądze poniosły konie i nie udało się ich dogonić.

W odwrocie wynikło starcie pod Lublinem z strażnikami, z których jeden został zabity, drugi raniony.

W tymże 1909 roku w Kielcach zabija prowokatora Ziółkowskiego, kolejarza, na ulicy Staro-Warszawskiej.

W 1910 roku pod Białogonem otoczony wraz z dwoma towarzyszami przez policję i żandarmerję, z bronią w ręku toruje sobie drogę. Podczas odstrzeliwania się ob. „Śmiały“ z Ostrowca zostaje śmiertelnie raniony. Wobec przewagi liczebnej policji ob. Walek rzuca wśród nich petardę, która eksploduje z straszliwym hukiem i przez rozbiegłą w popłochu czeredę toruje sobie drogę. W odwrocie palto i spodnie były przeszyte kilkoma kulami, jak również zimowa czapka barankowa, lecz celność strzałów ob. W., od których padło 3 strażników tak przestraszyła ich, że zaniechali pościgu.

W 1910 roku między Turkiem a Kaliszem, kieruje akcją podczas napadu na pocztę, gdzie

2-ch żandarmów i 5-ciu strażników zostało zabitych. Skonfiskowano 40 tysięcy rubli.

Od tej chwili tropiony przez żandarmów i szpicli, którzy na zasadzie zeznań prowokatorów posiadali dokładny rysopis i fotografię, zmuszony zostaje do wyjazdu zagranicę, gdzie pracuje w tamtejszej kolonii polskiej, rwąc się, jak dawniej, do czynu i walki.

Oddaję hołd ofiarności i bezgranicznemu poświęceniu się dla idei ob. Walka w tym mniemaniu, że odbije się to sympatycznym echem w sercach tych wszystkich, którzy dokładali cegiełki do budowy Wolnej Niepodległej Ojczyzny.

MOTTO:

Duch — Światło, Młodość
Orla i żywa
Niebo porywa
Z Boga moc czerpie...

J. SŁOWACKI.

Z WSPOMNIENÍ.

ORLA DUSZA.

Jeden z pisarzy wypowiedział dobitne zdanie, że „kto w dwudziestym roku życia nie był radykałem, ten w czterdziestym będzie napewno nicponiem“!... I słusznie...

Bo kto, jak kto, ale młodzieniec to człowiek, którego nie zmogły jeszcze ciemne moce. To orzeł, który winien sięgać tam, „gdzie wzrok nie sięga“ — który — „łamie, czego rozum nie złamie!“

Młodość to szczytne o ideały Jutra bojowanie, to zapal, wiara, siła prężąca w słońcu swoje ramiona, to wielka ofenzywa ducha przeciwko przyziemnym pełzającym gadom ziemi... Młodość, to walka z oportunizmem i kompromisem życiowym, to zrywanie maski obłudy i hipokryzji, to wyzwanie rzucone w twarz staremu światu!... Młodość to zrywanie kajdan duchowych i społecznych, to wielki pochód dziejowy lepszej części ludzkości, wołającej o postęp, wiedzę dla wszystkich, światło i szczęście... Młodość to piękno, szlachetność, bezinteresowność, walka z złem, przeżytkami i nawiązanie nici tradycji do nieśmiertelnej pamięci jasných duchów promienistych Filaretów i Filomatów...

Młodość, to konfederaci Barscy, to ułani pod Somo-Sierą, to szum orłów napoleońskich ponad pułkami polskimi, to spiski z Łukasińskim na czele, Belwederczycy z Wysockim, to Bem w 1848 roku, gromiący najeźdźców austriackich, to nauka ks. Ściegiennego, „Czerwoni“ z Mirosławskim w 1863 r., to Dąbrowski na szczytach Paryża, to Bardowski, Osiński, Pietrusiński, Okrzeja, Papis, boje i legjony Piłsudskiego, szarża pod Rokitną i nieprzejednana walka z zaborcami...

Jakżeby beznadziejnie wyglądały nasze dzieje, gdyby nie było tych porywów młodości?... Każdy bunt działa zawsze ożywczo na atmosferę społeczną, przepojoną miazmatami ugody i niewoli...

Młodości!... któż zdoła wypowiedzieć i wyśpiewać siłę twych porywów i piorunowych czynów!...

Antoni Kmicik, Instruktor Bojowy P. P. S. rozstrzelany w 1907 roku w Łodzi przez sąd polowy był wzorem tej bujnej a pięknej młodości... Entuzjasta, romantyk, umiejący jednak praktycznie realizować swoje ideały. Z zawodu krawiec: najpierw zorganizował w organizacji partyjnej i związku swoich kolegów. Samouk – kształcił się usilnie w godzinach wieczorowych, rozmiłowany w dziełach wieszczów i proroków narodowych. Wielkie te wskazania były dla niego drogowskazem życiowym. Rwał się do czynu, do ozięmej rozprawy z najeźdźcami. Wstąpił do bojówki, a po ukończeniu szkoły instruktorskiej w Krakowie objął łódzki okręg, przeprowadzając jednocześnie ubojowanie całej organizacji. Brał czynny udział w kilku zamachach.

W Łodzi szalały w roku 1907 represje, prowokatorzy na czele wojska i policji przeprowadzali masowe aresztowania wśród robotników.

Rozkonirowani działacze wyjeżdżali do innych okręgów lub za granicę. Kmicik wyjechać nie chciał. Tropił i tępił bezlitośnie prowokatorów. Raz przechodził ulicą Andrzeja, gdy wtem z za rogu wypadł znienacka patrol żołnierski z żandarmem na czele. Skierowano w jego stronę karabiny z okrzykiem: „ruki w wierch.“ Zamiast „ręce w górę“ Kmicik wy dobył błyskawicznie browning i strzelił w twarz żandarmowi. Rozpoczęła się bezładna strzelanina za uciekającym, i wtedy podczas ostrzeliwania zaciął mu się nieszczęśliwie browning. Z konieczności, nie mając się czym bronić, wpadł do jednego z domów przy ulicy Piotrkowskiej, gdzie go schwytano...

W urzędzie śledczym poddano go straszliwym torturom w nadziei, że to go zmusi do zeznania, lecz Kmicik zaciął się i nie wyrzekł ani słowa. Wybito mu zęby, złamano mu żebro, lecz pomimo ran nie wydał nawet jęku...

Jako schwytany z bronią w ręku stanął najajutrz przed sądem polowym w Łodzi. Na zapytanie przewodniczącego sądu, czy przyznaje się do winy, odrzekł, że przyznaje się, że sercem i duszą całą dążył do wypędzenia najezdców z kraju. Oświadczył, że nie żałuje swego czynu, a jeżeli będzie miał sposobność – to będzie tępił pacholków carskich jak szkodliwe robactwo.

Kmicik mieszkał u nas, więc aresztowano również moją matkę. Ażeby nikt nie ucierpiał z racji jego czynu Kmicik oświadczył, że w domu gdzie mieszkał, nikt nie wiedział o tym, że należy do bojówki, był zakonirowany z zrozmiałych przyczyn i uważa aresztowanie mojej matki za dowód nadmiernej gorliwości żandarmskiej, która w taki sposób chce się popisać przed swoją władzą...

Na skutek tych zeznań sąd polowy uniewinnił matkę i polecił natychmiastowe wypuszczenie jej na wolność.

W ostatnim słowie Kmicik dumnie oświadczył: że jest żołnierzem rewolucji, należy do organizacji bojowej P. P. S., która tak długo będzie spiskować i urządzać zamachy, dopóki nie wypędzi zaborców z kraju. „Mnie rozstrzelacie – rzekł – ale pamiętajcie o tem, że zostaną się następcy, którzy dalej kontynuować będą rozpoczęte dzieło. Matce mojej wręczył kartkę adresowaną: „do Przeboja.“ W liście przedśmiertnym, jako motto, umieścił następujący wiersz Asnyka:

„Zresztą — niech wszystko niepamięć pochłonie
Co nosi doli osobistej piętna,
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie
Ta walka z losem smutna i namiętna,
Bo oto w świetle grobu tajemniczem
I ból i rozkosz zarówno są niczem!...

W liście wzywał młodzież robotniczą Łodzi, ażeby pozostała wierną ideałom Niepodległości i sprawiedliwości społecznej, by nie ugięła się przed prześladowaniem caratu. List zakończył słowami J. Słowackiego: „A gdy czas przyjdzie, idźcie po kolei, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!“

Umierał tak, jak przystało na żołnierza walki czynnej z caratem. Zerwał opaskę z oczu i patrzył śmiało w wycelowanych w pierś jego dwanaście karabinów. Rozstrzelano go w lasu Konstanyńskim pod Łodzią... Spoczywa w wspólnym grobie...

Oto ułamek życia i śmierci jednego z najdzielniejszych. Czy mogła Polska spodlec mając takich synów?...

Młodzież, walcząc w roku 1905–7 z caratem, walczyła jednocześnie o Polskę niepodległą,

zwiastowała gromy i burze, w ciężkiej atmosferze ugody i moskalofilstwa. Antoni Kmicik w swoich rozmowach ze mną wyrażał zawsze pragnienie, ażeby w momencie rozstrzygającym nie załamał się moralnie w obliczu tortur i śmierci. Entuzjazm jego i umiłowanie poezji romantycznej było jakby przygotowaniem duchowem do nieuniknionej Głogoty rewolucjonisty i bojowca.

Nie zapomnę nigdy tej chwili, kiedy ukryty za parkanem jednego z domów przy Szosie Konstantynowskiej, w mroczny ranek szary ujrzałem pędzącą bryczkę, a w niej skutego kajdanami w otoczeniu kilkunastu kozaków, Kmicika. Był błady, lecz w oczach jego paliło się płomieniem niezłomne spojrzenie...

Pięści moje zaciskały się wtedy w poczuciu bezsily...

Powiew śmierci unosił się nad głową skazańca, który pomimo to, rozglądał się wesoło. Obcował z czekającą go śmiercią, jak z siostrą. Z nieznanym zaświatów wzywali go z mroków mogił: Łukasiński, Traugutt, Okrzeja...

Wierny syn ludu i Ojczyzny wykonywał, jak przystało, testament ojców swoich...

Wyciągnąłem machinalnie ręce na pożegnanie ostatnie, w Twoją stronę, druchu serdeczny, a w piersiach rodził się plan zemsty i ślubowanie święte...

MOTTO:

Gdy wszystko wewnątrz łamie się i kruszy,
Gdy wiara zwycięstw milknie bądź umiera
Jedno bez skargi w męskiej żyje duszy
Cześć dla dzielności, cześć dla bohatera.

E. Milewski.

JAK W BAJCE.

Po roku 1863 sztandar niepodległości wysunął się z rąk polskiego powstańca.

Moskal pędził na Sybir dziesiątki tysięcy, a setki tysięcy gnębił w turmach i kazamatach carskich.

W społeczeństwie, steroryzowanem aresztami, konfiskatami majątków i barbarzyńskim prześladowaniem — zapanowała cisza grobowa...

Jak bakterje zarazy w organizmie wyniszczonym i trawionym chorobą, rozwijają się błyskawicznie, tak samo wtedy w społeczeństwie polskim, po szalonym upływie krwi, zapanowały lęk i trwoga...

Na gruncie ogólnej depresji duchowej i zniechęcenia do większych wysiłków i walki, zaczęły wyrastać chwasty „ugody“ „słowianofilstwa“ „pracy pozytywnej“ i rezygnacji z dążeń do uzyskania niepodległości.

Dzień powstania Polskiej Partji Socjalistycznej w r. 1891 był jednocześnie rokiem podniesienia na nowo sztandaru niepodległości państwowej i kontynuowania przez polskich socjalistów tradycji „czerwonych“ z roku 1863.

I szli w lud ofiarnicy, krzesali z dusz ludzkich urok ukochania ideałów ofiarności i poświęcenia...

Aż przyszła chwila, że uderzył grom w państwo carów, pamiętny rok 1905... a potem... pochód przed pałac batiuszki cara, strzały, barykady w Petersburgu, Moskwie i demonstracja zbrojna P.P.S. na Placu Grzybowskiem w Warszawie.

Odtąd coraz więcej „szaleńców“, „romantyków“ wstępowało do bojówki P.P.S., ażeby mścić się na wrogach za upośledzenie naszego ludu, pohańbienie Polski, za katusze, które codziennie znosić musiał naród polski...

Wróg nie żartował... Bojowiec był prześladowany bez pardonu, jak dzikie zwierzę... Schwytany przez policję torturowany był straszliwie, a kiedy trwał „krnąbrnie“ w uporze i nie chciał zostać prowokatorem szedł na stryk...

I wtedy po raz pierwszy od 1863 roku rozlegał się coraz częściej u stóp szubienicy na stokach cytadeli okrzyk wzniesiony przez bojowca Okrzeję: „Niech żyje Polska Niepodległa!“...

Komunikat żandarmski lub policyjny (usłużnie umieszczany w skorumpowanej prasie) nazywał wszystkich rewolucjonistów bandytami...

Stanowisko to zmusiło Wacława Sieroszewskiego do umieszczenia listu otwartego do społeczeństwa, w którym stawał w obronie skazańców...

W roku 1912 w Łodzi, wielkie wrażenie w całym mieście wywołało trzydniowe oblężenie przez policję Wojciecha Dryni, (w domu przy ulicy Zielonej Nr. 6) członka frakcji rewolucyjnej P.P.S.

Żandarmerja i część prasy łódzkiej nazwała go „bandytą“. Nie dziw, bo ugodowcy nie robili żadnej różnicy i wszystkich rewolucjonistów w tym czasie obdarzali w czambuł tem mianem.

Drynia liczył 25 lat i należał do najbardziej inteligentnych robociarzy w Dąbrowie Górniczej.

Był z zawodu kowalem. Odważny, silny fizycznie, dzielny, nieustraszony, żartowniś w najniebezpieczniejszych chwilach, kpił sobie z grożących mu kar i dość szczęśliwie wywijał się z nastawionych nań sieci.

Po rozbiciu organizacji P.P.S. w 1911 r. tułał się po Warszawie, a następnie przybył do Łodzi pod obcym nazwiskiem, starając się o pracę.

Wobec tego jednak, że był oskarżony o udział w całym szeregu zamachów w Zagłębiu, żandarmerja rozesała do Łodzi, Warszawy i Lublina – szpiegów, aby go za wszelką cenę ująć.

Na ul. Piotrkowskiej zauważył jeden z członków sosnowieckiej ochrony – prowokator, jak Drynia wchodził do cukierni. Zawezwał wtedy telefonicznie jeszcze 3-ch szpicli i na wychodzącego z cukierni rzucili się z rewolwerami, usiłując go obezwładnić. Drynia obdarzony olbrzymią siłą wyrwał się dość szybko i strzelił prosto w twarz prowokatorowi, który ciężko ranny, runął na ziemię.

Ścigany przez pozostałych, Drynia wpadł do domu przy ulicy Zielonej Nr. 6, a mając znaczny zapas naboji, trzymał moskiewskich szpicli w należytej odległości.

Zaalarmowana policja przystąpiła do prawidłowego oblężenia domu. Usunięto wylęknionych lokatorów, otoczono kordonem policji podwórze, obsadzono dachy, otaczających domów i nie żalowano kul.

Drynia miał przy sobie około trzystu naboji, mauzer i browning.

Nazajutrz policmajster donośnym głosem zażądał od Dryni poddania się. Na to otrzymał taką samą odpowiedź, jaką ongiś garstka niedobitków

francuskich pod Waterloo dała wysłańcowi wojsk koalicyjnych: „pocałuj mnie w nos“... Następnie kpił sobie z „odwagi“ policjantów, oświadczając dobitnie, że prawdziwy bojowiec nie poddaje się nigdy.

Policja, nie chcąc się kompromitować, nie wzywała pomocy wojska. Zwrócono się tylko do komendanta miejscowego garnizonu o karabin maszynowy, który ustawiono na synagodze i zaczęto gęsto ostrzeliwać dach domu, w którym bronił się Drynia. Jednocześnie policmajster ogłosił wśród policji rozkaz, że ten, kto zdobędzie go żywcem, dostanie nagrody tysiąc rubli.

Nagroda ta widocznie skusiła jednego ze strażników, bo pokryjomu przebił w suficie na trzecim piętrze otwór i miał nadzieję, że w nocy zaskoczy z tyłu obleganego, który ukrył się na trzecim piętrze za rezerwuarem i stąd strzelał do napastników.

O godz. pierwszej w nocy strażnik chyłkiem przystąpił do wykonania obmyślnego planu.

Bojowiec znużony trzydniową walką drzemał za rezerwuarem z browningiem w ręku, gdy w tem usłyszał podejrzany szmer w ciemności. Drynia chwycił za sztangę żelazną, leżącą za rezerwuarem i czatował na nieproszonego gościa, leżąc plackiem na podłodze.

Po chwili ukazała się głowa skradającego się cicho strażnika, a następnie podniósł się na zawiasach i usiadł zmęczony na podłodze, rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony.

Drynia, nie czekając dłużej, ugodził go straszliwym ciosem w głowę.

Strażnik zachwiał się i runął bez życia na ziemię...

Następnie Drynia ściągnął z niego mundur, szynel, ubrał się pośpiesznie w ubranie zabitego, w swoje natomiast ubrał strażnika, posadził go za rezerwuarem, wsadził na nos swoje binokle i spuścił się na dół tą drogą, którą przybył strażnik.

Rano o godz. 4-ej nastąpił generalny atak policji przy pomocy różnych urządzeń ochronnych i przyrządów straży ogniowej.

Na strzały ze środka nikt nie odpowiadał. Zdobyto nareszcie obleganą twierdzę...

Zastano mniemanego „miateżnika“, siedzącego za rezerwuarem z strzaskaną czaszką. Stwierdzono tylko, że zabity nie jest poszukiwanym przez policję, oskarżonym o napad na furgon pocztowy.

Zabitego „miateżnika“ w triumfie zawieziono do szpitala Czerwonego Krzyża i tutaj dopiero nastąpiło wyjaśnienie zagadki i tragicomedji łódzkiej policji.

Żona zabitego strażnika zameldowała tego samego dnia w komisarjacie policji, że mąż jej nie wrócił do domu i dla ciekawości poszła wraz z innymi do „Czerwonego Krzyża“ w nadziei, że mąż jej pełni służbę w tym szpitalu.

Przy oglądaniu zwłok rzekomo zabitego rewolucjonisty, przerażona, poznała w nich swego męża. Przy zwłokach zabitego rozpoczął się lament i krzyk.

Policja łódzka, bojąc się odpowiedzialności i niełaski władz wyższych, zebrała wśród wyższych funkcjonariuszy znaczną sumę pieniędzy i wyprawiła wdowę do Rosji z warunkiem zupełnego milczenia o zaszłym w Łodzi wypadku. Pop odebrał od niej przysięgę, że tajemnicy nie zdradzi i po sutym zaopatrzeniu na drogę – wyjechała do rodzinnej wioski w gubernji Samarskiej.

Drynia dostał się szczęśliwie do jednego z przyjaciół, a po wyleczeniu się z trzech otrzymanych podczas obłożenia ran wyekspedjowano go zagranicę. Pracował rok w Bremie, a w 1913 roku wyjechał do Ameryki. Podczas wojny przybył z Ameryki do Kopenhagi i pod przybranym nazwiskiem wstąpił do I Brygady Legjonów. Zginął pod Krzywopłotami. O przygodach jego opowiadał ob. Ochman z Pabjanic, który z nim razem odbył kampanję legjonową. Na wspomnienie tych czynów z czcią i szacunkiem pochylają się nasze czoła. Tylko w rozmachu z szaleństwem graniczącym, realizują się wielkie idee narodu i ludzkości.

Nie doczekał się Drynia Polski Niepodległej, która powstała z trudu i znoju takich, jak on, bohaterów. W łonie ziemi, tam, gdzie nawet niema krzyża na mogile, spoczywają snem wiecznym zwłoki nieznanego żołnierza. Duch jego nieśmiertelny opromieniony nadludzkiem bohaterstwem, towarzyszy tym wszystkim, którzy dzisiaj wzmacniają rządy państwowości polskiej tak wewnątrz, jak i na zewnątrz.

W DRODZE NA SYBIR.

NA ZEŚLANIU.

MOTTO:

W carskich siedzieliśmy turmach,
Sybiryskim gnano nas szlakiem,
A każdy z nas był szczęśliwy,
Że się urodził Polakiem!

EDWARD SŁOŃSKI.

KONCERT W BUTYRKACH.

„Butyrki“... Poważne, dostojne mury więzienne w Moskwie, ukrywając w ciągu wielu, wielu lat „kramolę“ i wszystko to, co miało związek z nieprawomyślnością i buntem przeciw panującej władzy. Mury pokryte nazewnątrz pleśnią, a wewnątrz przesycone wilgocią i stęchlizną. Każda cela, to prawdziwe królestwo pluskiew, które w nocy spać nie dają nikomu i z tej przyczyny więźniowie napełniają cały ten gmach słowami złorzeczeń i przekleństw ludzkich, wygłaszanych w różnych narzeczach i językach świata. Grube mury, stos kajdan w przedsiönku więziennym wywarły na nas wrażenie przygnębiające.

„Butyrki“ mogły wtedy pomieścić kilka tysięcy osób.

Od dekabrystów do „katorżników“ rewolucji z 1906–7 roku ciągnie się poprzez ten ponury gmach niedola ludzka. Z jednej strony walka o prawo wolności i sprawiedliwości, z drugiej usiłowanie do obrony stanu bezprawia, przez carat a dziś przez bolszewików.

A słabi jak zapełniali dawniej tak i dziś zapełniają również wnętrza tego gmachu kajdan i mąk ludzkich, tylko zamiast oprawców carskich, obrońców praworządności, stróżują tam dziś czerwoni kaci, mianując się samozwańczo obrońcami proletariatu...

* * *

Okute ciężkie drzwi nie przepuszczały z celi nazewnątrz żadnego dźwięku i głosu, stąd też panowała względna swoboda w celach zbiorowych i samorząd więzienny. Łącznikiem z władzą był starosta więzienny, wybrany z naszego grona, cieszący się mirom i poważaniem tak u jednych jak i drugich.

Do jednej celi obszerniejszej od innych ulokowano około dwustu osób: Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Ormianie, Gruzini, Osetyńcy, Niemcy nadbałtyccy, Estończycy, Litwini, Tatarzy spacerując grupami i dyskutując zawzięcie, wytwarzali jarmarczny gwar i hałas. Z szczególniejszą sympatią odnosili się do nas jako do Polaków, członkowie ormiańskiej partii „Dasznakentiuń” oświadczając, że są, tak jak Polacy podzieleni pomiędzy trzy mocarstwa: Persję, Turcję i Rosję i mają jednakowe zadania i cele z P. P. S.

– Jesteśmy – bracie – niepodległościowcami i terrorystami. Podziwiamy waszą sprężystość w pracy i organizacji bojowej. Jesteście nie tylko dla nas, ale i dla Rosjan wzorem nowoczesnego rycerstwa i praktycznego realizowania waszych ideałów narodowych i społecznych – mówił z entuzjazmem – czarny, jak kruk, śniady i gwałtowny Ormianin. Uściskałem go za to serdecznie. Czulem się dumny tą pochwałą, jako Polak i rewolucjonista.

Na wniosek jednego z Rosjan postanowiliśmy nazajutrz o godzinie 7-ej wieczorem urządzić koncert międzynarodowy t. j. śpiewy chóralne i grę na instrumentach: jak grzebień z bibułką, okaryna i rondelki blaszane, przerobione na bębenki. Nagrodą dla najlepszego zespołu miała być szynka, dwie kwarty masła i pięć funtów cukru. Nie dziw więc, że cela podczas tych prób przygotowawczych przekształciła się w zbiorowisko warjatów. Przygodne kompletowanie i przygotowywanie zespołów zajęło dość dużo czasu. Litwini, których dwóch tylko było – odpadli, potem osetyńcy, estońscy i ormianie.

Z ciekawością oczekiwaliśmy tego oryginalnego i ciekawego koncertu, który rozpoczął prelekcją wstępną profesor konserwatorium, radykał rosyjski. Mówił pięknie i obrazowo, „że sztuka oczyszcza namiętności – jak twierdził Arystoteles – potwierdziły jednak wieki, że muzyka i śpiew służą do celów uduchowienia i uszlachetnienia ludzkości. Namiętności są potrzebnym natury naszej składnikiem, darem Bożym, bez którego życie byłoby bez ciepła, a czyn bez siły. Wychowaniem staramy się dojść do tego, by nad namiętnościami przewodził rozum i trzymał je na wędzidle woli. Tem wędzidłem jest etyka, która uczy kiełznać rumaki namiętności i wprzęgać je do rydwanu życiowego. Ale pomaga w tem dziele, przygrywa podczas tej tresury owa lutnia Orfeusza, którą widzimy nie tylko w Grecji, ale w początkach każdej cywilizacji ludzkiej. Lutnia przekształca szalę rozbójnicze w ofiarę i poświęcenie dla idei i Ojczyzny, wyrabia poczucie honoru, pogardę dla podłości i ciemiężców, współczucie dla gnębionych i cierpiących.

Podanie głosi, że wałą się mury Jerycha na głos trąb Jozuego, łagodzi się szal Saula pod wpływem harfy Dawida, a Egipcjanie i Grecy przypisywali potężne znaczenie śpiewom chóralnym i muzyce, widząc w nich podwalinę czynnika wychowawczego i moralnego. Prawo ateńskie wkładało na ojca obowiązek kształcenia dzieci w muzyce.

W średniowieczu muzyka zajmowała pierwsze miejsce, potem dopiero arytmetyka, geometria i astronomja. Humanści włoscy kładą wielki nacisk na muzykę, a Marcin Luter wyznaczał jej miejsce zaraz po teologii, uznając jej siłę dyscyplinarną. bo jak powiada: „czyni ona ludzi dobrymi, łagodnymi i rozsądnymi“. Pestalozzi, słynny wychowawca szwajcarski, wywalczył muzyce w planie nauk, wprawdzie nie pierwsze miejsce, ale stanowisko przedmiotu obowiązującego. Helmholtz mówi, podniosłe: „o ile rozumiemy mowę artysty, o tyle mamy wrażenie, jakobyśmy sami byli częstkami tych sił, które stworzyły cudowne dzieło“.

Zakończył zacy profesora, ten piękny wykład, wezwaniem, ażeby śpiew i prymitywna muzyka więzienna umacniała ducha, stwarzała w duszach naszych zapal i otuchę na przyszłość, ażeby na skrzydłach dźwięków zstępowały do nas za kraty ideały Wolności, Piękna, Dobra i Prawdy.“

Rosjanie rozpoczęli pierwsi śpiewem „Ukażi mnie takuju obitiel“. Smętnie i melodyjnie płynęły pieśni rosyjskie o dalekiej wolności, o niedoli ludzi pracy, zakończone mściwą „Dubinuszką“.

Ukraińcy wykonali cały szereg pieśni ludowych, które wywarły na wszystkich najsilniejsze wrażenie. Szczególniej „Wijut wity“ i „Oj ne hody Hryciu taj na weczernicu“ swoją prostotą i melodyjnością podobały się wszystkim.

Na trzecim miejscu umieszczono polaków. Jeden z naszych ziomków śpiewał ślicznie z op. „Halki“ – „Szumią jodły na gór szczycie“ „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“ i „Jeszcze jeden mazur dzisiaj“. Chóralnie wykonaliśmy „Warszawiankę“, „Marsz Żuawów“ i „Marsz Strzelców“. Bisom nie było końca; nasz tenor ochryplł a śpiewał siarczyście „ażeby się nie dać innym“.

Żydowskie pieśni brzmiały ponuro i żałośnie. Odśpiewano: „Frihobiiijech majn Hous majn Hajmat verloren“ Goldstata, następnie „Wir szwejrem“ oraz sjonistyczną „Dort woder sijń szlank di wolke kist“.

Dziko i mściwie brzmiały gruzińskie pieśni rewolucyjne.

Niemcy śpiewali „Auf sozialisten“ i „Internationale“.

Ostatecznie jednak szynka masło i cukier dostały się ukraińcom. Chór polski otrzymał II miejsce oraz zaszczytne wyróżnienie, a rosyjski zajął trzecie miejsce w ocenie jury.

Wrażenie, jakie wyniosłem z tego koncertu, było bardzo silne. Doszedłem wtedy do wniosku, przysłuchując się tym pieśniom, że jednym z czynników braterstwa ludów jest pieśń, która koi i łagodzi sprzeczności społeczne, wyznaniowe i narodowościowe i przygotowuje w duszach ludzkich „Królestwo Boże“ na ziemi..

STARYM SZLAKIEM ZESŁAŃCÓW.

WSPOMNIENIA Z „PODRÓŻY NA SYBERJĘ.”

W spiekły dzień czerwcowy, drogą, prowadzącą do przeznaczonego nam na zesłanie miejsca, wśród tumanów kurzu i pyłu, posuwała się nasza gromadka wygnańców, licząca 90 osób.

Wśród zesłańców rozbrzmiewały języki różnych narodów, gnębionych przez carat. Byli tam: polacy, litwini, Niemcy, Rosjanie, Łotysze, Żydzi, Ormianie i Gruzini. Pod względem politycznym dzielili się na: P.P.S-ców, S.D-ków polskich, rosyjskich, łotewskich i niemieckich, Socjal-rewolucjonistów z żydowskich grup rewolucyjnych: byli „Bundowcy“, „Socjal-Sjoniści“, „Poalej Sjon“ i „Sejmowcy“. Polaków było 24.

W każdej spotkanej po drodze wiosce zostawało pod opieką „wołostnego starszyny“ na stałe po kilku zesłańców, resztę gnano dalej. Eskortowało nas wtedy tylko 10-ciu Kozaków, lecz ucieczka była ryzykowną, bo Włościanie, obawiając się grasujących w okolicy napadów, które z podszeptu urzędników przypisywano zesłańcom, chwyтали już w następnej wsi uciekinierów i zabitych oddawano zwykle w ręce „urjadników“.

Co pewien czas ktoś zasłabł w drodze, zostawiano go wtedy w najbliższej wsi, a my ruszaliśmy dalej...

Bardzo często chory, złożony gdzieś w szopie, konał cicho... nikt nie uronił łzy nad grobem niejednego idealisty, bo władze wśród ludności miejscowej starały się go przedstawić najczarniej, nawet po śmierci.

W nocy zamykano nas zwykle w pierwszej lepszej spotkanej stodole lub szopie, rozdzielano po 10 kop. na głowę, delegowani zakupywali we wsi produkty, po spożyciu których zasypialiśmy snem kamiennym.

Wrażliwość stępiona w różnych norach stepowych, ogrom ludzkiej niedoli, sprawiały, że człowiek przyzwyczał się do wszystkiego. Dziwny bezwład, apatia i bierność paraliżowały wolę i jednym pragnieniem każdego było jaknajszybciej dostać się do miejsca przeznaczenia, a potem – mawialiśmy – odpoczniemy za wszystkie czasy... Eskortujący nas kozacy dosyć łagodnie obchodzili się z nami i ze stoickim spokojem znosili najostrzejsze wyzwiska na rząd i cara, wymawiane ze specyficznym zacięciem przez rosyjskich towarzyszy. Może w duszy przyznawali nam słusność, lub też bali się zadzierać z nami ze względu na przeważającą liczebnie partję zesłańców. Wszyscy byli skazani administracyjnie na czas trwania stanu wojennego i wzmocnionej ochrony.

Posuwając się po drodze, prowadzącej do Woskresienska, wśród ciągnącego się po obu stronach brzozowego lasu, zauważyliśmy na kopcu wysokim stojący krzyż jednoramienny.

Zdumieni tem zjawiskiem, tembardziej że miejscowość ta była zamieszкана przez „starowierów,“ zbliżyliśmy się z ciekawością do wysoko

usypanego kopca, zarosłego zielskiem i trawą...
Na krzyżu odcyfrowaliśmy z trudem wyrżnięty
następujący napis:

„Uczestnicy powstania 1863-go roku zmarli
podczas zamieci śnieżnej w Grudniu 1866 roku,
w liczbie 561, proszą ziomek o westchnienie
do Boga“.

Wszyscy, nie wyłączając eskortujących kozaków, odslonili ze wzruszeniem głowy... A od mogiły zapomnianej przez swoich i obcych, od pochylonego i próchniejącego już krzyża zszedł do nas buntowniczy żar, z za grobu wzywający do pomsty, do walki z caratem na śmierć i życie, do krwawej rozprawy z tymi, którzy już czwarte pokolenie polskie pędzą po tych samych drogach, na głód, nędzę i poniewierkę...

Jeden z kozaków, chcąc przerwać grobowe milczenie, odezwał się niby z dobrodusznem objaśnieniem:

– „Zdieś pogibli polskije miatieżniki, no wsio taki żałko, christjanie!“

W odpowiedzi na to jeden z rosjan obyw. Sałdienko, nauczyciel gimnazjalny z Charkowa, przemówił krótko, podkreślając współdział rosyjskich rewolucjonistów w powstaniu 1863 roku.

Stanowisko Hercena i jego pisma „Kołokoł“ w tym czasie, wskazujące, że polacy byli zawsze wzorem dla wszystkich bojowników o wolność, gdyż na sztandarach swoich już w roku 1830 podczas wojny rosyjsko-polskiej mieli wypisane szczytne hasło: „Za Waszą wolność i Naszą!“

– „Bracia“ – rzekł – „przysięgnijmy na tym grobie: pohybel carowi i jego zgrai!“

– „Na pohybel!“ wrzasnęło kilkadziesiąt głosów i wszystkie ręce podniosły się do góry, dla ślubowania wspólnych zasad i haseł...

Kozacy usunęli się dyskretnie na bok...

Stałem przejęty do głębi tym widokiem, myśl cofnęła się do ciernistych lat martyrologji naszej, a w duszach brzmiały mi, jak dawne, słyszane w dzieciństwie, echo, jak beznadziejny nokturn, słowa poety:

Ich mogli pełne są cmentarze

Aż od Jakuckich śnieżnych pól...

Zabiły, jednych ręce wraże!

A innych nędza, rozpacz, ból...

Nas wszystkich, pomimo różniących nas doktryn, zespolił uczuciowo i zagrzał serca do walki i wytrwania – ten testament, przekazany nam przez ojców z za grobu...

— — — — —
Śpijcie spokojnie dumni nieprzejednani buntownicy polscy, których kości rozsiane są bezimiennie po całym Sybirze. Ofiary wasze i krew przelana za Świętą Sprawę. Warszawa, Polska Niepodległa odparła szczęśliwie nowy najazd moskiewski, a żołnierz polski ostrzem bagnetu utrwalił i zabezpiecza nadal granice Ojczyzny.

Ciemężyciele i kaci Wasi, spożywają dzisiaj gorzki chleb niewoli i emigracji.

Nemezis dziejowa mści się!...

BEZ WINY.

„Kto jest bez grzechu, niech rzuci na nią pierwszy kamieniem“ – słowa Chrystusa wypowiedziane ongiś do prześladowców Marji Magdaleny, winny się utwalić przede wszystkim w duszach i sercach ludzkich, ażeby wypłenić z nich przewrotny faryzeizm i pochopność do rzucania oskarżeń na swych bliźnich.

Ileż to razy człowiek zbrukany, przewrotny, podstępny, nie mający ani krzty miłosierdzia i sumienia, głosi wielkie i wzniosłe hasła, na pokaz teatralny, a w życiu codziennym hołduje zasadom nieludzkim i pogańskim?... Ileż to razy widzimy niesamowitą rozpiętość pomiędzy pięknym słowem a czynami?... Nie należy rzucać oskarżeń mściwych na bliźnich swoich, a szczególnie na tych, którzy dzięki okolicznościom stoczyli się nieraz na dno życia... Na tych wszystkich, którzy cierpią bardzo często i znoszą katusze za cudze winy...

* * *

W jednej z cel w Butyrkach w Moskwie, etap zesłańców rozlokował się dość szybko. Na pryczach rozłożono tobołki, zapasy żywnościowe i poduszki. Każdy był rad, że może po ciężkiej podróży wyciągnąć zmęczone ciało i zasnąć spokojnie.

Pozdejmowano ze zmęczonych nóg, po raz pierwszy od trzech dni, obuwie. U niektórych zesłańców potworzyły się od ciasnego obuwia i odcisków na nogach rany ropiejące. Chodzili więc niektórzy niespokojnie po celi, utykając, narzekając i przeklinając tę podróż w okratowanych wagonach kolejowych pod strażą z Warszawy do Moskwy.

W więzieniu „butyrskim“ przebyliśmy dwa tygodnie, a potem przetransportowano nas do Niżniego Nowgorodu, a stamtąd statkiem okratowanym, po Wołdze do Samary. W drodze kilku kolegów niedoli narzekało na osłabienie i zły stan zdrowia.

W Samarze uderzył nas fatalny wygląd zewnętrzny kilku starszych wiekiem zesłańców, którzy oderwani zostali wyrokiem satrapy carskiego, Kaznakowa, od swych żon i rodzin w Łodzi. Po kilku godzinach ich stan podgorączkowy spotęgował się, wysypka i plamy żółte wystąpiły na ciele, oczy podkrążone i silne zdenerwowanie kazały przypuszczać, że był to prawdopodobnie tyfus plamisty...

Zawezwaliśmy lekarza więziennego, chorych ułożyliśmy na pryczach. Lekarz po zbadaniu szczegółowem pacjentów, postawił dżagnozę, którą wprowadził wszystkich w zdumienie i przerażenie.

Okazało się, niestety, że był to *lues*...

Historja tej choroby przedstawiała się następująco: W jednej z większych cel butyrskiego więzienia siedziało kilkudziesięciu rosjan, więźniów politycznych, chorych od dłuższego czasu na tę chorobę. Cella była izolowaną od innych z tej przyczyny, że lekarz – zastrzyki, a felczer zabiegi, z polecenia lekarza więziennego, wykonywał w tej celi. Po śmierci dwóch chorych, przeniesiono

mieszkańców gdzieindziej. Nie przeprowadzono widocznie należytej dezynfekcji. Podłoga była zakażona bakterjami. Zarazki dostały się z łatwością do poranionych nóg kolegów, a stąd rozmnożyły się dość szybko po całym organizmie.

Jedenastu kolegów zostało zatrzymanych w szpitalu więziennym na dłuższą kurację, nas pognano dalej do Czelabińska. Rozpacz nieszczęśliwych była straszna. Jeden z chorych targnął się w nocy na swoje życie i tylko dzięki czujności współwięźniów uratowano go od samobójstwa. Nigdy nie zapomnę tej strasznej nocy...

Jeszcze do dziś dnia brzmia mi w uszach zlorzeczenia i narzekania... Jeszcze do dziś dnia widzę przerażone twarze chorych i czające się w ich oczach: strach i lęk...

Największym darem niebios i szczęściem człowieka jest zdrowie. Czy można choć w przybliżeniu wyobrazić sobie rozpacz ludzi pozbawionych wolności i możliwości skutecznego leczenia, zakutyh w kajdany i naznaczonych piętnem straszliwej choroby!

Powie niejeden, że to przeznaczenie... Nie, to przekleństwo niewoli moskiewskiej, piętno bierności w większości narodu, który swoją uległością wobec zaborców pozwolił na męki i katusze tysięcy Polaków, jęczących w szponach najeźdźcy...

Pamiętajmy więc na męki naszych ojców, na krzywdy, cierpienia i pohańbienia, znoszone pod jarzmem zaborców, na krew polską przelewana na wszystkich frontach świata za obcą i wrogą nieraz sprawę, że należy Polskę uczynić silną nawewnątrz jak i nazewnątrz, ażeby po raz drugi do upadku Niepodległości nie dopuścić!...

MOTTO :

Kto z ruskim carem raz się zwadził,
Ten już z nim, na tej ziemi, nie zgodzi się szczerze
I musiał albo bić się, albo gnić w Sybirze.

(„Pan Tadeusz“ A. Mickiewicz.)

KOŃSKA KURACJA.

Od Czelabińska do miejsca zesłania przebyliśmy etapami w ciągu kilku dni trzysta kilkadziesiąt wiorst. Konwój kozacki uczynił odpowiedzialnym Komitet Gospodarczy zesłańców za ewentualną ucieczkę aresztantów. Zresztą uciekinierów chwymano już w następnej wiosce i zbitych, pokaleczonych, dostarczano nazajutrz do naszego etapu. Woleliśmy więc dostać się na miejsce przeznaczenia, a potem już, po pewnym czasie, stamtąd próbować szczęścia ucieczki.

Podczas podróży prześladował mnie widocznie jakiś pech. Wstyd mi było, że nie mogę wytrzymać trudów i niewygód tak, jak inni towarzysze niedoli. Co pewien czas korzystałem z podwoły lub koni kozackich i upadałem wprost z wycieńczenia i osłabienia. W czwartym dniu zachorowałem na dezynteryę i cholerynę. Słowem, niewiele mi się już należało. Zbliżał się jednak na szczęście kres naszej pielgrzymki. Nastrój wśród zesłańców panował jednak wesoły i beztroski. Śpiewaliśmy bez przeszkód ze strony konwoju tęskną pieśń katorżników-powstańców: „Wiatr wionął szumiąc po pustym stepie“ lub dziarski „Mazur kajdaniarski“, „Do Tobolska z etapem“ i inne pieśni, które przypominały nam ojczyznę, testament ojców

i przynależność do narodu, który nigdy, wobec najeźdźcy, nie wyrzekł się swoich ideałów niepodległościowych, i rozbiórów Polski nie uznał. Po stepach orenburskich, jak wyzwanie rzucone caratowi, płynęła pieśń, która sprawiła, że podniosły się pochylone głowy, przyśpieszała ona bicie serc naszych i utrwalała w nas uczucie nieprzejednane i chęć dalszej walki:

„Oszukać nas, odurzyć chcesz nas czule,
Pluję ci w twarz za morze twoich łask,
Amnestją twą owiniem nasze kule,
Odpowiedź da huk armat, kurków trzask“.

Kozacy, nie mogąc zrozumieć słów, zachwycali się melodią, oświadczając, że to jest: „prekrasnaja pieśń.“

Podkreślić muszę, że pieśń polska, była w tych czasach dla nas ukojeniem i zbawieniem, nieodłącznym towarzyszem codziennego życia, osłoda i nieśmiertelnym pomnikiem tradycji narodowych. Przypominała nam ona nasze obowiązki, odtwarzała w cudnych melodjach krasę ziemi naszej, szum skrzydeł husarskich pod Kirholmem i Wiedniem, turkot ułańskich chorągiewek, boje o wolność, skargi narodu i to wszystko, z czego byliśmy zawsze tak dumni. Krzepiła ona serca, osładzała monotonię życia więziennego i zesłania.

Pieśń buntownicza była czynnikiem wiary i nadziei mas ludowych, a „Warszawianka“ manifestem walki. Słowa tej pieśni, spizowe i twarde przypominały szum rozhukanych fal i poświst wichrów. Budziła ona w duszach ludzkich promienne sny jutra, była pocieszycielką i jednym z czynników wytrwania. Pieśń nasza, według określeń jednego z kompozytorów (Szumana) była: „Armatami ukrytymi wśród kwiatów“...

Z dziedziny jednak poezji i piękna powracam na ziemię do dalszego ciągu opowiadania o końskiej kuracji. Przybyłem na miejsce w stanie oplakany. Po wylegitymowaniu się przed kozakiem i upewnieniu się jego, że jestem skazańcem politycznym, kazał się rozgościć, a potem wypić trzy szklanki wódki z pieprzem i imbiorem. Na uwagę moją, że jestem abstynentem – odpowiedział, że wódki nie pije tylko „christoprodawiec“, a jako lekarstwo to zawsze pić można. Po wypiciu tak wielkiej ilości wódki straciłem całkowicie przytomność i zostałem przy pomocy synów kozaka gospodarza zaniesiony do łaźni domowej.

Po godzinnym silnym masażu w temperaturze, przesyconej gorącą parą, i gwałtownym przetrzepaniu ciała, z rozmachem, miotłką z liści lipowych, zostałem zawinięty w prześcieradło i kożuch poczem ułożono mnie do spania. Spałem bez przerwy 32 godziny, wstałem po tym czasie zdrowy i lekki, jakoby odrodzony. Zniknęły wszystkie choroby, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Pomimo zastrzeżeń, jakie miałem co do tego rodzaju kuracji, musiałem jednak uwierzyć w skuteczność tego rodzaju medycyny ludowej. Nazajutrz lekarz-zesłaniec badając mnie – kiwał pobłażliwie głową – oświadczając żartobliwie: „że trzeba mieć końskie zdrowie, żeby przetrzymać tę iście końską kurację.“

Grunt jednak, że wyzdrowiałem i jeszcze tego samego dnia wybrałem się z kolegami na polowanie.

ŻELAZNY ARGUMENT.

Po przybyciu na miejsce zesłania i przeznaczeniu kwatery u starszyny kozackiego oficera, wezwano mnie przed jego gromowładne oblicze. Zostałem w izbie przestronnej przy stole typowego rosjanina o twarzy szerokiej, szczerzej, okolonej długą siwą brodą, obok stały, jak trusie, dwie dorodne córki.

– Za co zostałeś zesłany, zapytał mnie dość surowo?

– Za Polskę.

– Byłeś buntownikiem?

– Pragnąłem tylko sprawiedliwości dla ludu i mej Ojczyzny.

– Wasza sprawiedliwość nazywa się u nas bezprawiem i nahałstwem!...

Dziwię się tylko, że nasz car-batjuszka robi z wami takie ceregiele. Jabym szybciej i radykalniej tę sprawę załatwił, gdybym miał władzę.

– Życie i los nasz w ręku Boga, a nie ludzi.

– Prawda, ale Bóg przekazuje swoją wolę ludziom ziemskim, których na czele państwa lub narodu postawił. Car jest wykonawcą Jego woli na ziemi rosyjskiej. Przeciwestawiając się jego woli przeciwstawiacie się prawu boskiemu i ludzkiemu.

– Rosja kiedyś walczyła również z jarzmem tatarskim – odpowiedziałem.

– Tak, ale byli to mahometanie, dzicy wrogowie chrześcijaństwa, którzy tej łaski boskiej co nasz car nie posiadali.

– Każdy naród ma prawo do życia i rozwoju.

– Wasz naród jest tylko odroślą słowiaństwa; interes i prawa słowiańszczyzny są wyższe, aniżeli pretensje polaków, którzy ani swojej władzy dawnej, ani obecnej; władzy rosyjskiej, uznawać nie chcą.

– I naród rosyjski ma swoje błędy i grzechy. Pismo Św. mówi: „Nie sądź nikogo, nie będziesz sądzony.“

– Nie sądzę polaków, lecz stwierdzam tylko fakt.

– Skąd pochodzisz?

– Z Łodzi.

– Duże miasto?

– Półmilionowe.

– Ilu jest tam rosjan, polaków, żydów?

– Rosjan bardzo mało: garnizon wojskowy, urzędnicy – przeważnie element napływowy, polaków jest 51%, żydów 30 procent.

– Dlaczego macie tylu żydów?

– Bo rząd rosyjski wygania ich z Rosji do nas.

– Co jest powodem takiego postępowania?

Dążność do osłabienia społeczeństwa polskiego i wzmocnienia czynnika rasyfikacyjnego w Polsce, jakim są żydzi rosyjscy.

– Masz rodziców, narzeczoną, braci, siostry?

– Matkę zostawiłem w Łodzi chorą i zmarłą, bracia i siostry, prawie dzieci, narzeczoną nie pisuje do mnie, od dłuższego czasu. Rodzice jej zabronili...

– Jak widzę byłeś buntownikiem, ale jednak jesteś uczciwym człowiekiem i jak będziesz

rozumnym i spokojnym, to nawet możesz pozostać z nami nazawsze. Dostaniesz nadział ziemi, ożenisz się, i dobrze ci będzie. Przyjmiesz prawosławie, które jest religią naszych apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego, a nie obczyzną tak jak u was, której modlitw sami nie rozumiecie.

– Sprawa mego pozostania tutaj na stałe, to rzecz przyszłości.

– Dostaniesz obecnie kilkadziesiąt koni i będziesz wraz z córkami pasł je na stepie. Starsza córka obejmuje kierownictwo, której podporządkować się musisz.

– Dobrze.

– Odkąd wejdiesz do mego domu, będziesz uważany przezemnie za syna, biada ci jednak, jeżeli zawiedziesz nasze zaufanie!...

Dwa lata temu przybyli do nas zesłani administracyjnie, niby to również polityczni, a okazało się potem z papierów, że to są nożowcy warszawscy. Przyłapaliśmy ich na kradzieży i zrobiliśmy z nimi krótki samosąd.

Przepadli jak kamień w wodę.

– Czas zresztą pokaże, jak się sprawować będę.

– Jak widzę uśmiechasz się, podobają ci się moje córki, nie zapieraj się, widzę to po tobie. Dziewczęta wesole, zdrowe jak rzepy...

– Nie myślę wcale o tem, tęsknię do kraju.

– Nie bądź babą. Jest tu w naszej wiosce kozak-kowal, były „miateżnik“ z 1863 roku, który po odsiedzeniu 15 lat katorgi, osiedlił się tutaj, dostał ziemię, przyjął prawosławie i jest zadowolony ze swego stanu. Doczekał się licznej rodziny i nawet zasiada w zarządzie cerkiewnym.

– Pierekińczyk!...

– Dureń jesteś! Jest to człowiek, który ma głowę na karku i wie, że głową muru nie przebije. Chimerami żyć nie można wiecznie!...

– A teraz uważaj i zapamiętaj to co ci powiem. U was wiara chrześcijańska, jak mi wiadomo zresztą z czasów służby u gen. gubernatora w Warszawie jest zewnętrzna tylko, kłaniacie się po miastach tylko złotemu cielcowi. Kto ma pieniądze, ten jest przedmiotem szacunku i czci ludzkiej. Niby to się wstydzicie kąpać razem z niewiastami, a bezwstyd i rozpusta wyziera z każdej ulicy, z każdego domu. Ludzie chodzą do kościołów, modlą się, a oszukują dalej i zniesławiają swego brata. Niema Chrystusa w waszych rodzinach i kraju. Dlatego też wam Bóg nie błogosławi

U nas córek nie pilnuje się tak jak u was. Będziecie w ciągu kilku miesięcy na stepie razem sypiać w namiocie, razem kąpać się, co tydzień przyjedziecie do łaźni, ale niech cię Bóg broni, gdybyś zawiódł moje zaufanie. Pamiętaj, że gdybyś popełnił jakąś niewłaściwość, to przedtem wybierz sobie w umyśle dwie drogi, które cię czekają niehybnie: na cmentarzu, albo natychmiast na koń i do cerkwi do ślubu. Pośredniej drogi niema. U nas córki do ślubu muszą być uczciwe, potem opieka dalsza należy już do męża. Nie chciałbym doczekać tej chwili, ażeby córka mnie pohańbiła na moje stare lata. Wolałbym ją widzieć na marach, anizeli shańbioną.

Słowa te wypowiedział z mocą, zaciętością i siłą, i wiedziałem, że je – w razie potrzeby – wykona.

– Nie chcę ani jednej ani drugiej drogi wybierać – odrzekłem – pragnę tutaj spokoju, i rychłego powrotu do kraju.

– Nie kłam, wszyscy tak mówią, dopóki nie odżyją po trudach podróży, a potem zaczyna się zwykle od drobiazgów, a kończy się tragicznie.

Minął rok. Przeżyłem na stepie dużo wrażeń. Córki kozaka współczuły mej doli bardzo, bo nawet ułatwiły ucieczkę. W myśl przyrzeczenia danego kozakowi, nie zasłużyłem ani na jedną, ani na drugą drogę. Znajdowałem się często w warunkach trudnych. Kozaczki za męża wołały kulturalnego polaka, aniżeli gruboskórnego moskala. Bardzo często starały się o postawienie biednego zesłańca w takiej sytuacji, z której odwrót byłby niemożliwy... A jednak stwierdzić trzeba, że potrzeba jest matką wynalazków, a szczęśliwy zbieg okoliczności ratuje człowieka nie raz z niespodzianek i czekających go opresji.

Zresztą było różnie, a resztę niech ciekawy czytelnik sobie w duszy dośpiewa...

Orenburg, w 1907 roku.

MOTTO :

Ich mógł pełne są cmentarze
Aż od Jakuckich śnieżnych pól...
Zabiły jednych ręce wraże
A innych nędza, rozpacz... ból...

POSIEW FANATYZMU,

„Zesłany na czas trwania stanu wojennego, wzmocnionej i zwyczajnej ochrony“, tak brzmiał na moim dokumencie więziennym wyrok administracyjni żandarmerji carskiej.

Czyż mogłem wierzyć choć na chwilę w zniesienie stanu wojennego w Polsce, który od 1863 roku trwał nieprzerwanie ?

Więzienia etapowe od czasu ostatniego powstania wypełnione były przeważnie Polakami, a Królestwo Polskie było kolonią karną dla oficerów i urzędników rosyjskich o przeszłości kryminalnej.

Oswoić się nie mogłem z tą straszną myślą, że wśród stepów orenburskich przyjdzie mi przebyć całe lata...

W wiosce, w której odbywałem zesłanie, było 35 Polaków, pozostałych dwudziestu mieszkańców należało do różnych narodowości, gnębionych przez państwo carów. Bardzo wielu zesłańców, skazanych za lżejsze przestępstwa kryminalne, podszywało się pod miano „politycznych“ i dyskredytowało nas tylko wobec miejscowej ludności, która w czambuł zwałała ich przestępstwa na politycznych. Rząd carski

mieszając kryminalnych przestępców i politycznych, działał celowo i tendencyjnie. Na skraju wsi, w wynajętym od atamana kozackiego domu, mieszkało nas pięciu Polaków: dr. filozofji ob. Korczyński, inżynier Świtek (z Ligi Narodowej), ob. T. R., student politechniki ryskiej i nas dwu łodzian. Dla zabicia tęsknoty za krajem, studjowaliśmy z zapalem nauki społeczne i przyrodnicze.

Węzły przyjaźni zacieśniły się pomiędzy nami tak silnie, że jeden za drugiego gotów był w ogień skoczyć.

Raz, siedząc jak zwykle przed domem, w dżdży-
sty dzień jesienny, dyskutowaliśmy z zacięciem dok-
trynerskiem nad kwestją idealistycznego i mater-
jalistycznego pojmowania dziejów, gdy wtem z krzy-
kiem, zdyszany i okrwawiony, wbiegł jeden z zesłań-
ców, oświadczając, że kozacy dokonywują pogromu
Polaków, mieszkających we wsi, z tej przyczyny,
że jeden z rzezimieszków warszawskich zranił
w sprzeczce śmiertelnie kozaka.

Czyn ten podniecił mieszkańców wioski i po
chwili tłum kozaków, wyrostków i kobiet, uzbro-
jony w strzelby, szable i drągi, idąc od domu
do domu, wywłoczył polaków i bił bezlitośnie.

Ci, którzy bronili się, padali zabici pod ra-
zami rozwścieczonej tłuszczy. Policja wioskowa,
złożona z kozaków, pochowała się celowo po
kątach. Urządnik z strażnikami wyjechał przed
zajściem ze wsi na objazd swego udziału. Nie
pomogły prośby i błagania nieszczęśliwych, kobiety
gryzły i drapały katowanych, powtarzając z wście-
kłością: „Pomnij swołocz, eto za Siergieja!”

Na błaganie bitych Polaków, że nie mogą
wszyscy odpowiadać za jednego bandytę, odpo-
wiadano z fanatycznym wrzaskiem: „Za Poljaka-
razbojnika pust'wsie podochnut!”

Tłum zbliżał się do naszej chaty... Zdaleka dolatywał nas krzyk katowanych: „O Jezu, Jezu!“, „Ratujcie!“, „Męża mi za-bi-li!“, zawodziła przejmująco żona jednego z zesłańców.

– Co robić? – blady, jak płótno, drżąc jak listek, powtarzał przerażony dr. K.

– Bronić się do upadłego – odpowiedzieliliśmy zgodnie z zaciętością i mocą.

Zatarasowaliśmy drzwi, okna, a każdy z nas, ściskając w rękę karabin, czuł, że to może ostatnie chwile jego życia.

– Wystrzelamy naboje, a potem siekiery puścimy w ruch na psubratów! — wyrzekł rozkazująco inż S.

– Pomścimy niewinnie pomordowanych, do ostatniego tchu! — ze łzami w oczach krzyczał podniecony ob. K.

– Do upadłego! — wołaliśmy wszyscy, dziwnie podnieceni i rozgorączkowani.

Po chwili gruchnęły jednocześnie nasze salwy. Tłum, nie spodziewając się takiego przywitania, zatrzymał się z respektem w pewnym oddaleniu, a potem gradem kul obsypał również nasze okna.

Kanonada obustronna trwała 10 minut. Po pewnym czasie ucichły strzały, a jeden z kozaków wezwał nas do poddania się. Odpowiedzieliśmy mu, że nikogo we wsi nie zaczepiliśmy, bójek nie urządzamy i nie mamy powodu oddawać się na pastwę rozbestwionej tłuszczy.

– Spalimy was! — krzyczały kobiety.

– Spalcie, zbóje, ale przed śmiercią naszą wyślemy nie jednego z was do czarnej matki!

– odrzekliśmy.

Kozacy ulokowali się naprzeciw w ogrodzie, w zaroślach i ostrzeliwali nas coraz gęściej,

odpowiadaliśmy coraz rzadziej, amunicja nasza wyczerpywała się. Położenie nasze stawało się tragicznym.

Raptem strzały ucichły, a przed domem naszym, na spienionym koniu ukazał się „urządnik“ wraz z starszą kozacką, wołając zdaleka:

– „Zsylnyje, pierestańtie strielať, niczewo wam nie budiet!“

Odsunęliśmy zapory we drzwiach, wpuszczając do izby „uradnika“, który pewnym krokiem wkroczył do środka, informując się o przyczynie i przebiegu krwawego zajścia.

Po wybawieniu nas z oblężenia, dowiedzieliśmy się, że zabito 3 Polaków, raniono 14-tu. Nazajutrz braliśmy udział w smutnym pogrzebowym obrzędzie. chowaliśmy w grobie ziomek, zeszepeconych w okropny sposób, zdala od swoich, na wrażej ziemi.

Żona zabitego zesłańca popadła w obłęd, wpatrując się godzinami bezmyślnie w jeden punkt.

Sprawca tych zjść przepadł bez wieści.

Nad grobem ofiar fanatyzmu przemawiał ob. T., wskazując na barbarzyństwo moskiewskie, które za nieczne czyny rzezimieszka-Polaka uczyniło odpowiedzialnym wszystkich.

Fanatyzm i nienawiść rasowa — twierdził — to główne przeszkody w urzeczywistnieniu zasad Chrystusowych i szczytnych ideałów ludzkości, bestję w człowieku zwyciężyć nareszcie musi miłość bliźniego, a rozwój nauki i kultury wypleni chwast nienawiści, posiany przez piekło.

* * *

Minęło lat dziesięć... poszli precz z Polskiej ziemi najeźdźcy. Niepodległa Polska ze słowa stała się ciałem, lecz skutki wojny, brak pracy,

nędza i rozpacz wyprowadziła masy na ulicę. Polała się krew. Na poboju jak hjeny, wśród trupów żerować zaczęli z jednej strony komuniści, którzy żagiew nienawiści chcieli rzucić pod nagromadzone prochy, celem uzyskania dyktatury nad proletariatem, z drugiej strony męty społeczne, wzniecały płomień nienawiści, ażeby ją skierować, jak zwykle, za dawnych praktyk carskich, na żydów...

Wśród gromadki przechodniów, podnieconych i rozprawiających głośno na ulicy o krwawych zajściach spotkałem znajomego z zesłania, robotnika N.

– Co słyszeć? – zapytałem.

– Żyd strzelił z dachu do policji, co spowodowało strzały do manifestantów, więc bić tych psuświatów! – krzyknął zaperzony.

– Pamiętasz bracie, pogrom Polaków w Miąsowej, gdzie za jednego łotra padło tyle ofiar? – zapytałem.

– Pamiętam – odrzekł zawstydzony i zdawało mi się, że przez mroki mózgu uciemnionego szalem zaślepienia i fanatyzmu, przeniknęło światło tego wielkiego wskazania, streszczającego się w słowach prostych a głębokich: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!“...

MOTTO:

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie,
Myślałem, że on ją najlepiej opowie,
Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów.
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach.
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.

A. MICKIEWICZ.

„Dziady”, cz. III.

WIRY.

Wpadła do naszej izby zdyszana z obłądnym
wzrokiem, rozwianym włosiem i w strzępach
ubrania.

Podobna była raczej do widma, niż do czło-
wieka. Na pytania obecnych, co się stało, odpo-
wiała spazmatycznym szlochem, słowami bez
związku, ażeby po kilku zdaniach rozpocząć płacz
na nowo. Obmyliśmy jej twarz, zbrudzoną pyłem
i krwią, nałożyliśmy kompres zimny na czoło
i poprosiliśmy gospodynię domu, Rosjankę, ażeby
zajęła się nieszczęśliwą...

Nastrój zapanował przygnębiony i ponury.
Co nas wszystkich za tydzień, miesiąc lub rok
spotkać może?... Zgadaliśmy się wszyscy, że
nic dobrego.

Ob. Wanda, nauczycielka z zawodu, zesłana
z Warszawy za kolportaż nielegalnej literatury,
była jedyną Polką na zesłaniu. Nazywaliśmy ją

„jedynaczką.“ Urządzaliśmy co pewien czas u niej dyskusyjne herbatki, na które chętnie przybywali Rosjanie, Łotysze, Żydzi i my.

Oprócz niezwyklej urody ob. Wanda była rozumną i wykształconą niewiastą: Miała lat 28, zgrabna, piękna i sympatyczna. A kiedy spojrzała na kogo swoimi ślicznymi oczętami, to zapominało się o świecie całym. W dyskusjach, w których nieraz wybuchały namiętności i zacietrzewienie narodowe, partyjne czy rasowe, zajmowała zawsze stanowisko pojednawcze i patriotyczne. Kochaliśmy się w niej wszyscy na zabój... Dlatego też przykrość jej wyrządzona była krzywdą, wyrządzoną całej kolonii polskiej, która musiała być krwawo pomszczona.

Od dłuższego czasu zabiegał o przychyłość ob. Wandy Rosjanin, student-medyk, z Petersburga, soc. rewolucjonista. Był to drab wysokiego wzrostu, mruk, nieśmiały, ponury zawsze zamyślonny. Pomimo swej głębokiej wiedzy i erudycji społeczno-ekonomicznej wpadł nieraz, jak każdy Rosjanin, w skrajny pesymizm i kłął plugawie, jak „brodiaga.“ Wśród zesłańców miał opinię najlepszego komentatora Marksa. Wanda skarżyła się mi, że strasznie jej jest nieraz przebywać w mieszkaniu, podczas jego odwiedzin, kiedy patrzy na nią tak strasznie i słowa nieraz godzinami nie wypowie...

– Zajrzyjcie do mnie częściej, „Przeboju“, bo obawiam się, że ten moskał kiedy zwarjuje – mawiała.

Raz byłem świadkiem, jak Wanda, porządkując izbę, była przedmiotem milczącej obserwacji Iwana Antonowicza. Wodził za nią oczyma,

śledząc każdy ruch jej rąk. Twarz jego wyrażała bezgraniczny zachwyt i rozmodlenie. Wywarł wtedy na mnie wrażenie niesamowite...

– Powiedzcie, przyjacielu, co wam dolega
– zapytałem.

– Nie włączcie, nieproszony, z kaloszami do cudzej duszy – odburknął. Odtąd unikałem z Iwanem rozmowy i spotkania.

Raz siedzieliśmy wieczorem w naszej izbie, wsłuchani w wycie jesiennego wichru, który uderzał tak silnie o ściany, że domek nasz trząsł się i trzeszczał w posadach. Okiennice chygotały się hałaśliwie, co mnie i mego przyjaciela nie uspasabiało do snu. Po chwili usłyszeliśmy uderzenie we drzwi jedne i drugie i szloch przeraźliwy... Otworzyłem gwałtownie drzwi i wtedy, jak widmo, wpadła do pokoju ob. Wanda. Uszła chwiejąc się, kilka kroków i runęła bez zmysłów na podłogę. Przenieśliśmy ją do drugiej izby i oddaliśmy pod opiekę gospodyni, która obmyła jej twarz, przebrała ją w swoją bieliznę i ubranie. Wanda lkała spazmatycznie i powtarzała bezładnie skargi i zdania raz błagalne, to znów zacięte i gwałtowne.

Po dłuższej przerwie zajrzeliśmy do izby, gdzie Wanda pod troskliwą opieką gospodyni powracała do przytomności...

– Powiedzcie, na Boga, nareszcie co się Wam stało?...

– Moskal Iwan Antonowicz przyszedł mnie odwiedzić, jak zwykle, w pewnym momencie rzucił się na mnie, jak zwierz, ogłuszył mnie uderzeniem pięści i zbeszcześcił. Po tych słowach zapadła w głębokie omdlenie, a ciało jej wstrząsnął atak nerwowy.

– Zabijemy „swołocza“ jak psa! – wykrzyknąłem.

Schwyciliśmy „berdanki“ i pobiegliśmy szybko do mieszkania Wandy, które przedstawiało obraz kompletnego zniszczenia. Było to dowodem, że musiała stoczyć gwałtowną walkę z rozbestwionym moskalem.

– Zemsta za Polkę, za podeptanie człowieczeństwa, za krzywdę, wyrządzoną nam i naszej „jedynaczce“. W uszach huczało mi straszliwie, a w myśli tkwiło tylko jedno słowo: zemsta... zemsta... zemsta...

Wichrem przebiegliśmy przestrzeń, oddzielającą nas od domu Iwana Antonowicza. Drzwi zastaliśmy zamknięte, uderzeniami kolb wywaliliśmy błyskawicznie drzwi. Oczom naszym przedstawił się straszny widok... Iwan Antonowicz, leżał na ziemi martwy, z rozstrzaskaną czaszką, trzymając w ustach lufę „berdanki“...

Sam sobie sprawiedliwy wyrok wymierzył...

— — — — —
Ciemna, zagadkowa i ponura jest dusza rosyjska: wznosi się nieraz na wyżyny poświęcenia na to tylko, ażeby po pewnym czasie stoczyć się do błota... Od litości nadludzkiej przeskakuje do barbarzyństwa mongolskiego, od ofiary do zbrodni, od wolności do tyranji, od żarliwego sekciarstwa do zabobonu i ateizmu, od „opryczników“ Iwana Groźnego do G. P. U. i czerezwyczajki, od nahaja do apostołstwa, od kajania i bicia pokłonów przed świętą Ikoną do Sodomy, pełnej upadku i zbrodni. Od Pugaczewa, wbijającego na pal swoje ofiary, do Piotra Wielkiego, mordującego swego syna, od Bakunina do Tołstoja, od Mikołaja do krwawego Lenina...

Wychodząc z izby samobójcy Iwana Antonowicza, rozmyślałem nad duszą twoją, moskalu, nad Rosją, tym kolosem na glinianych nogach, magazynem kradzionych rzeczy, składającą się z zagrabionych ziem i tym bigosem hultajskim myśli i ducha, jaki cechował życie moskiewskie w ciągu wieków od nizin aż do tronu.

I wtedy doszedłem do smutnego wniosku, że pod cienką warstewką, nabytej lub wtłoczonej przymusowo pozornej kultury, czają się nagminnie w psychice moskali, niesamowite typy Iwanów Antonowiczów...

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Zdala od kraju i swoich, wśród rozległych stepów orenburskich, wsłuchani w wycie jesienno-wichru, który z wściekłością uderzał o zabudowania kozackie, oczekiwaliśmy nadaremnie, zgorą miesiąc już, listu lub wieści od drogich nam osób.

Trzech nas było zesłańców – pepeesowców.

W ciągu całego lata, pędząc życie koczownicze, pasłem (w braku innego zajęcia) stado koni. Zajęcie to wpłynęło na mnie pod względem zdrowotnym, nadzwyczaj dodatnio. Wyczerpany organizm kilkumiesięcznym więzieniem, zagrożony gruźlicą, nabrał wśród stepów dziwnej tężyzny i mocy, a kuracja kumysem dokonała reszty...

Połowanie, rybołówstwo, konna jazda, dla mnie, mieszcucha, przywykłego do zaduchu fabrycznego, były tak ponętne, że nieraz w duchu cieszyłem się z przeżywanych przygód, a nawet z samego zesłania...

Nieraz, kiedy w pełnym galopie, urządzaliśmy szalony wyścig po równym jak stół stepie, zdawało się, jakoby skrzydła rosły mi u ramion, rozdęte nozdrza wciągały chciwie ożywcze powietrze, a charakter stawał się w tych warunkach zawadjackim i buńczucznym.

Zrozumiałem wtedy psychologię tych ludzi, wśród których rzuciły mnie losy.

Kozacy orenburscy gościnni, dobroduszni, otwarci, choć nieokrzesani, budzili we mnie zdumienie i podziw zręcznością, siłą, fantazją i nadzwyczaj wesołym usposobieniem.

Pomimo złośliwej famy o stosunkach obyczajowych wśród kozaków, stwierdzić muszę, że nie było wypadku kradzieży, napadu lub gwałtu. Obyczajnie surowe, patriarchalne, karały bez wyjątku swego lub obcego, który nie chciał się podporządkować obowiązującym prawom pisanim lub zwyczajowym.

Biada temu, kto zawiódł zaufanie tych ludzi prostych i szczerých; wówczas stawali się bezlitośni...

Samowolę, odczuwaną tak bardzo na naszej skórze, uprawiali tylko wśród „inorodczego kraju“, t. j. byli barbarzyńcami na eksport. Wśród ziemi mlekiem i miodem płynącej, rodzącej piękną pszenicę, wśród lasów pełnych zwierza, zarybionych jezior, nie płacąc podatków, korzystając z pełnego samorządu, wierni byli jak psy rządowi i carowi. Wyjątek stanowili młodzi kozacy, wysyłani do szkół Orenburga lub Czelabińska. Tam już „kramoła“ zagnieździła się na dobre. Powracając podczas wakacji do domów, przerażali swoich ojców przekonaniami rewolucyjnymi, co usposabiało starszych wrogo do szkoły, a niejednemu, rwącemu się do wiedzy, przerywano z woli ojców naukę, która, jak się wyrażali pogardliwie, nie umiała wpoić miłości i wiernopoddaństwa w stosunku do cara. „K'czortu z takiej naukoj“ powtarzali z zaciętością.

Syn naszego gospodarza – atamana, „Sasza“, przygotowujący się do zawodu oficerskiego, uczęszczał do gimnazjum rządowego w Orenburgu, i tam miał sposobność zetknąć się z organizacją

młodzieży socjalno-rewolucyjnej, która obejmowała wtedy w roku 1907 prawie większość zakładów naukowych Syberji.

Brak wieści z kraju i tęsknota doprowadzały nas nieraz do niezwykłego rozdrażnienia.

Bardzo często, ulegając autosugestji lub złudzeniom, zrywaliśmy się w nocy z posłania, nasłuchując, czy to nie dzwonek „trójki“ pocztowej, lecz był to tylko skutek przeczulenia rozprężonych nostalgją nerwów. Pewnego ranka budzi nas ob. Mur (z Częstochowy), ściągając mnie bez ceremonji z posłania, i zawiadamia, że „poczta jedzie!“ Zerwaliśmy się z ob. Kostkiem (ze Starachowic) na równe nogi. Po przybyciu listonosza każdy z nas ze zdziwieniem otrzymał dość ciężki list z przekazem 20-to rublowym, wysłanym z Orenburga.

Po otworzeniu zagadkowej przesyłki wysypały się ze środka odezwy i wydawnictwa S.R. z kartką następującej treści:

„Dorogim towarzyszczam — stradalcam, członkom
Polskiej Socjalistycznej Partji od socjal-rewolucjon-
nych uczenników Orenburskiej gimnazji

S a s z a”.

Ze wzruszenia głos mi uwiązł w gardle...
Łzy stanęły w oczach: a hasło braterstwa, wyszydzane nieraz przez naszych przeciwników, stało się nawet wśród dzikich stepów orenburskich, na dalekim zesłaniu, czynnikiem łączności i zwiastunem zwycięstwa naszej sprawy...

MOTTO:

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni

I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni,

Szkoda marzeń, co się w ciemności
Rozprósza,

Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą

Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać,

Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać...

ADAM ASNYK.

Z ODMĘTÓW NIEDOLI.

Uciekając z zesłania kilkadziesiąt wiorst piechotą, znużony, głodny i wyczerpany, zdecydowałem się wstąpić do kozackiej wioski, ażeby się posilić, kupić trochę produktów i ruszyć w dalszą drogę.

Aczkolwiek przebrany byłem za Kozaka i zewnętrznie niewiele się różniłem od tuziemców, to jednak po akcencie mogłem być poznany, i z powodu braku dokumentów, odesłany powtórnie do miejsca mego zesłania. Wstąpiłem więc do pierwszej stojącej na skraju wsi chaty. Domek był schludny, a firanki w oknach znamionowały pewną kulturę.

– Zdrastwujcie!

– Zdrastwujcie!

Kobieta, którą zastałem w chacie z dwojgiem drobnych dzieci, była piękna w całym znaczeniu tego słowa. Zgrabne kształty, cera biała, wielkie smutne czarne oczy, malinowe usta, włosy bujne, wskazywały, że to nie Kozaczka, ani Rosjanka.

Na dzieciach obijała się wyraźnie mieszanina typów, wydatnych kości policzkowych ani śladu.

Zachwycony niezwykłą urodą gospodyni, zapomniałem na chwilę o celu mego przybycia.

Dopiero na kilkakrotne zapytanie: „Czto Wam ugodno?” poprosiłem o sprzedanie mi chleba, sera i masła.

Wy Kozak? – zapytała z niedowierzaniem.

– Toczno tak! – odpowiedziałem bez zająknięcia.

Zamilkła i rozpoczęła przygotowanie, żądanych przeze mnie produktów, przenikliwie spoglądając na mnie co chwila.

Wtem otworzyły się gwałtownie drzwi i pędem prawie wbiegł do izby ze strzelbą na ramieniu młody Kozak.

– Kto ty takoj? – zapytał mnie szorstko.

– Kozak!

– Wrjosz. Ty Paljak, chotieł moju Nataszeńku zabrat! – krzyczał podniecony.

– Nie znaju nikakoj Nataszy – odrzekłem.

Kozak wściekał się formalnie: co napotkał pod ręką, rzucał z wściekłością o ziemię. Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężoną. Gospodyni wybuchnęła płaczem, wykrzykując najczystszą polszczyzną:

– Boże, mój Boże, co za straszne życie!

Na Kozaka płacz ten wywołał piorunujące wrażenie. Runął jak długi do jej stóp i całując ją po nogach, płakał i wył formalnie.

Stałem przerażony i zdumiony zarazem tą dziką, niespodziewaną i niezrozumiałą dla mnie sceną.

– „Nataszeńka załataja, skażi prawdu, kto etoj czeławiek i biej mienia za oskorblenie w m... Ja swołocz, podlec, s... syn“.

Kiedy się uspokoiła, zaczął ją całować dziko i namiętnie, powtarzając w kółko:

– „Nie pomni. Izwini!“...

Po uciszeniu się burzy domowej tłumaczył się udobruchany Kozak, że przypuszczał, że jestem przysłany, ażeby ją wykraść i gdyby się nie był pohamował, to nie wie, co by się ze mną stało:

– Nie kłam – rzekł do mnie – żeś Kozak, poznałem w pierwszej chwili, żeś Polak i zesłaniec.

Nie przeczyłem już zupełnie.

Na stole znalazły się różne świąteczne potrawy, wódka i mięsiwo.

Sergiej Waljakin, gospodarz domu, opowiadał z zachwytem, jak w 1905 roku przybyła z konwojem, ażeby odbywać pięcioletnie zesłanie, obecna żona jego, Natasza. Na wyścigi dawano jej we wsi mieszkanie, bo szła dosyć dobrze, urodą i dobrocią oczarowała wszystkich, a najbardziej Sergieja. Zamieszkała u ojca jego, który po śmierci matki, zalecając się do niej natarczywie, nie dawał jej chwili spokoju.

Niejednokrotnie wybuchały o nią na tym tle bójki. Aż nareszcie przysięgł sobie Sergiej, że choćby mu trupem paść przyszło, dumną Polkę zdobędzie. Napadł ją raz powracającą z lasu i stało się to, co się stać musiało. Bez przytomności, w podartem w strzępy odzieniu przyniósł ją na rękach do domu. Popadła w ciężką chorobę, gorączkowała, a potem opanowało ją jakieś dziwne odrętwienie.

Leżał jak pies przy łóżku, pielęgnował ją, jak mógł najlepiej, a po wyzdrowieniu zawiózł do cerkwi i wziął ślub.

Wybudował sobie najładniejszą we wsi chatę, handluje końmi, skórami. Zaspakaja jej wszystkie życzenia, zazdrosny jest o nią do szaleństwa, a pomimo to „Natasza“ zawsze smutna i smutna.

Rozwiązały się języki.

Natalja z Loszkowskich Waljakinowa po raz pierwszy, po dwóch latach, miała sposobność wypowiedzieć się w języku ojczystym.

Potwierdziła z boleścią to, co opowiadał jej mąż:

„Ano cóż? jestem wbrew mojej woli branką moskiewską“, rzekła z goryczą.

Pochodziła z Łodzi. Pracowała w jednej z fabryk łódzkich w charakterze biuralistki. Skończyła gimnazjum. Zaaresztowana za przenoszenie bibuły, skazaną została na osiedlenie w Orenburskiej guberni. Życie jej wśród ludzi na pół dzikich i nieokrzesanych było straszne. Inne towarzyski niedoli spotkał los podobny. Nie wszystkie jednak wyszły za mąż, większość z nędzy poszła na bezdroża... Wiele kończyło samobójstwem. Od rodziny, mieszkającej w Łodzi, nie otrzymała żadnej wiadomości. Zresztą – rzekła z rezygnacją – każda kobieta, wysłana na osiedlenie, skazana jest na zagładę...

Gospodarz domu widząc żonę ożywioną i w humorze, szalał z radości. Pod wpływem „stołowej“ „rozmachał się“, jak mówią Moskale.

Tańczył kozaka, śpiewał, wykrzykiwał głośno, lub całował dziko z zapamiętaniem „zołotuju Nataszeńku“.

Gospościa uśmiechała się zlekka i hamowała co chwila dość energicznie jego czułości. Miałem

wrażenie, że Sergiej Waljakin jest człowiekiem nawskroś szczerym, otwartym, lecz gwałtownym i nieokiełznanym.

Na usilne nalegania gospodarza zostałem na nocleg. Gospodarz runął na tapczan i chrapał, aż się chałupa trzęsła. Rankiem zaprzęgnął trójkę, napełniono mi walizkę i plecak produktami, przysmakami, sporządzonemi przez gosposię, a Kozak, wręczając mi swój paszport (na imię Siergieja Waljakina) oświadczył:

– Ja jak zgubię ten dokument, to dostanę w gminie, choć z dziesięć paszportów, a ty bez tej drobnostki możesz znów dostać się do więzienia.

– A jak mnie złapią z paszportem? – zapytałem.

– To powiem, że go w Czelabińsku zgubiłem – odrzekł.

Służący, Tatar, miał mnie odwieźć trójką do odległej o kilkadziesiąt wiorst stacji kolejowej. Gosposia, ze łzami w oczach zaklinała mnie na wszystko, ażeby po przybyciu do Łodzi przesłać jej wiadomości o rodzinie.

Przyrzekłem jej to uroczyście.

Czego to nawet Kozak nie zrobi dla kobiety? – pomyślałem. Zdradzi cara, naczałstwo, a gdyby nawet zechciała, zostanie terrorystą-rewolucjonistą. Obserwując gospodynię, miałem wrażenie, że albo umrze przedwcześnie z tęsknoty za swoimi, bo ucieczka była dla niej wyłączoną, lub też z konieczności musi się pogodzić z losem. Widocznie rozmowa z ziomkiem obudziła w niej przykre wspomnienie, bo na pożegnanie, ściskając mi kurczowo rękę, oświadczyła:

– Nie wiążą mnie węzły, wymuszone gwałtem i brutalnością.

Cała gama wrażeń i wzruszeń przenikała całą mą istotę, kiedy przy odgłosie dzwonek, pędem sunącej po stepie trójki, opuszczałem chatę Siergieja i Natalji Waljakinów...

– Biedna Polka – pomyślałem – stracona dla kraju na zawsze.

A ile to tysięcy dziewczątek polskich zginęło bezpowrotnie w sposób haniebnym, rzuconych na pastwę losu w dalekim Sybirze.

Kroniki milczą o tem...

Kobieta z sercem, odczuwająca cały ogrom swojej niedoli, „branką kozacką” – to straszne.

Wiatr stepowy muskał mnie po rozpalonej twarzy, a usta powtarzały z ulgą nieśmiertelną pieśń Mickiewicza:

„Zemsta, zemsta na wroga“.

Po powrocie do Łodzi, pomimo, że zewsząd groziło mi niebezpieczeństwo, na zasadzie zebranych informacji, napisałem do rodaczki, pozostającej na stepach, list ze smutną wiadomością o śmierci matki, o bracie techniku, który się rozpił na dobre. Na każde święta Bożego Narodzenia posyłałem jej zawsze list z życzeniami i opłatek.

Wiadomości, jakie otrzymała za moim pośrednictwem o rodzinie, wpłynęły widocznie znacznie na jej usposobienie, bo w dwa lata później we Francji otrzymałem od niej list następującej treści:

„Mosty za mną spalone. Nie mam już do kogo wracać. Jesteś pan dla mnie jedynym bratnim duchem, co łączy mnie ze swoimi. Przywiązuję się coraz silniej do swych dzieci, chociaż w całej wsi robią zarzuty mężowi, że pozwala na ich „opolaczenie“.

Dzieci ze mną rozmawiają po polsku. Moskiewek unikam, budzą one wstręt we mnie swoim wyuzdaniem. Mąż pod moim wpływem przestał pić i staje się coraz bardziej kulturalnym.

Uczę go po polsku.

Przyrzekł mi, że jak się dorobi większego kapitału na handlu końmi, to się na stałe przeniesie do Warszawy. Marzy o kupiectwie i hurtowni skór.

Proszę pisywać częściej i pamiętać o nie-szczęśliwej rodaczce na dalekich stepach, dla której listy Pana są jedyną strawą duchową“.

To był ostatni, otrzymany od niej list.

Z powodu częstej zmiany miejsca mego zamieszkania (Paryż, Marsylja, Nancy, Zurych, Monachjum), listy jej widocznie nie dochodziły do miejsca przeznaczenia.

Wybuchła wojna, która ostatecznie przerwała nić, łączącą mnie ze wschodem.

NA EMIGRACJI.

MOTTO:

W każdym ziarnku zboża
I w każdej rodzinie
Ta sama krew polska
Co i w żyłach płynie...
Bo ta ziemia polska jest krwią przesiąknięta
Kochajcie ją bracia, bo to ziemia święta.

Z KART CHŁUBNEJ PRZESZŁOŚCI.

Przeglądając kartę naszej historii porozbiorowej, jak również dzieje spisków, powstań i ruchów rewolucyjnych w Europie, widzimy, że wszędzie tam nicią srebrną przewija się zaszczytnie imię Polaka...

Historja przewrotów we Francji, rok 1830 – 48 i rok 1870 zawiera wielką ilość nazwisk polskich. Emigranci polscy, ci rzecznicy rewolucji, bez trwogi i zmazy, wygnani z kraju przemocą najeźdźców, krwią własną ratowali honor polskiej demokracji wobec całego świata. Walka o niepodległość Belgii w roku 1830 odbywa się również przy pomocy emigrantów polskich.

W szeregach tak zwanych „czerwonych diabłów“ Garibaldiego we Włoszech, walczą jak lwy polscy tułacze...

W Palatynacie i Badenji w r. 1848, wodzem powstania, skierowanego przeciw hegemonji Prus, był „wódz czerwonych“, z czasów ostatniego powstania r. 1863, Mierosławski.

W spiskach przeciw caratowi zawsze wybitny udział brali Polacy-rewolucjoniści.

Wyzwalające się państwa bałkańskie korzystały również z pomocy polskich spiskowców.

Krew polska zraszała skwarne piaski Egiptu i Marokka. Użyźniała ziemie Południowej i Północnej Ameryki, wsiąkała w śniegi sybirskie podczas zbrojnej rebelii polskiej w Krasnojarsku.

Tam, gdzie o wolność walczone, gdzie realizowały się hasła ogólnoludzkie i niepodległościowe, gdzie burzono trony i przywileje, tam zjawiał się zawsze jak z pod ziemi Polak — emigrant.

Mścił się za rozbiór Polski, za pohańbienie ludu.

Upiorem złowróbnym był dla królów, i możnych tego świata, sprzymierzeńcem wiernym i niezłomnym dla tych wszystkich, którzy w jarzmie chadzać nie chcieli, a zrywali pęta niewoli narodowej i politycznej.

Precz z tytułami Książę i Pan.
Zetrzemy ślady, haniebnych lat.
Jeden Bóg, wiara i stan,
I jedno miano — bliźni i brat.

Hymn ten, napisany przez Mierosławskiego, a przełożony na języki: włoski, francuski i niemiecki, powtarzały z entuzjazmem wyzwalające się ludy.

Polak, w pojęciach tych ludów, był wcieleniem wolności, poświęcenia i ofiarności nadludzkiej.

„Nowinki Jakobińskie“ przerażały zawsze warstwy uprzywilejowane. „Czerwonym“ był każdy, kto wnosił myśli nowe i świeży powiew w atmosferę, zatechłą ugodą z najeźdźcami.

Przerzucając kartki i ulotki, wydawane ongi przez przeciwników Kościuszki, konfederatów Barskich, Kollątaja, Mierosławskiego, odnosi się

wrażenie, że to argumenty i słowa, przeniesione żywcem z dzisiejszych pism ugodowych. W krajach Zachodniej Europy, spotykając nieraz pamiątki polskie, czułem się dumnym, że jestem Polakiem. Z pożółkłych kartek, zachowanych w muzeach Francji, Włoch lub Niemiec, wyglądały zawsze orle i rogate dusze tych, którzy nie umieli pełzać po ziemi.

W 1911 roku, po ucieczce z Syberji, znalazłem się w Mannheimie. Otrzymałem pracę w jednej z tamtejszych fabryk, i jako pracownik metalurgiczny, wstąpiłem do niemieckich związków zawodowych, do których należeli wszyscy robotnicy tej fabryki. Sekcja oświatowa związków zawodowych urządziła w każdą niedzielę wycieczki krajoznawcze, na których to wycieczkach profesorowie wyjaśniali znaczenie pamiątek historycznych i t. p.

Jednej niedzieli mieliśmy szczegółowo zwiedzić Muzeum Historyczne w Mannheimie. Odczyt miał wygłosić dr. Frank, poseł do parlamentu. Na wszelkie odczyty uczęszczałem skwapliwie, więc i tym razem skorzystałem ze sposobności, ażeby usłyszeć coś interesującego.

W muzeum znajdowały się bogate zbiory, ilustrujące rozwój i historję Niemiec. Z niemiecką systematycznością i drobiazgowością zgromadzono wszystkie te pamiątki, które mogły świadczyć o przeszłości tego kraju.

Znudzony suchym wykładem, udałem się do przyległych pokoi muzealnych, ażeby, stosownie do informacji, zawartych w katalogu, zobaczyć interesujące mnie dokumenty z r. 1848, dotyczące się powstania południowych Niemiec przeciw Prusakom. Na pierwszym miejscu zwrócił moją

uwagę postrzępiony sztandar, na jednej stronie widniał orzeł, a na drugiej herb Badenji. W szafkach za szkłem znajdowały się liczne odezwy rewolucyjne powstańców Badeńskich.

Przeglądając pamiątki dość skrupulatnie, pomiędzy innymi zauważyłem odezwę-plakat w języku niemieckim, wzywającą obywateli Badenji i Palatynatu do walki o wolność i niepodległość. Odezwa kończyła się okrzykiem: „Niech żyje Wolność!“, „Śmierć Prusakom!“ pod odezwą podpisy:

„Dyktator Mierosławski, Pułkownik Oborski“.

Z czcią i wzruszeniem wpatrywałem się, jak zahypnotyzowany, w ten drogocenny dokument...

Z pożółkłych od starości odezw, ulotek, rozkazów dziennych do powstańców, pisanych ręką Mierosławskiego, przemawiał do mnie z mocą i siłą nieśmiertelny duch genialnego Polaka i wodza.

Płomienne wezwanie smagało słowami ostremi, jak biczem, przywileje pomazańców „z Bożej łaski“.

„Idzie czas pomsty ludu... zbliża się era jego wyzwolenia. Korony strącone z łbów cesarskich i królewskich toczą się po brukach miast“ (r. 1848).

„Obywatele! do walki orężnej przeciw tyranom!

„Co złe. rozsypać się musi w proch i pył!“

Z czcią i wzruszeniem wpatrywałem się w te pamiątki, a z głębi ducha jak modlitwę powtarzałem w skupieniu i ciszy, słowa hołdu dla ducha „naszego Jakobina“, który rozstawił polskie męstwo, odwagę i dzielność po szerokim świecie i napełniał obawą i strachem rozbiorców Polski.

WSPOMNIENIA Z EMIGRACJI.

MARZENIA O FRANCJI. — PIERWSZE DNI W PARYŻU I LUNEVILLE. — REPUBLIQUE FRANCAISE
CZY ROTHSHILD FRERES? — PRZYGODA
W DNIU 1 MAJA.

„Francja!“ ileż to słowo w mych latach młodzieńczych budziło myśli i rojeń, ile podziwu i zachwytu nad zwycięską rewolucją, która zarzewie buntu roznieciła wszędzie i ogłosiła zmurszałemu światu deklarację praw człowieka... A potężne dźwięki „Marsyljanki“, które nieraz w chwilach zwątpienia, jak radosna pobudka bojowa, wzywały na święty bój o wolność i prawa, budziły mi zawsze w wyobraźni obraz tego kraju, tego niejako gniazda buntu i wiecznie odradzających się idei, przenikających cały świat.

Gdyby tak można zwiedzić ten piękny zakątek świata, poznać tych ludzi żywych, gorących, o orlej duszy! myślałem nieraz, pochylony nad warsztatem pracy. Lecz marzenia zdawały się niedościgłe, bo rzeczywistość kazała pracować ciężko na kawałek chleba i skazywała na wieczne przykucie do warsztatu. Ażeby choć w wyobraźni powetować sobie niemożność podróży, wchłaniałem z chciwością opisy krajów, ludów, a najbardziej podobały mi się książki historyczne o Francji.

Tymczasem, po porażkach caratu na polach Mandżurji rowolucja zbliżała się do nas bardzo szybko, a walka rewolucyjna, znana mi z teorii i opowieści książkowych, rozpoczęła się na bruku łódzkim w całej swej grozie. Wybuchły pamiętne dni barykadowe w Łodzi w lipcu roku 1905,

powtórzyły się sceny znane z historii komuny paryskiej, gwałty żołdactwa, rabunki, rozstrzelania na ulicach, pogromy mieszkańców i walka bezbronnego ludu z przemocą wroga. Następne wypadki potoczyły się już tak szybko, że wir ich pociągnął mnie do więzienia... a potem na zesłanie...

Z zesłania zbiegłem do kraju, a potem prześladowany przez „ochranę“, dostałem się do Paryża, gdzie, przez biuro pośrednictwa pracy, zostałem wysłany do fabryki wagonów w Lunevillu.

Marzenia moje zostały spełnione. Choć bieda dawała mi się we znaki, jednak wierzyłem, że lud francuski da odrodzenie całemu światu.

Lecz przyglądając się bacznie stosunkom, musiałem się wyrzec wielu złudzeń. W Paryżu spotkałem rosyjskich rewolucjonistów z uniwersyteckim wykształceniem, czyszczących szyby wystawowe i latarnie. Praca ta była zmonopolizowaną przez Rosjan i dawała zatrudnienie 600 ludziom.

Inni cierpieli najokropniejszą nędzę, wielu kończyło samobójstwem. Pomoc francuskich robotników była nieznaczna.

Będąc silnie zbudowanym, dostałem prawie że najcięższą pracę (taką, jak wszyscy Polacy zagranicą) w fabryce wagonów. W ciągu dziewięciu godzin dziennie waliłem młotem tak siarczyście, że zyskiwałem pochwałę nawet zbyt wymagających dozorców.

Początkowo starałem się dowiedzieć o organizacjach lokalnych. Okazało się, że w fabryce na 3000 robotników, 200 należy do syndykatu pracy, z tego 60 opłaca składki, reszta mocnym frazesem starała się zastąpić obowiązki członków.

W rozmowach przekonałem się, że robotnicy wiedzieli tyle o Polakach, co ja o plemionach

w Honolulu. Uświadomienie klasowe i rewolucyjne było nader słabe.

Twarda rzeczywistość rozwiąła moje złudzenie i okazała mi, że wszędzie trzeba mozolnie przygotowywać grunt wśród mas, ażeby praca wydała plon obfity.

Do nas odnoszono się jak do intruzów, którzy rdzennym francuzom robotnikom odbierają kawałek chleba.

Stosunki polityczne były inne, aniżeli u nas pod caratem; jednakże samowola prefektów policyjnych przypominała żywo urzędników rosyjskich. Władzę posiadali dość szeroką i tłumili wszelkie objawy niezadowolenia, a nasi emigranci musieli siedzieć cicho, „jak mysz pod miotłą“, bo w przeciwnym razie energiczniejszym grożono natychmiastowem wysiedleniem z miasta i państwa. Pomimo republikańskiej formy rządu, ster władzy dzierżyli bankierzy, których robotnicy żartobliwie w stosunku do dwóch liter urzędowych „Republique Francaise“ nazywali „Rotschild Frerés“.

Zbliżał się dzień 1-go maja. Pamiętając, w jaki sposób świętował robotnik polski dzień ten w latach rewolucji, spodziewałem się, że tutaj nastąpi objaw podobny, tem bardziej, że korzystano z wolności słowa i zebrań.

W przeddzień święta majowego administracja fabryczna rozlepiła ogłoszenie, że nieprzybycie w dniu tym do zajęcia pociąga natychmiastową utratę pracy.

Nadszedł dzień 1 maja. Robotnicy w większości stanęli do pracy. Wieczorem miejscowy syndykat pracy (związek zawodowy) zwołał zebranie majowe z referatem „Święto majowe a proletariat“, no i na tem koniec.

Cała rewolucyjność robotników francuskich wyładowała się w różnych winiarniach, gdzie piorunowano na świat cały, śpiewając „Carmognole“. Po przybyciu do mieszkania trzej moi współlokatorzy – bojowcy warszawscy – klęli na czem świat stoi pustą frazeologję robotników francuskich. Ażeby dać upust energii, wywiesili na strychu w sąsiednim domu, gdzie mieszkał właściciel domu, zagorzały bonapartysta, sztandar z inicjałami P. P. S., potem powróciliśmy do siebie i po przyjacielskiej pogawędce, rozmarzeni grzaniem winem, którego w dniu tym nie żałowaliśmy sobie, śpiewaliśmy dość hałaśliwie „Warszawiankę“.

Po chwili przychodzi rozwścieczony gospodarz, wrzeszcząc i wymachując rękoma: „Nom de chien, fermes vos gueules on n'est pas la Russie!“ („Do pioruna! zamknijcie pyski, tu nie Rosja!“)

Było to iskrą do wybuchu, i gospodarz kopnięty w... plecy przez jednego z kolegów, wyleciał z pokoju, jak z procy na korytarz.

Nazajutrz zastaliśmy drzwi naszego mieszkania zamknięte, a karta wypisana na drzwiach, głosiła dosłownie:

„Pour les bandits russes, revolutionnaires et avanturiens il n'y a pas de place dans mon logement. Apres avoir paye 30 francs on peut reprendre les effets chez le concierge“. („Dla bandytów rosyjskich, wywrotowców, awanturników, niema w mym domu mieszkania! Po zapłaceniu długu 30 franków, rzeczy można odebrać u odźwiernego“).

Zaczęliśmy odtąd zamiast z teorii broszurek, poznawać życie rzeczywiste i realne...

Wyszło to nam na zdrowie, a Polsce na pożytek. Uleganie złudzeniom mści się nietylko na jednostce, ale na całym narodzie.

Luneville, 1909 r.

OBLĘŻENIE ŁODZI.
W WALCE Z OKUPACJĄ
NIEMIECKĄ.

Z KRWAWYCH DNI.

ROK 1914.

Na kolejce Łódź-Konstantynów popłoch i ścisk niebywały. Kto się dostał do pociągu należał do szczęśliwych; inni na stopniach wagonu, na buforach chwyтали się, przepełnionego pociągu, aby dalej...

Szosa była wypełniona wozami, wózkami ręcznymi, zavalona rupieciami i padłemi od wysiłku końmi.

A w tym piekielnym chaosie posuwał się oszalały z trwogi i strachu kilkutyśięczny tłum, z tobołkami na plecach, długim i postępnym sznurem, popychając się wzajemnie, klnąc, złorzeczając, lub zanosząc się spazmatycznym płaczem.

Potężny huk armat, echo pękających na ulicach granatów i luny pożarów, które wieńcem ognistym otaczały Łódź całą, wskazywały, że wojna już blisko...

— Co będzie? — pytano trwożliwie, i stosownie do orientacji, szukano odpowiedzi na niepokojące pytania, które jak muchy natrętne, obsiadały i niepokoiły serca mieszczuchów.

Wojna, rozgrywająca się dotychczas zdala, bawiła niektórych; nadrabiali miną, snując fantastyczne plany na temat przyszłości lub budowali zamki na lodzie „á conto“ odezwy wielkksiążęcej...

W kościołach odprawiały się błagalne suplikacje... Lud kajał się, zanosząc pod niebiosa modły:

– Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Panie!...

Głód dawał się we znaki nawet zamożnym.

Przed piekarniami wystawały długie szeregi – lecz napróżno, gdyż wypiek chleba zarekwirowali „nasi“.

Gdy żołnierz rosyjski padał z głodu intendenści sprzedawali za pośrednictwem „kaptynarmusów“ chleb na ulicach wagonami, a kaszy sprzedawano tysiące pudów miejscowym handlarzom.

„Rosja wielka i obilna, a porządka w niej niet“, mówili bojarowie, wysłani z poselstwem do księcia Riurika, i dziś po 1000 z górą latami, kubek w kubek można to było zastosować do wielkorządców Rosji.

Służba kolejki otrzymała krótki rozkaz: „Kolejka pozostaje pod zarządem wojskowym, mamy przewozić rannych z pozycji bojowej tramwajami, do Łodzi; w razie ucieczki rozstrzelanie“... No, i zaczęła się z konieczności piekielna służba: administracja wyższa puciekała, zostali nieliczni...

Wagon tramwajowy z pogaszonymi światłami posuwał się chyłkiem nocą przez okolice, która gorzała krwawo, roztrzaskując odblaski pożarów na ciemnym niebie; trzask karabinów maszynowych, ponury bas ciężkiej artylerji, ustawionej przy remizie konstantynowskiej, i zajadłe szczykanie lekkiej artylerji na przedmieściu Konstancy-nowa, urozmaicały naszą drogę; czasem pękający szrapnel, przed pociągiem oświetlił usłużnie linję, ale na szczęście żaden z nich nie ugodził w przewodnik tramwajowy.

Moskale szafowali rozrzutnie materiałem ludzkim i dostarczali nam na pociągi setki rannych, których z pomocą pociągów miejskich odwoziliśmy do szpitali łódzkich.

W pociągu leżeli jeden na drugim, a krew ściekała strugą po podłodze. Okropny był to widok, kiedy strasznie okaleczeni, wyciągali skrwawione ręce, wołając:

– „Sudar, pomiłuj! ja tri dnia na pozycji niczewo nie jeł... kusoczek chleba.“

Jedynie moje pożywienie, kawałek razowego chleba, rozłamywałem i dzieliłem się z nimi. Łapczywie połykali całe kęsy...

Większość rannych składała się z piotrogrodzkiego, wołyńskiego i kegsholmskiego pułku, byli to polacy, rezerwiści warszawscy, którzy klnąc ze szczególnem zacięciem na „porządki moskiewskie“, dawali w ten sposób ujście swym cierpieniom.

W Konstancynowie dyktatorem był pułkownik X., który wszystkich, schwytanych po domach, kazał rozstrzeliwać na pobliskich placach, jako szpiegów. Była to bestja krwiożercza, bez cienia litości i współczucia. Nie ogłaszał żadnych rozporządzeń o ewakuacji Konstancynowa, a kto został na miejscu, to „szpion.“ Po kilka dni poniewierały się na placach zwłoki, Bogu ducha winnych miejscowych tkaczy, odwróconych twarzą ku ziemi, opuchnięci, wyglądali okropnie.

Sanitarjusze, „kaszewary“ i maruderzy różnego gatunku „gulali“ po Konstancynowie jak się patrzy.

Wszystkie sklepy i domy zostały zrabowane, a czego nie zrabowano, to wywieziono karetkami sanitarnymi do Łodzi; z fabryk miejscowych

wywieziono całe stopy towarów. Kościół usiłowano zrabować w oczach miejscowego księdza Giebartowskiego. Dopuszczano się gwałtów, bezecnych włamań i pospolitych złodziejstw. Nie raz ranni mieli pod szynelem po 5 garniturów. Na pozycji rowy strzeleckie były zapelnione butelkami, pierzynami i różnego gatunku przedmiotami.

Codziennie granaty wyły, celując w wieże kościelne, na których umieszczone były punkty obserwacyjne rosyjskiej artylerji.

Po kilku dniach runął kościół ewangelicki, a po dwóch tygodniach kościół katolicki, jako ofiary posterunków wojskowych, a następnie całe pół miasteczka legło w gruzach.

Po powrocie mieszkańców miasto w trzech czwartych spalone i zniszczone, przedstawiało smutny obraz.

Dziś jeszcze groza wojny po dziesięciu latach wyziera z każdej ulicy, a zgliszcza wskazują, jak zaciekle odbywały się tu walki.

PAMIĘTNE SŁOWA.

Dnia 13/XII 1916 roku otrzymałem następujące pismo:

„W imieniu Wydziału Wykonawczego Rady Narodowej proszę Was o przybycie do Warszawy w środę, 20 grudnia na posiedzenie Rady Narodowej, na której członka Was obrano“.

CZEŚĆ!

Podp. St. Thugutt.

W okresie tak zwanego krańcowego rusofilstwa i prusofilstwa Rada Narodowa powstała, jako placówka niepodległościowa, której zadaniem było powołanie do życia Rady Stanu, jako wstępnego etapu do walki o rząd, skarb i wojsko.

Na pierwszym posiedzeniu uchwalono „Uważać powstającą Radę Stanu za prowizoryczny rząd polski i jako takiej udzielać możliwego poparcia przez współdziałanie jej zarządzeniom i szerzenie stosownych przekonań w społeczeństwie. Rada Stanu powinna dążyć do możliwego rozszerzenia swych kompetencji i ogarnięcia wszystkich dziedzin życia państwowego. Rada Stanu winna przedsięwziąć energiczną pracę, około organizacji polskiej siły zbrojnej. Cel i zadanie Rady Narodowej zostały ściśle skonkretyzowane, jako stopniowe wypieranie wpływów okupanckich w kraju.

— — — — —
Na jednym z licznych zebrań niepodległościowych w Warszawie spotkałem Józefa Piłsudskiego. Nadmieniłem, że znam go jeszcze

z 1905 roku, a następnie mówiłem o gnębieniu ludności polskiej w Łodzi przez Niemców, o rządach okupanckich, rabunku i zbrodni. Na to odpowiedział mi Komendant słowa, które utkwiły mi na zawsze w umyśle, a które wykazują niezwykłą intuicję i proroczy dar przewidywania przyszłych wydarzeń przez naszego Wodza.

— Tworzyć należy siłę, konsolidować społeczeństwo i przygotowywać je do czekających może w niedalekiej chwili wydarzeń. Siła zbrojna, moc wewnętrzna społeczeństwa, zadecyduje o zwycięstwie w wojnie światowej. My w tym wyścigu siły i chytryści wszystkich przeciw wszystkim, nie możemy być ostatni. Idzie dzień sądu na zaborców Polski, zbliża się dzień naszego wyzwolenia. Wszystko układa się korzystnie dla naszej sprawy, lecz najważniejsze kwestje wywalczyć sobie sami musimy. Przekleństwem dla nas byłoby tylko wyczekiwanie leniwe obcej pomocy, bez ofiar, poświęceń i krwi, z naszej strony. Wskazaniem naszym być winno: walczyć wszędzie, na każdym kroku z przemocą o zjednoczenie ziem polskich, o niezawisłość państwową i to aż do zwycięstwa!“ Słowa proste, jak życie i czyny Komendanta. A jednak ile było w nich mocy i wiary w przyszłość naszego narodu?

Piłsudski, tworząc organizacje bojowe w 1905 roku, następnie związek walki czynnej, związek strzelecki i legjony, przewidywał orlim wzrokiem przyszłe wypadki. Przewidywał pogrom państw centralnych, dając rozkaz legjonistom nie składania przysięgi na wierność zaborcom, a tworząc P.O.W. przygotowywał kadry zbrojne do likwidacji ostatecznej najazdu na ziemiach polskich.

W OBRONIE SZTANDARU.

3 MAJA 1916 ROKU.

(WSPOMNIENIA Z CZASÓW OKUPACJI
NIEMIECKIEJ W ŁODZI).

Okupanci, widząc, że koalicja wygrywa atuty, w sprawie polskiej, rozpoczęli w r. 1916, przez akt 5 listopada, okres umizgów do Polaków.

Z jednej strony starali się przyciągnąć ugodowców wszelkiego rodzaju, z drugiej – prześladowali bezwzględnie wszelki ruch rewolucyjny i niepodległościowy.

W 1916 roku święto 3 Maja było w Łodzi powszechną manifestacją polską. Z okazji tej skorzystała również P. P. S., ażeby hasła niepodległości rzucić w masy, dodać otuchy wątpięcym i gnębnym, przez palkarzy pruskich, obywatelom.

Na placu Dąbrowskiego zbierały się ze wszystkich stron tłumy ze sztandarami i transparentami. Grupa P.P.S. rozwinęła wielki czerwony sztandar z orłem białym z napisem: „Niech żyje Niepodległa Polska Ludowa!“ – „Precz z najazdem!“

Naokoło sztandaru stanęli członkowie milicji, uzbrojeni w mocne kije. Z placu Dąbrowskiego ulicą Nowo-Targową ruszył pochód naprzód. Patrjoci centralnego i koalicyjnego kierunku namawiali usilnie do zwinięcia sztandaru, oświadczając, że sztandar robotniczy psuje „stimmung“ narodowy lub może doprowadzić do starcia z Niemcami.

Zafalowało morze głów, zatrzepotały na wietrze sztandary, a pod stropy niebieskie uderzyła mocna i silna pieśń z roku 1830: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem!”

Przed więzieniem przy ul. Nowo-Targowej otworzyła się raptownie brama więzienia, a kilkunastu szpiclów usiłowało grupę naszą wraz ze sztandarem wepchnąć do bramy więziennej.

Rozpoczęła się walka na kije; sztandar raz i drugi się zachwiał, lecz po chwili, podniesiony krzepkimi dłońmi ob. Gruszczyńskiego, aczkolwiek postrzępiony, wypłynął zwycięsko z kłębiącej się masy. Wśród pochodu powstał popłoch, lecz po chwili ruszono równo naprzód. W rynsztoku leżało skrwawionych dwóch szpicli i pałkarz.

„Zwycięstwo!” zahuczały masy. – „Precz z prusactwem!” – „Śmierć Wilhelmowi!” i manifestacja dekoracyjno-sentymentalna przekształciła się w żywiłowy protest ludu polskiego, przeciw najazdowi.

Manifestanci nasi byli upojeni zwycięstwem i szli jak to mówią na całego... Na każdym rogu ulicy – szczególnie na Piotrkowskiej – stali „foksterjerzy” z policjantami (komisarze policji), którzy, uprzedzeni telefonicznie o starciu przed więzieniem, czyhali na lukę w pochodzie, ażeby wyrwać znenawidzony sztandar.

Przed nami kroczyli ze sztandarem enpeerowcy.

Przy ulicy Radwańskiej pochód się przerzedził, szerokość ulicy rozluźniła zwartość pochodu.

Policja i pałkarze, rekrutowani z tutejszej ludności niemieckiej, zgromadzili tutaj główne swe siły i niespodziewanie runęli z bram domów i ulicy na naszą grupę, „foksterjerzy” z wydobytymi szablami na czele grup pałkarzy i szpicle z wydobytymi rewolwerami. Handlowcy, idący

za nami, stanęli raptownie, a idący przed nami enpeerowcy ruszyli naprzód, wytworzyła się więc luka znaczna.

Odcięto nas od pochodu i na środku ulicy skłębiła się masa ciał w obronie sztandaru. Robotnicy powaleni przez szpicli na ziemię, nie wypuszczali z rąk drzewca sztandaru, pomimo, że krew bryzgała obficie z pokaleczonych rąk.

Po chwili szpicle zaaresztowali z tłumu ob. Gulewskiego (b. radnego miasta) i, grożąc rewolwerami, lżyli go po niemiecku: „Czekaj, polska świnio, my ci w komisarjacie damy Polskę!“

Ob. Gulewski szamotał się gwałtownie, bo słyszał przejmujący krzyk jego żony, którą przy sztandarze bili pałkarze niemieccy.

Gdy usłyszałem te obelżywe słowa, krew zawrzała we mnie z oburzenia i nie zdając sobie sprawy, z grożącego niebezpieczeństwa, grzmotnąłem szpicla pomiędzy oczy. Cios był skuteczny, bo niemiec zachwiał się i brocząc posoką, runął z rewolwerem na ziemię.

Szarpnąłem wtedy za ręce oszołomionego ob. Gulewskiego i skryłem się z nim w tłumie.

Drugi szpicel, nie posiadając broni, ratował się ucieczką. Pierś moją rozpierała radość, że udało mi się wyrwać ze szpon pruskich jednego z kolegów i współbojowników.

Walka o sztandar tymczasem dobiegła końca. Sztandar nasz z artystycznie wykonanym na płótnie orłem, skutym w kajdanach, deptały zajadle buty pruskiego komisarza policji.

W tym ciężkim momencie przybyła nam niespodziewana pomoc. Legionista - porucznik Bogusławski - wy dobył szablę z pochwy,

i biegnąc do Niemca, zawołał po niemiecku:
„Przestań, szwabie, deptać godło państwa polskiego, na tym sztandarze, bo cię uśmiercę!”

Niemiec zbaraniał, przestał znieважаć sztandar i zatrząsł się ze strachu. Wybałuszył ślepią i stał spokojnie, jak trusia.

Po chwili nadbiegła pomoc, znajdującemu się w opałach niemcowi, i gromada szpicli po zaciętej walce rozbroiła dzielnego i szlachetnego żołnierza, który nie pozwolił na znieważenie sztandaru, na którym widniało godło państwowości naszej.

Por. Bogusławski, otoczony i prowadzony przez Niemców do komendy wojskowej, sobaczył im z temperamentem. Zagrała w nim krew polska...

Obudził się w nim duch praojców, którzy ongi po szerokim świecie, na ostrzach bagnatów, nieśli manifest wolności i wyzwolenia ludom świata.

Cześć Ci, Żołnierzu, który w więzieniu pruskim cierpiełeś kilka lat za szlachetny poryw Twego serca! Cześć Ci za dumną walkę i za to, żeś spełnił swój obowiązek wobec wrogów!

Dziś sztandar narodowy powiewa dumnie nad Rzeczpospolitą, na chwałę Ojczyźnie, a na pohybel Jej wrogom.

Ptak srebrnopióry, wymazany w ciągu 150 lat z kart Europy, rozpostarł na nowo dumnie swoje skrzydła nad zmartwychwstałą Ojczyzną...

NA OBCZYŹNIE.

Dzisiaj, kiedy od przeżytych chwil na obczyźnie dzielą mnie lata, to jednak nieraz na samo wspomnienie tej przeszłości pięść się zaciska; dziwna gorycz ciśnie się do ust i szczerą niechęć odczuwa się względem tych, którzy na zjazdach wszechświatowych operowali frazesem międzynarodowej solidarności, u siebie zaś w domu byli egoistami w całym znaczeniu tego słowa. Niejedni powiedzą, że to ci, którzy, зараżeni hasłami nacjonalistycznymi, zapomnieli o wielkich wskazaniach ludzkości, lecz, niestety, rzeczywiście bratnie duchy spotykałem tylko wśród sekciarzy religijnych, którzy w imię wyznawanych przez siebie zasad uznawali nawet w ciemnym chłopie polskim „brata w Chrystusie“ (Apostolenbund-Mannheim). Robotnicy polscy, czując wokół siebie wrogi nastrój garnęli się do wyłącznie narodowych stowarzyszeń, zakładanych przez księży z Galicji. Robotnicy ci byli obojętni na wpływy niemieckich organizacji zawodowych i socjalistycznych.

Jedni z robotników niemieckich uważali robotników polskich za motłoch, łamistrejków, za polskich kulisów, obniżających płacę miejscowych robotników (co przyznać muszę, zdarzało się

nieraz). Inni usiłowali germanizować mało kulturalnych Polaków, co się również udawało (szczególnie przy zawieraniu małżeństw z Niemkami). Słowem, że brak było Polakom tej pomocy, jakiej należałoby się spodziewać nieraz od kolegów wspólnej sprawy.

Po ucieczce z Syberji w roku 1907 dostałem się do Ludwigshafen w Nadrenji, gdzie była jedna z największych w świecie fabryk aniliny (Anilin- und Soda Fabrik), zatrudniająca kilka tysięcy robotników. Robotnicy niemieccy stronili od tej fabryki, nazywając ją żywym cmentarzem (Lebendiger Kirchhof). Z robotników Niemców przyjmował pracę tylko ten, kogo głód lub brak innego zajęcia zmuszał do tego, natomiast Polaków było zawsze zatrudnionych setki.

Przy zabójczych gazach i kwasach, gdzie Niemiec tygodnia nie wytrzymał, pracował polski Wojtek, Bartek lub Maciek, nieraz dwa lub trzy lata, dopóki z uciętym groszem, lecz starganym zdrowiem, nie odwieziono go jako „uciążliwego cudzoziemca“ (Lästiger Ausländer) do granicy.

W fabryce istniał niemiecki związek robotniczy, którego członkowie otrzymywali jednak wygodniejszą i zdrowszą pracę, nie troszcząc się wcale o Polaków, pogardliwie nazywanych „Polacken“ lub „Slabaken“. Stosunki te burzyły we mnie krew, więc ażeby zorganizować żywiol, dosyć ciemny, i podnieść poczucie godności narodowej i ludzkiej, założyliśmy „Sokoła“ i inne zrzeszenia o charakterze oświatowym i kulturalnym. Za pośrednictwem tych instytucyj rozpoczęliśmy pracę kulturalną i oświatową, w której pomagali nam gorliwie studenci politechniki w Karlsruhe. Znając dość dobrze język niemiecki, interwenjowałem w sprawach moich ziomków w wielu

wypadkach, służąc za tłumacza podczas sporów i zatargów.

Bardzo często mocną pięścią, wymierzoną arogantowi Niemcowi, zdobywałem należny szacunek dla Polaków, – pięść była argumentem niezawodnym. Pracę, tak jak wszyscy Polacy, otrzymałem ciężką i zabójczą. Przy wydobywaniu sproszkowanej farby zakładano mi hełm na głowę i pompując powietrze, przypatrywano się z boku moim czynnościom. Niemcy się oszczędzali i dostawali zawsze lepszą robotę.

Aczkolwiek należałem do silniejszych, praca ta jednak rujnowała mi zdrowie. Jednakże będąc gorliwie poszukiwanym przez carskich siepaczy w kraju, zmuszony byłem z konieczności do pozostawiania na miejscu. O ile przypominam sobie, w ciągu dwóch lat ilość chorych w fabryce wynosiła zawsze od 40 do 60 procent. Wypadkom, oparzeniom, zatruciom podlegało około 10 proc. zatrudnionych Polaków, których, po wyleczeniu w szpitalu, usuwano bezwzględnie od pracy.

Robotnicy polscy byli poza nawiasem prawa, gdyż Rosja nie gwarantowała wobec Niemców tych korzyści, jakie poczyniły inne państwa w obronie swoich obywateli.

„Robotnik niema ojczyzny!“ „Dążenia do państwowości polskiej i niepodległości, to przeżytki drobnomieszczańskie!“ „Gdzie mi dobrze – tam ojczyzna!“, głosili nieraz w roku 1905–6–7 socjal-demokraci wraz z Różą Luksenburg.

Były to jednak doktryny bez życia i treści. Raz podczas pracy zostałem poparzony dość ciężko. Odstawiono mnie wraz z Włochem i Austriakiem do szpitala. Po kilku miesiącach wyzdrowiałem i udałem się do Mannheimu, do

urzędu państwowego, po odszkodowanie. Wywołano Włocha, wypłacono mu jednorazowo, skapitalizowaną rentę 5000 marek, Austriak otrzymał 3500 mk. Ja byłem najbardziej poszkodowany a nic nie otrzymałem. Oświadczone mi, że mogę otrzymać 40% dożywotnią rentę, ale tylko wtedy, jeżeli pozostanę w obrębie Niemiec. W razie wyjazdu do kraju, renty nie otrzymam.

Tak, jestem człowiek nagi... powtarzałem oszołomiony i przygnębiony, wraz z bohaterem powieści Żeromskiego, Rozłuckim. Tak, jestem człowiek nagi... Nie mam własnego państwa, które byłoby mi tarczą i obroną, które na szerokim świecie, mogłoby mnie uchronić od niesprawiedliwości i gwałtów...

Tak, zaiste, byłem jako Polak, człowiekiem nagim i wtedy, na własnej skórze odczułem potrzebę posiadania własnego państwa...

I wtedy to dążenie do niepodległości stało się dla mnie nie tylko dążeniem serca i ducha, rojeniem t. zw. romantyków i zapaleńców, ale konieczną potrzebą gospodarczą, która skojarzy Polaków, rozsypanych po całym świecie, skazanych na chciwość i łup wrogów, weźmie ich pod skrzydła opiekuńcze wyzwolonej Matki-Ojczyzny.

WIECZÓR WIGILIJNY POD STRAŻĄ SZPICLI PRUSKICH.

W życiu konspiratorów politycznych zdarzały się nieraz tak tragikomiczne sytuacje, że dziś po kilku latach wydają się one wprost nieprawdopodobne.

Zwykle szpicel carski, austriacki, lub pruski stał niżej pod względem orientacji i sprytu od każdego rewolucjonisty. Nie posiadał zupełnie samodzielności i inicjatywy, będąc ślepiem narzędziem w rękach swych szefów.

Szpicel carski był mistrzem w nawiązywaniu stosunków z różnymi prowokatorami politycznymi, od których dowiadywał się o tajemnicach organizacji, bez tych wskazówek był, jak mawiali Moskale: „krugom durak“. Szpicel pruski, ze względu na doskonałą tresurę policyjną, był idealnym wykonawcą poleceń swoich przełożonych, robił tylko to, co mu kazano, lecz bez „Befehlu“ baraniał zupełnie.

Szpicel austriacki należał do rzędu najbardziej tępych i ograniczonych. Aresztował zwykle ludzi najniewinniejszych, których potem jego przełożeni przepraszać musieli. Wykazywał w sprawach politycznych takie krańcowe nieuctwo, że na okupacji austriackiej w Królestwie utarło się przysłowie: „Głupi jak agent C. i K.“

Znając te właściwości naszych wrogów udawało się nam niejednokrotnie unikać zastawianych na nas sieci.

Po szczęśliwej ucieczce landsturmistom, w drodze do więzienia w Łodzi, Niemcy rozpoczęli za mną gorączkowe poszukiwania. Zaraz następnego dnia przybyli do mego mieszkania, splądrowali je gruntownie i zaglądając do szaf i pod łóżka, pytali się naiwnie żony: „Niech pani powie, gdzie on się tutaj schował“. Odtąd przed domem, w którym mieszkałem (Radwańska 37), w ciągu miesiąca szpicle gorliwie stróżowali na zmianę, przyglądając się badawczo przechodniom.

Z mojej chwilowej kryjówki, wysyłałem kilkakrotnie sprytnego chłopca, syna jednego z kolegów, który mi w szczegółach komunikował rysopis, spacerujących przed domem szpicli.

Wieczorem zwykle, Niemiec stawał w sąsiedniej bramie i bacznie obserwował, wchodzących i wychodzących z domu.

Kilkakrotnie zatrzymywano mieszkańców tego domu i za każdym razem żądano od nich okazania legitymacji. Mieszkało tam zaledwie sześć rodzin, co umożliwiało Niemcom dość ścisłą kontrolę.

W wigilję Bożego Narodzenia, siedząc bezczynnie w kryjówce u ob. Kiermasa na Widzewie, ogarniał mnie jakiś dziwny niepokój. Krzątanie się kobiet około wieczerzy, choinka i nastrój uroczysty, wszystko to drażniło mnie i usposabiało ponuro. Myśl, ażeby choć na chwilkę zajrzeć do rodziny, nie dawała mi spokoju.

Pomimo napomnień ob. Kiermasa, zdecydowałem się o zmierzchu urządzić wyprawę do rodziny.

Podwórze domu, strzeżonego przez Niemców, przylegało do parku miejskiego, postanowiłem więc skorzystać z tej drogi i spleść szpiclom figła.

Ulica Pańska była zupełnie pusta. „Palkarza“ ani śladu.

Dość szybko przesadziłem żelazne sztachety ogrodzenia parkowego, i skierowałem się w stronę naszego domu. Z okien mego mieszkania bił świetlisty snop światła od jarzącej się choinki...

Na podwórzu panowała cisza...

Z okien gospodarza domu dolatywał donośny śpiew kolendy: „Bóg się rodzi, moc truchleje“.

Z browningiem, gotowym do strzału, wchodziłem do sieni domu. Obawy moje były płonne, bo tego wieczoru aż dwóch szpicli stróżowało gorliwie przed domem. Nadmienić muszę, że sąsiadem moim vis a vis był agent niemieckiej policji kryminalnej, Gugacz. Zapukałem dyskretnie do drzwi mego mieszkania.

– Kto tam? – usłyszałem głos żony.

– Ja.

– Co za ja?

DIALOG ten, ze względu na sąsiedztwo z przeciwnikami, mógł się skończyć smutnie, bo ciekawscy sąsiedzi mogli w każdej chwili uchylić drzwi swego mieszkania, a wtedy trzeba byłoby natychmiast rejterować.

– Olek! – odrzekłem głośniejszym głosem z niecierpliwością.

Nastąpiło nerwowe, pośpieszne otwieranie drzwi. Po trzytygodniowej rozłące radościom nie było końca. Dwaj synkowie obściskali mnie radośnie, a trzyletni Aluś pytał zdziwiony:

– Tatusia plusaki nie zabili?

Wigilię i święta Bożego Narodzenia, z zachowaniem wszelkich ostrożności przebyłem u siebie w domu. W tym czasie szpicle niemieccy bez przerwy stróżowali przed domem.

28 grudnia, o godzinie 10 wieczorem przeszwarowałem się, tą samą drogą którą przybyłem, z powrotem do mojej kryjówki na Widzewie. A Niemcy, stosownie do otrzymanego „Befehlu“, wyczekiwali na mnie napróżno przed domem jeszcze cały szereg tygodni.

MOTTO:

Za wolność walka kiedy się wznieci
To ze krwią ojców przechodzi na dzieci.
„Noc Listopadowa“, G. Daniłowski.

UCIECZKA.

Brutalne i butne prusactwo, jakkolwiek nawskroś zmaterjalizowane, zdawało sobie jednak sprawę z wpływu rowolucjonizującego ducha, i stworzyło w postaci licznych biur szpiegowskich, rozsianych po całym kraju, formalne fortece, przeciwko nielegalnym odezwow i wydawnictwom.

Nieraz, przeglądając dokumenty, pozostawione przez Prusaków, dziwiłem się, z jaką systematycznością i skrupulatnością kompletowali oni nielegalną literaturę i odezwy. Poważna część polskiej twórczości literackiej była na indeksie pruskim, a wydziały prasowe otrzymywały polecenie niszczenia niebezpiecznych wydawnictw, nawet i w księgarniach. Za pomocą surowej cenzury i gadzinowej prasy, starano się wmówić w społeczeństwo, że niema innego ratunku dla Polski poza państwami centralnemi, że każde, choćby najmniejsze usiłowanie wydcbycia się z łap pruskich, zamienia się dla śmiałków w ohydne więzienie lub śmierć głodową w obozie jeńców. Część społeczeństwa, tak zwani realiści aktywiśczeni, zahypnotyzowani zwycięstwami i potęgą prusactwa, dochodzili do wniosku, że zdobycie

dla narodu ustępstw można uzyskać jedynie za cenę ugody i ścisłego sojuszu z Niemcami. Znana to była nam już dawniej śpiewka sfer ugodowych pod zaborem rosyjskim. Ludzie ci, posługując się podobnymi argumentami, budować również Polskę chcieli w sojuszu z wielką i wspaniałomyślną Rosją.

Czczyciele pięści i siły zapomnieli, że przed wytrwałą ofensywą, zbiorowego ducha i woli, gwałt się nie ostoi.

Będąc członkiem nielegalnej organizacji, redagowałem sam w tym czasie wszystkie odezwy i wydawnictwa w Łodzi. Wydawnictwa te wśród przygnębionych nędzą i przemocą pruską mas wzywały do oporu, budziły uśpionych i zachęcały do walki, przeciw najeźdźczej brutalności. Ażeby nikogo nie wtajemniczać, rozebrałem drukarnię „bostonkę“ i przenieśliśmy w worku do konspiracyjnego mieszkania. W ślicznym pałacyku, jednego z fabrykantów łódzkich, przy ulicy Nowo-Space-rowej, w mieszkaniu ob. Purtala, który był tam portjerem, urządziliśmy idealną drukarnię konspiracyjną. Dwaj synowie ob. Purtala, członkowie Okręgowki, z zawodu stolarze, urządzili kasztę i odpowiednią szafkę. Na drukarni tej odbijaliśmy tylko odezwy. Pismo tajne, ze względu na format drukować jednak musieliśmy w prywatnych drukarniach, co wobec olbrzymich kar, jakie groziły w razie wykrycia właścicielom, było od dłuższego czasu niemożliwe.

Pewnego ranka drukarz Glanz zgodził się wydrukować numer jubileuszowy. Dałem kilkadziesiąt rubli zadatku. Napisałem treść do całego numeru i oczekiwałem na korektę w niedzielę, dnia 2-go grudnia roku 1917.

Tymczasem, o oznaczonej godzinie, zwałała się do mego mieszkania czereda szpicli z memi

rękopisami, zapytując, czy to moja praca. Odpowiedziałem im spokojnie, że, wobec surowej cenzury niemieckiej, jest to obecnie jedyna droga do swobodnego wypowiedzenia myśli i przekonań.

– Aresztuję Pana, proszę się ubierać i iść z nami – rzekł wyniośle jakiś drab pruski.

Żona i dzieci rzuciły się z płaczem ku mnie, zawodząc rozpaczliwie. Uspokajałem ich jak mogłem, a do żony na odchodnym powiedziałem ostentacyjnie :

– Pamiętaj, jeśli zginę w więzieniu, to synów wychowaj tak, aby pomścili śmierć swego ojca. Za krzywdy nasze i swoje lud niemiecki im kiedyś sowicie zapłaci.

– Panie Rådny, niech się Pan nie zapomina!.. przerwał ze złością w języku niemieckim komisarz policji. Otoczony kilku szpiczlami, udałem się do biura policji polowej przy ulicy Piotrkowskiej.

Po drodze nasuwały mi się smutne refleksje. Myślałem o tych latach, które, ze względu na stopień winy, będę musiał odsiadywać w więzieniu. W wyobraźni stanął mi szereg widzianych dawniej nieszczęśliwców, którzy odbyli karę więzienia, błądych, opuchniętych, niezdolnych do pracy.

– I ty się takim staniesz w jarzmie pruskiem; spokorniejesz, jak inni; głód zabije w tobie myśl i bunt wolnego ducha, a postępowanie brutalnych dozorców, wypłoszy z ciebie wszelką myśl oporu – brzmiało mi w uszach złowieszczo.

– Nigdy! – wyrzekłem z mocą – lepsza śmierć – niż niewola! I od tej chwili zacząłem gorączkowo myśleć o ucieczce.

W lokalu policji polowej odpowiadałem na zadawane pytania dosyć lakonicznie, biorąc całą winę na siebie.

– Wspólników nie miał Pan jakich? – zapytał w końcu urzędnik.

– Nie miałem – odrzekłem.

– Po podpisaniu protokołu, w towarzystwie dwóch żołnierzy niemieckich, polecono mnie odprowadzić do więzienia wojskowego, przy ulicy Długiej. Jeden, z towarzyszących mi żołnierzy, Ślązak, zapytał mnie po polsku:

– Za co oni idą do strosfhausu?

– Chciałem, żeby Prusacy wynieśli się do Berlina.

– Oho – rzekł z przekąsem – tego nie będzie, bo Niemcy cały świat zwojują, bo niemiecki cysorz to najmądrzejszy ze wszystkich królów!

– Przyjdzie kreska na Matyska – dodałem – czując bezskuteczność dalszej dyskusji.

DIALOG ze Ślązakiem nasunął mi smutne refleksje. Wszak i my w Królestwie od roku 1863 mieliśmy większość włościan, którzy również z dumą nazywali się „cysarskimi ludźmi“.

– Ta sama gangrena toczy część włościan po stronie niemieckiej – pomyślałem z goryczą. – „Niewola sączy jad!“

Ażeby wysondować nastrój, rozpocząłem rozmowę z drugim żołnierzem. Dowiedziałem się od niego, że pochodzi z Królewca, jest z zawodu stolarzem, należał do związku zawodowego i do partji socjalistycznej.

Po krótkim wstępie wskazałem mu na ucisk, gwałt i haniebną rolę, jaką odgrywają władze niemieckie w naszym kraju.

Mrukliwy Niemiec zamyślił się trochę i odrzekł:

– Traurige Notwendigkeit, vergessen Sie nicht, dass wir im Feindeslande sind! (Smutna konieczność, nie zapominajcie, że znajdujemy się

w kraju wroga). Po tych rozmowach upewniłem się na dobre, że wobec cesarsko-niemieckiego socjal-demokraty i „cysarskiego“ Ślązaka wszelkie porozumienia celem uzyskania wolności są wyłączone.

Zacząłem przemyśliwać nad sposobem ucieczki.

Ulica Piotrkowska w niedzielę o godzinie 7-ej wieczorem była, jak zwykle, zapełniona bezmyślnymi spacerowiczami, obojętnie przypatrującymi się nam z boku, nie zastanawiającymi się widocznie nad kwestjami, które mogłyby zaprowadzić ich do więzienia. Czuję, że zbliża się dla mnie chwila rozstrzygająca: albo postawić na kartę wszystko, lub też zgodzić się muszę na powolne konanie w więzieniu pruskim. W pewnym momencie obejrzałem się i zauważyłem, że tramwaj zbliżał się w stronę Nowego Rynku, wagon zrównał się z nami. Zacisnąłem silnie pięść i grzmotnąłem potężnym „knockoutem“ Prusaka między oczy. Cios był skuteczny, bo Prusak coś zabelkotał, wypuszczając karabin z ręki, runął jak długi na ziemię...

Błyskawicznie chwyciłem się antaby „dodatku“ tramwajowego i skoczyłem do wagonu. Wszystko to stało się tak szybko, że Ślązak zaskoczony moją akcją, pochylił się do powalnego przezemnie na ziemię Prusaka. Po chwili jednak Ślązak strzelił w powietrze na alarm i puścił się w pogoń za wagonem. Przebiegłem przez całą długość „dodatku“ tramwajowego, i wyjąwszy z lewej strony wagonu drzwiczki, wyskoczyłem w biegu.

Byłem wolny! Czuję, że jakaś moc nadludzka wstępuje we mnie, która zdruzgotuje

wszystkie przeszkody, stojące mi na drodze do wolności.

– Wolnyś! – powtarzałem w oszołomieniu sam do siebie – za mną: męka samotnych miesięcy, głód i nienawistni zaborcy.

– Wolnyś! – szumiał mi wiatr, a serce waliło jak młotem. Ślubowałem sobie w duszy, że mnie żywego Prusacy już nie dostaną, że w razie aresztowania drogo sprzedam życie.

Udałem się do przyjaciół na Widzew, a stamtąd po dwóch tygodniach, pomimo licznej sfory niemieckich szpicli, poszukujących mnie niezłomnie, przeprawiłem się szczęśliwie do okupacji austriackiej, gdzie rozpocząłem pod przybranym nazwiskiem znów to samo, co w Łodzi: walkę z przemocą, i skupienie sił żywotnych do ostatecznej rozprawy z najeźdźcami...

MOTTO :

Taki los wypadł nam
Że dziś tu, jutro tam.

NA GRANICY OKUPACJI NIEMIECKIEJ.

Z tęsknoty za rodziną i swoimi zdecydowałem się we wrześniu 1918 roku przybyć konspiracyjnie z Radomia do Łodzi.

Listy gończe niemieckiej polowej policji, wraz z fotografią i wyrokiem sądu wojennego na mnie, były rozesłane do wszystkich posterunków policyjnych w okupacji niemieckiej.

Wierzyłem jednak, że nic złego mi się nie stanie, a z wszelkich opresji wyratuje mnie, jak zwykle szczęśliwy przypadek.

Dla zmienienia powierzchowności zapuściłem brodę, a paszportu dostarczono mi z Wydziału Paszportowego P.O.W. na imię Gotlieba Sperlinga.

Z Radomia przez Białobrzegi dostałem się szczęśliwie do Łodzi.

Z powrotem, jak zwykle, szwarcowałem się na Piotrków.

Kolejką dojazdową dojechałem do Tuszyna, a stamtąd ruszyłem piechotą w stronę Piotrkowa.

W drodze dość szczęśliwie mijałem posterunki policyjne i wojskowe.

W lesie niemieckie posterunki wojskowe rozmieszczane były na specjalnie zbudowanych dla celów obserwacyjnych wieżach z pali sosnowych. Wyszedłem na wzgórze i bacznie przyglądałem się, czy w okolicy nie widać czego podejrzanego, lecz cisza uroczysta, milczący las Rydzynski usuwał wszelkie obawy. Idąc szybko, zbliżyłem się do granicy okupacji niemieckiej.

Ze wzgórza widać było po drugiej stronie posterunki austriackie. Ucieszyłem się, bo w okupacji austriackiej wystarczył niemiecki paszport, ażeby uchodzić za legalnego obywatela.

Wyszedłem na polankę uradowany, że szwarowanie tak mi gładko poszło, gdy wtem rozległo się gwałtowne ujadanie psa i wołanie żołdaka pruskiego z lasu.

– Halt. Verfluchter!¹⁾

– O. do djaska, – pomyślałem – sprawdza się przysłowie polskie. „Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz“.

Po chwili duży pies wypadł z lasu i ujadając rzucił się na mnie.

Kijem opędziłem się dość skutecznie od psiej natarczywości.

Po chwili z lasu wychyliła się najpierw pikielhauba, a potem spasiony prusak z karabinem w rękach, gotowym do strzału.

Czy tylko jeden, przemknęło mi trwożliwie przez myśl, lecz na szczęście, nikt więcej nie wychodził z lasu.

– Wo gehen Sie?²⁾ – zapytał.

¹⁾ Stój, przekłety.

²⁾ Gdzie idziecie?

Prusak zmierzył mnie ślepiami od stóp do głowy, a widząc, że jestem bez szmuglu, a również powierzchowność moja nie wzbudzała w nim podejrzania, założył karabin na ramię i nie spuszczać ze mnie oka wrzasnął.

– Grenzschein! ¹⁾

Zamiast odpowiedzi wsadziłem do paszportu 20 marek i podałem Niemcowi.

Jeżeli weźmie datek – pomyślałem – to uratuje sobie życie, a jeżeli nie, to przyplaci śmiercią swoją gorliwość służbową.

Zaczynałem się coraz bardziej niecierpliwić, ręka świerzbiła mnie jak nigdy, lecz licząc na to, że strzał mauzerowski mógłby zaalarmować inne posterunki, pragnąłem wyczerpać wszelkie środki pokojowe. Prusak spojrzął na mnie z podelba, wyjął najspokojniej z paszportu 20 marek i oddał mi go z powrotem, oświadczając:

– Danke. Gehen Sie ruhig vorwärts! Aaa...

– wykrzyknął – Gotlieb Sperling, da sind Sie ein echter Deutsche ²⁾.

Spojrzałem na Niemca, kiwnąłem głową potakująco i mimowoli uśmiechnąłem się z mojej niemczyzny.

W ciągu tych kilku minut ważyły się na tej polance leśnej losy życia i śmierci.

– Masz drabie szczęście – rzekłem mu na pożegnanie półgłosem. Prusak w odpowiedzi udobruchany, nie rozumiejąc języka polskiego, odparł pośpiesznie:

– Auf Wiedersehen! Auf Wiedersehen! ³⁾

¹⁾ Przepustka graniczna.

²⁾ Dziękuję, idź pan spokojnie naprzód, aaa... prawdziwym Niemcem.

³⁾ Do widzenia!

W WALCE Z OKUPACJĄ
AUSTRJACKĄ.

PIERWSZY SEANS HYPNOTYCZNY.

WIEŚĆ O ODERWANIU CHEŁMSZCZYZNY. —
JASNOWIDZENIE.

Wieść o oderwaniu Chełmszczyzny przez traktat Brzeski spadła jak grom na staropolski gród kresowy, Lublin. Przyjęto też ten bezecny czyn rozdarcia żywego ciała polskiego w sposób odpowiedni: wrogo i rewolucyjnie... Rada miejska postanowiła zerwać wszelkie stosunki z okupantami, proletarjat lubelski w jednodniowym strejku zaprotestował przeciw gwałtowi.

Podczas demonstracyjnego pochodu niesiono na tyczkach portrety dwóch łupieżców, Hohenzollerna i Habsburga, z wyklutymi oczami. Na placu, przy okrzykach, pełnych nienawiści i szalu, urządzono portretom „autodafe“. W kinematografie „Polonia“ zdemolowano całkowicie urządzenie, w starciu zaś z rozwydrzonym żołdactwem i oficerami polała się krew obficie.

Nastroj ludności pełen był nienawiści do najeźdźców i żądzy orężnej rozprawy z Austrią, która za zboże i świnie oddała na pastwę ukraińcom ziemię polską, zabroczoną krwią i łzami.

Taki nastrój panował w ów dzień.

— — — — —
Wieczorem dnia tego zebraliśmy się na seans u ob. Osieckiego jednego z wybitnych działaczy

postępowo-niepodległościowych, na zaproszenie profesora literatury Narskiego, amatora – hypnotyzera i badacza zjawisk medjumicznych. Medjum tego wieczora była pani Osiecka, z pochodzenia francuska, istota nadzwyczaj wrażliwa i subtelna, która już po kilku minutach manipulacji prof. N. nad jej głową – zapadała w głęboki sen hypnotyczny.

Osobiście odnosiłem się zawsze dość sceptycznie do tego rodzaju seansów, nie spodziewając się nadzwyczajnych wyników. Przytem dnia tego byliśmy wszyscy tak przejęci myślą o tym wschodnim szmacie ziemi, który nam przemoc obca wydarła...

Mieszkanie, w którym odbywał się seans, doskonale nadawało się jako tło tajemnicze i mistyczne naszego posiedzenia. W półmroku postaci nasze były podobne do cieniów.

Po uśpieniu pani Osieckiej profesor Narski głosem silnym i dobitnym zadał kilka pytań, dotyczących b. gen.-gubernatora lubelskiego, hr. Szeptyckiego: „co myśli obecnie i gdzie przebywa?” Pani Osiecka dźwięcznym głosem o akcencie południowo-francuskim odpowiadała na pytania, jasno i dobitnie.

Następnie zadałem pani Osieckiej pytanie, w celu przekonania się o prawdziwości tych nadprzyrodzonych zjawisk: „Co się dzieje w Łodzi z moją rodziną, którą musiałem przed kilkoma miesiącami opuścić, uciekając przed prusakami i kilkoletniem więzieniem?”

I oto zdumienie moje nie miało granic, kiedy p. Osiecka, po przebyciu myślowem linii kolejowej, którą recytował prof. Narski, zaczęła opowiadać o domu i ulicy, na której mieszkałem i gdzie pozostawała moja rodzina; wyliczała szczegóły

i przedmioty w mojem mieszkaniu, obrazy i sprzęty, imiona moich synów i żony, zaznaczając, w jakich są warunkach obecnie i t. d.

W pokoju panował dziwny, cichy nastrój... Uśpiona mówiła po francusku, każde jej słowo wyraźnie padało w półmrok pokoju, jak słowo wyroczni delfickiej...

Czuliśmy wszyscy, że zjawiska tego nie zdołamy objaśnić li tylko analizą rozumową... Ujrzałem, iż w dziedzinie ducha jestem nieukiem, którego oczy przywykły do rzeczy znanych i zbadanych...

Po chwili jeden z zebranych, komendant miejscowej P.O.W., zadał pytanie: „Co się dzieje z komendantem Piłsudskim?”

Prof. Narski dla ułatwienia pracy medjum recytował drogę kolejową do Magdeburga. Pani Osiecka z wielkim wysiłkiem, marszcząc czoło, na którym wystąpiły krople potu, oświadczyła: „Non, je ne peux pas le trouver (Nie, nie mogę go znaleźć). – „Szukaj“ – twardo, rozkazująco powtórzył hypnotyzer.

Minęły 2 minuty... Czuliśmy wewnętrzny wysiłek medjum, skupienie się sił duchowych i nateżenie myśli...

Głosem spokojnym pani Osiecka zaczęła opowiadać o mieście i fortyfikacjach Magdeburga. Nareszcie zawołała radośnie: Et voila et voila c'est lui! Il est dans une chambre... couvert d'une couverture il est pale, malade, epuise. A cote de lui je vois un homme. Le commandant pense a vous, il souffre. Pauvre! Pauvre!... (Otóż on jest w pokoju... przykryty kołdrą, blady, chory, wyczerpany. Obok niego jakiś mężczyzna. Myślą jest komendant z wami... cierpi bardzo. Jaki on biedny!). Ostatnie słowa krzyknęła, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Wobec tak wzburzonego stanu medjum prof. Narski zmuszony był przerwać seans... Pani Osiecka, przebudzona patrzyła na nas ze zdziwieniem, przepraszając, że zdrzemnęła się w towarzystwie... Wśród zebranych panował nastrój ciężki, przytłoczony... Każdy z nas z wysiłkiem tłumił wzruszenie, wspominając uwięzionego Komendanta. Jednej z uczestniczek wieczoru, pani Buciar, zaczęły drgać nerwowo usta. Ja również dość długo nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Głos pani Osieckiej i słyszane rzeczy wywarły na mnie dziwne wrażenie, jakby głos odległy z dalekiego świata duchów... A jednocześnie wzbierała w nas nienawiść do najeźdźców, którzy część ziemi naszej oddali wrogom, a najdzielniejszego człowieka Polski więżą w Magdeburgu.

PRALNIA PASZPORTÓW i KONSPIRACYJNE WIADRO.

Za czasów panowania najazdu na ziemiach polskich rewolucjonista był zawsze człowiekiem, stojącym poza nawiasem ówczesnego prawa.

Nieraz w ciągu jednego miesiąca zmienialiśmy kilka paszportów, tak, że trudno się było nieraz przyzwyczaić do swego chwilowego nazwiska.

W okupacji austriackiej od r. 1914 do 1918 specjalistką od przerabiania paszportów była ob. „Marusia“. W czasie kilkuletniej działalności partyjnej w charakterze „technikarki“, tak się żyła z partją, że spełniała najbardziej niebezpieczne funkcje.

Pamiętam, że w mieszkaniu ob. Marusi w Lublinie przy ulicy Krótkiej pranie paszportów odbywało się w nadzwyczaj prosty sposób.

Do paszportów rosyjskich przykładano mokrą bibułę, która po kilku godzinach wchłaniała gruntownie atrament, pozostawiając czystą kartę, którą następnie wypełniano dowolnie.

Na zasadzie paszportu rosyjskiego otrzymywano austriacką kartę tożsamości, stając się wtedy zupełnie legalnym obywatelem.

Nieraz w mieszkaniu Marusi łożko, krzesła, otomana i t. p. pokryte były paszportami, będącymi w praniu.

Najniebezpieczniejszym przeciwnikiem naszym w Lublinie był nadkomisarz policji S., urzędnik nadzwyczaj zdolny, policjant rutynowany, przebiegły i sprytny.

Pilny wykonawca wszelkich szczególnych poruczeń, umiał dyskretnie załatwiać najbardziej koronkowe roboty.

Bardzo często przebierał się po cywilnemu i ucharakteryzowany do niepoznania, przyglądał się długo i badawczo na zebraniach masowych przywódcom partyj, utrwalając podobizny mówców na kliszy, zapomocą kieszonkowego aparatu fotograficznego.

W grudniu 1917 r., uciekając przed więzieniem pruskim w Łodzi, przybyłem do Lublina.

Raz w drukarni „Dziennika Lubelskiego“ drukowaliśmy pilne odezwy P.P.S., gdy w tem drzwi się otworzyły i wszedł nadkomisarz S. Spojrzał na drukujące się odezwy i, udając, że ich nie widzi, rozpoczął z Szydłowskim (drukarzem) rozmowę o sprawach ogólnych.

Po akcji chełmskiej p. S. zwrócił na mnie dość baczną uwagę, przychodził na masówki i przysłuchiwał się przemówieniom, notował niektóre ustępy. Raz w bramie przy ul. Grodzkiej natknąłem się na p. S., który mnie zatrzymał i zarządził okazania legitymacji. Zapomniałem wtedy rzeczywiście, jakie jest moje „lewe“ nazwisko, lecz nadrabiając miną, oświadczyłem (spoglądając ukradkiem na paszport), że jestem lublinianinem z dziada pradziada.

P. nadkomisarz zapisał numer paszportu i nazwisko Jan Adamski, wyrażając życzenie, bym na przyszłość, gdy przemawiać będę na zebraniach, nie zakładał niebieskich okularów, bo i tak mnie pozna. Po tym fakcie, strapiiony, udałem się do Marusi i dostałem drugi paszport, wystawiony na nazwisko Jana Srebrzyńskiego. Po miesiącu zostałem przez austriackich agentów policji polowej aresztowany. Przeprowadzono mnie na przedwstępne badanie do nadkomisarza S., który rozpoczął indagację:

– A to pan Mroczek-Adamski? – zapytał z przekąsem.

– Nie jestem żadnym Adamskim, ale Srebrzyńskim – odrzekłem.

Pan S. zachnął się, oświadczając z oburzeniem, że zatrzymał mnie przecież przy ulicy Grodzkiej i że wtedy paszport miałem na nazwisko Adamskiego. Oświadczyłem mu ze spokojem, że go poraz pierwszy widzę. Pan nadkomisarz zaczął szybko chodzić po pokoju i tłumaczyć mi, że zna wszelkie sztuczki konspiracyjne i że jedynym wyjściem dla mnie z trudnego położenia jest przyznanie się do winy.

– Wiem o tem – twierdził, – że pan ma „lewe“ nazwisko, ale zależy mi na ustaleniu prawdy, a wtedy kary wielkiej pan nie dostaniesz.

– Gdzie pan mieszka? – zapytał.

– Z powodu głodu mieszkaniowego nie mam stałego zamieszkania.

– Od trzech miesięcy widuję pana w Lublinie, i niema pan stałego mieszkania?

– Niestety, z powodu zarekwirowania wszelkich wolnych mieszkań przez urzędników austriackich, wynajęcie mieszkania jest niemożliwe.

– U kogo pan sypiał?

– Na pytanie nie odpowiem : korzystałem z gościnności znajomych nie poto, ażeby sprawić im przykrość i narażać za niemeldowanie mnie na kary – odrzekłem.

Badanie przerwano i odstawiono mnie do więzienia na zamek.

Mieszkanie moje na trzeciaku przy ul. Namiestnikowskiej pod Nr. 37 zawałone było wydawnictwami nielegalnymi, więc jedyną moją myślą było, ażeby, zyskawszy na czasie, dać znać towarzyszom na wolności o mojem aresztowaniu, celem umożliwienia oczyszczenia mieszkania.

Po kilku dniach jednak udało mi się za pośrednictwem pań z więziennego „Czerwonego Krzyża“, t.j. ob. Kunickiej wysłać list do towarzyszy z prośbą o jaknajszybsze usunięcie papierów nielegalnych z mieszkania.

Ob. Sieradzki i Korgol wytrychami otworzyli drzwi i zabrali prawie wszystkie papiery, jednak rękopisy do „Naszyc Haseł“, korekta odezwy, napisanej przez Resa, planik sytuacyjny powiatu lubartowskiego z wyszczególnieniem miejscowości, w których działało pogotowie bojowe, pozostały niedostrzeżone w zagłębieniu pod wiadrem. Po kilku dniach policja austriacka, która od dłuższego czasu obserwowwała „podejrzany“ dom przy ulicy Namiestnikowskiej pod Nr. 37, zwróciła się do stróżki z zapytaniem, gdzie mieszkam. Zakomunikowano jej dokładny mój rysopis. Stróżka, nie spodziewając się niczego złego, zaprowadziła ich do mego mieszkania. Otworzono po raz wtóry wytrychami drzwi, lecz nic nie znaleziono, a ważne dokumenty spoczywały sobie dalej jaknajspokojniej pod wiadrem.

Po dwóch tygodniach, na wyraźne moje żądanie, przesłane zapomocą „grypsanki“ więziennej, Sieradzki i Korgol otworzyli drzwi wytrychami po raz trzeci i zabrali dopiero dokumenty, znajdujące się pod wyłobionem dnem wiadra.

Po otrzymaniu wiadomości, że dokumenty dostały się we właściwe ręce z całą pewnością siebie odpierałem zarzuty, stawiane mi podczas badania przez sędziego sądu wojennego.

Od austriackiego sądu doraźnego ocaliło mnie wtedy konspiracyjne wiadro.

Nieraz życie ludzkie zależne jest od przypadku, który sprzyjał dość szczęśliwie polskim rewolucjonistom.

Tam w zieleni kwitnącej kaliny,
 Kędy wokrag uśmiecha się świat,
 Moją kulą śmiertelnie rażony
 Ktoś się chwieje i ginie jak kwiat.
 Czyżże nakaz zatwardza mi serce,
 Szałem boju zagłusza mój żal?
 Kto mnie zmienia w bezduszną machinę
 Rzygając dynamit i stal?
 Jaki demon w noc spycha mnie ciemną,
 Złym wyrokiem: „przeklinaj, lecz trwaj!“,
 Ach, to przemoc, co cięży nade mną!
 Ach, to przemoc, co podli mój kraj!...

A. Wojnarowska: „Słowa o Miłości i Wojnie“.

PRZESZKODA.

Na terenie okupacji austriackiej władza zaborców w r. 1918 przejawiała nadzwyczajną gorliwość. Były to przedśmiertne drgawki monarchji Habsburgów. Tajna policja starała się o żer dla swojej działalności, przeważnie w szeregach peowiackich i robotniczych. Co pewien czas „wsypywał się“ ktoś – to przy transporcie bibuły lub w mieszkaniu konspiracyjnym, słowem, że wróg wyrwał nam z szeregów nieraz najdzielniejszych.

W Radomiu najszkodliwszym z szpicli był Niemiec, z Czech rodem, tęgi, barczysty, wysokiego wzrostu, przeniesiony służbowo z Lublina, gdzie rozkonspirował się zbyt przed peowiakami. Znano go, więc i z tej racji, jak każdy szpicel, okazał się tam bezużyteczny.

Zwykle na stacji kolejowej w Lublinie, a potem w Radomiu obserwował przyjeżdżających i udało mu się tym sposobem aresztować kilku ludzi.

Ob. Marusia i ob. Wojtek-Malinowski unikali jakoś szczęśliwie zastawianych na nich sieci. Wobec tego, że szpicel uniemożliwiał nam rozwój naszej pracy i znał z widzenia wybitniejszych działaczy niepodległościowych w Radomiu, którzy uciekli z Lublina, postanowiono krótko: „sprzątnąć zawadę z drogi radomskiej!” Otrzymaliśmy polecenie od ob. W. ażeby „robotę” wykonać szybko i sprężyście. Po dokonaniu wywiadu mieliśmy zastrzelić szpiega w parku radomskim. Przechodził on tam, śpiesząc codziennie na stację kolejową, aby obserwować wysiadających z pociągu „podejrzanych” pasażerów.

Jako „mąż zaufania” organizacji tajnych miałem mieć ogólny nadzór nad całą akcją. Ustawiliśmy się w trzech miejscach parku radomskiego, oczekując z niecierpliwością przybycia szpicla... Było nas trzech. Punktualnie o godzinie 10 rano ukazał się w alei ten, na którego w zdenerwowaniu oczekiwaliśmy. Zakląłem jednak siarczyście, bo szpicel szedł w towarzystwie kobiety i dwojga dzieci. – W razie strzelaniny nie obeszłoby się bez niewinnych ofiar. Wydałem dyspozycję, ażeby wstrzymać się z akcją, dopóki nie dam sygnału. Ręka ścisnęła mocniej mauzer w kieszeni, drżałem ze wzruszenia. W myślach przesuwały się obrazy z przed kilku miesięcy, kiedy ten sam szpicel w więzieniu lubelskim, swojemi zeznaniami omal, że nie doprowadził mnie do sądu polowego. Jak on wtedy, podczas mego przesłuchiwania pracowicie wyliczał gdzie i w jaki sposób przemawiałem na zebraniach. Jak sędziemu wojskowemu kpt. Łukowskiemu dowodził z zapalem, że wobec posiadania przeze mnie paszportu nielegalnego, muszę być bezwarunkowo szpiclem koalicji. Kilkomiesięczne więzienie

w ciemnych i wilgotnych murach, naigranie się siepaczy austriackich z naszych rzekomych: „mrzonek niepodległościowych“, a następnie przebywanie dni, tygodni i miesięcy w niepewności, nie wiedząc czy sprawę moją rozpatrywać będzie sąd wojskowy, czy polowy, wszystko to wzmocniło we mnie uczucie mściwości i zemsty: „zabij jak psa!“ wyrzekłem z mocą.

Szpicel szedł powoli, rozmawiał głośno, dowcipkując i przekomarzając się z dziećmi. Usiadł na ławce w bocznej alei. Niepostrzeżony stanąłem z drugiej strony, ukryłem się za krzewami tuż za ławką.

Mówił po niemiecku. Rozdrażniony uspakajał szlochającą żonę: „Nie płacz Lidchen, nic mi się tu nie stanie, powrócę do domu zdrow i wesół, będziemy szczęśliwi jak dawniej... Zarząd fabryki chemicznej w której pracowałem, wobec braku fachowców-majstrów, zwrócił się do władz o zwolnienie mnie ze służby. Nie płaczcie dzieci, przecież nie umieram, myślę o was, tęsknię za wami, zresztą może się skończy nareszcie ta przekłeta wojna!“ Dzieci objęły ojca za szyję, szczebiocząc jak ptaszęta...

Na widok tej sielanki rodzinnej przed oczyma duszy stanął mi obraz moich dwóch chłopców i żony, pozostających w Łodzi, którzy tak samo oczekują mnie i tęsknią za mną, jak ci tutaj przede mną. Mściwość i zaciętość uleciała gdzieś bezpowrotnie... Schowałem mauzer do kieszeni i postanowiłem zaniechać planowanego zamachu. Kto wie, pomyślałem – może on pełni tę haniebną funkcję z musu, tak jak miliony żołnierzy po tej i tamtej stronie frontu, może w nim kiedyś odezwie się sumienie i wtedy stanie się pożytecznym członkiem społeczeństwa? Nie, nie chcę

zabierać dzieciom ojca, a żonie męża! Przebaczam mu winy popełnione wobec mnie, a w stosunku do organizacji, to przecież jesteśmy tak zakonspirowani, że on już jej nie zaszkodzi. Bibułę sprowadzamy za pośrednictwem poczty P. O. W. Na stacji w Radomiu nikt z nas nie wysiada, tylko o stację wcześniej, więc i wobec organizacji jestem w porządku... Kolegom oświadczyłem, że odkładamy akcję na czas nieograniczony, a ob. W. zakomunikowałem pobudki mojej nie-subordynacji. Naturalnie, że nie mogłem liczyć na pobłażanie. Skłął mnie siarczyście, a że był w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem (choć trochę narwanym) dał się udobruchać i wytłumaczyć sobie, dlaczego tak postąpiłem.

Podkreślałem z naciskiem, że zabójstwo szpicla rozbije nam organizację, że wzmogą się na skutek tego represje, a ja i inni będziemy zmuszeni do opuszczenia okręgu radomskiego. Następnie zamach ten może uniemożliwić planowaną przez P. O. W. konfiskatę pieniędzy austriackich pod Bąkowcem. Aczkolwiek powoli, to jednak W. przyznał mi w końcu słusność.

Szpicel po tygodniu został odwołany z Radomia, a mnie przestały dręczyć wyrzuty sumienia. bo w razie nowych aresztowań, byłbym za moją słabość, czy sentyment pośrednio odpowiedzialny.

Dziś, po wielu latach cieszę się, że tak postąpiłem, że uległem tym siłom duchowym, które nieraz w momentach rozstrzygających w rozgwarze walki, nienawiści i mściwości, przypominają człowiekowi jego obowiązki moralne i ludzkie, nawet wobec przeciwników i wrogów.

W WIĘZIENIU LUBELSKIM.

W zamku lubelskim, który pamiętał świetne dzieje Rzeczypospolitej, w murach, dźwigniętych za króla Kazimierza pomiędzy którymi wznosi się sławna strażnica – baszta zamkowa, z widokiem na okoliczne dalekie łąny, odbywaliśmy w roku 1918 karę więzienną.

Oskarżono mnie o zbrodnię obrazy „majestatu“, o kierownictwo akcją chełmską i t. p. przestępstwa.

Czesi, w charakterze austriackich kluczników i profosów, tak nam więźniom politycznym dali się we znaki, że identyfikowaliśmy ich z czemś brutalnym i podstępem.

W rozmowie zwykle Czesi urągali Austriakom, lecz kiedy ktoś z naiwnych wywnętrzył się szczerze i żądał potem jakiegokolwiek pomocy, otrzymał odpowiedź odmowną i wciągnięty był na skutek stosownej denuncjacji na czarną listę w kancelarii więziennej, jako „gefährlicher Verbrecher“ (niebezpieczny przestępca).

Wreszcie okradanie i nieludzkie traktowanie więźniów politycznych przez „kluczników“ doszło do takiego stopnia, że zmuszeni byliśmy rozpocząć głodówkę.

Zawiadomiliśmy telefonem więziennym wszystkie cele, w których odbywali karę polityczni, i rozpoczęliśmy trudną walkę.

Rano o oznaczonej godzinie zabrzmiały śpiewy, zadrżały mury od głosów, które, odbijając się echem, popłynęły w świat, zwiastować tym

wszystkim, pogodzonym z jarzmem austriackim i niewolą, że „Młoda Polska“ nawet w więzieniu nie wyrzekła się walki o swoje słuszne prawa.

Czuliśmy, że dziwna moc i wiara wstępuje w nasze dusze i unosi nas ponad te grube średniowieczne mury do słonecznej krainy wolności.

Śpiew przerwał brutalnie „klucznik“, wrzeszcząc przeraźliwie:

– Zawrzyjcie guby, sakramenckie kluki!

– Polub nas w nos! – odpowiedzieliśmy chórem.

Na takie dictum zatrzasnął z przekleństwem drzwi i po chwili czereda cała dozorców wkroczyła do naszej celi, łącząc nas ohydnie.

Mimo szykan, których nam nie szczędzono, po czterodniowej głodówce, uzyskaliśmy w zupełności żądane warunki. Większość jednak na skutek osłabienia odesłano do szpitala.

A byli wśród kluczników więziennych i tacy, którzy swój rzekomy radykalizm umieli doskonale pogodzić z bezwzględnym tępieniem polskości i niepodległości w naszym kraju, w okresie okupacji.

Pacholek policyjny czy urzędnik nawet słowianin podczas okupacji austriackiej znany był z chciwości szeroko i daleko. Niewolniczo i posłuszenie wykonywali wszelkie zarządzenia austriackich władz okupacyjnych, a w nagrodę za to, bankrutująca Austria, tuczyła ich naszą krzywdą sowiecie.

Zaiste tak jak solidarność klasowa i socjalistyczna tak samo solidarność słowiańska podczas wojny światowej zaginęła, gdzieś z kretesem. Umarł wtedy typ pacyfisty, humanitarnego człowieka słowianina, a pozostała przeważnie w ludzkim cielem, bestja i wojujące barbarzyństwo.

Gdy kiedyś akt ten dojdzie waszych rąk prawnuki,
Wspomnijcie o swych ojcach co ten dom wznosili,
Ślady w nim zostawiając budowania sztuki:
Ileż to lat upłynie od bojowań chwili,
Nim pismo wydobyte z pod głązów ukrycia
Choć niedokładny obraz naszego da życia.
WŁ. L. ANCZYC. „Pieśni zbudzonych“.

U SCHYŁKU CHMURNYCH DNI NIEWOLI.

Prawie od pierwszego roku wojny wszechświatowej los Austrii był przesądzony. Huk, pękającej pod arcyksięciem Ferdynandem bomby w Serajewie, był jednocześnie zwiastunem upadku Habsburgów i państwa. Kamarylla dworska i wojskowa w Wiedniu popychała kierowników nawy państwowej do coraz to nowych awantur i zaborów.

Dla utrzymania hegemonii niemieckiej nad większością słowiańską, każdy rząd austriacki lawirował, obiecywał i przede wszystkim podszczywał jednych przeciw drugim, tylko w tym celu, ażeby Habsburgowie odgrywali rolę rozjemców w wywoływanych przez siebie sporach.

Rząd austriacki, niszcząc kraj podatkami, otwierał zawsze szczerze skarbiec państwa na gadzinowe cele dla skorumpowanych stronnictw, dla klik, mafij wszelakich, dla polityków, uzależniając ich od stanowiska dworu. Dokonywano

nieraz ohydnych targów, nad duszą i sumieniem narodu, za koncesje udzielane za kulisami polityki, rodzinom wpływowych parlamentarzystów lub przywódców. Stan taki zabagniał życie polityczne państwa i przyczyniał się do hodowania karierowiczów politycznych, do nadmiernego wzrostu biurokracji, tych typowych radców i nadradców czarno-żółtych, którzy tworzyli uprzywilejowaną kastę, wysługującą się gorliwie dy nastji panującej.

W pierwszym okresie wojny Habsburgowie pragnęli aspiracje polskie związać z interesem państwowym Austrii; dopiero po ustąpieniu Ukraińcom Chełmszczyzny nastąpił stanowczy zwrot w stosunku do Austrii, nawet wśród najbardziej zagorzałych austrofilów, a społeczeństwo polskie zajęło jednolite, wrogie stanowisko wobec Austrii.

Okupacja austriacka w Królestwie, aczkolwiek łagodniejsza, aniżeli niemiecka, była jednak rzędem samowoli policyjnej i wojskowej. W systemie gnębielskim odgrywali, niestety, wybitną rolę Polacy, na służbie austriackiej.

W Radomiu panem życia i śmierci był generał Kwiatkowski, zniemczony Polak, wysoki, chudy, długonosy. Po polsku nauczył się dopiero podczas wojny. Był gorliwszym w gnębieniu do Polaków, aniżeli Austriacy. Zachowywał się w Radomiu, jak gdyby basza w Bośni i Hercegowinie.

Rozkład Austrii zmusił do częściowej kapitulacji okupantów, którzy zdecydowali się stopniowo przekazywać władzę administracyjną na terenie okupacyjnym, wysłannikom Rady Regencyjnej lub najstarszemu rangą Polakowi na służbie austriackiej.

Austriacy, czując bliski koniec swego panowania, wywozili rabunkowo z kraju towary i ziemiopłody.

W nocy z dnia 29-go października 1918 r., zebraliśmy się u jednego z radomskich adwokatów, ażeby zastanowić się nad dalszemi krokami. Obecni byli na zebraniu przedstawiciele miejscowych stronnictw, t.j. byli wojskowi, P.O.W. i P.P.S. Z tych elementów wyłoniliśmy konspiracyjny „Komitet akcji“.

W broń zaopatrzyli nas żołnierze okupacyjni Polacy i Czesi. W nocy z dnia 2 listopada o godz. 2-iej, rozsypani w tyraljerkę, ruszyliśmy na koszary. Prowadził akcję legionista por. Marjański.

Zaskoczono i rozbrojono załogę bez wystrzału.

Rankiem, Komisja, złożona z przedstawicieli miejscowego społeczeństwa, wraz z piszącym te słowa, udała się do komendy. Generał Kwiatkowski nie wiedział nic o tem, że w nocy pułk jego rozbrojono, szpiclów aresztowano, a władzę cywilną przekazano nowej Komisji tymczasowej, której przewodniczyłem.

W imieniu Komisji przemówił dr. Kelles-Krauz, zadając od Kwiatkowskiego oddania dokumentów i kluczy od kasy.

– Oddam władzę tylko wysłańcom Rady Regencyjnej – odrzekł Kwiatkowski.

– To w takim razie weźmiemy ją sami – odpowiedziałem.

Zatrząśł się oburzony, zerwał się z siedzenia, czerwony jak burak, wybiegł szybko do sąsiedniego pokoju. Usłyszałem, że telefonuje do koszar, opanowanych przez naszych chłopców.

– Herr Oberst, sofort eine Kompagnie mit aufgepflanzten Bajonetten. Aufhetzer befinden sich in meinen Kabinett, verhalten, schnell, wie möglich.

– Powieś się, austriacki dziadu – odrzekł mu dyżurny legun, pełniący wartę w koszarach.

Po takiej odpowiedzi Kwiatkowski wszedł do pokoju, zmieniony do niepoznania, pokorny i zrezygnowany na wszystko.

– Jesteś pan, panie generale, pod opieką polskich konspiratorów, których tak zaciekle, podczas swoich rządów w Radomiu prześladowałeś. W ciągu 24 godzin opuścisz pan miasto. Za bezpieczeństwo pańskie i rodziny gwarantuję.

– Czy mam oddać szpadę? – zapytał zalekniony.

– Zatrzymaj ją pan sobie.

– Za zbrodnię rozbioru Ojczyzny naszej spotyka obecnie Austrię los Polski – oświadczył uroczyście dr. Kelles-Krauz.

Z ulicy dobiegł szum tysięcy głosów, muzyka i pieśń nieśmiertelna: „Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskreszenia był“. Tłum zbliżał się do gmachu Komendy. W słońcu łopotwały sztandary. Żołnierze Polacy z garnizonu miejscowego zmieszali się z tłumem, rozradowani i zadowoleni, dekorując czapki austriackie narodowymi kokardami. Robotnicy z karabinami na ramieniu, pod komendą peowiaków, kroczyli na czele w szyku bojowym.

Generał Kwiatkowski zasłonił twarz rękami i płakał, powtarzając po niemiecku słowa bezładne i błagalne.

Czułem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego...

Łzy ciurkiem płynęły mi po twarzy z radości i wzruszenia. Chwila ta wynagrodziła mi stokrotnie lata tułaczki, więzienie, Sybir i prześladowania.

Radom, zgodnie z tradycjami powstańczeni z 1863 roku, rozpoczął pierwszy walkę z najdzieciami na terenie Kongresówki. Odwaliliśmy, z mocą i entuzjazmem radosnym, kamień grobowy Ojczyzny.

– Panie Generale, dokąd pan wyjeżdża – zapytałem.

– Do Krakowa, a potem do rodziny do Wiednia – odrzekł ponuro.

Z balkonu Komendy Powiatowej dobiegał donośny głos dr. Kelles-Krauza: „Powiewały z tego balkonu sztandary carskie, pruskie, austriackie, jako symbole wrogich państw zaborczych. Obecnie, w imieniu Tymczasowej Komisji Rządowej, zawieszam nasz znak narodowy Rzeczypospolitej Polskiej. Niech powiewa ponad trony, na chwałę ludu polskiego, na pohybel wrogom!...

– Niech żyje!... – rozległ się w odpowiedzi entuzjastyczny okrzyk tysięcy głosów, a orkiestra zaczęła grać hymn narodowy...

○ pater, o patria, o Priami domus! – szeptały usta, w uniesieniu, nieśmiertelne słowa Cycerona...

NA PRZEŁOMIE.

Twardym krokiem maszerowali po ulicach Lublina dnia 4 listopada 1918 r. „Wehrmachtowcy“ (wojsko polskie, organizowane przy poparciu Niemców). Stosownie do umowy Rady Regencyjnej z austriackimi władzami okupacyjnymi, władzę od nich przejąć mieli przeważnie wysłannicy Koła międzypartyjnego. Ażeby nie pozwolić na zakłócenie przygotowanej sielanki, bataljon „Wehrmachtu“, wyszkolony i wyekwipowany świetnie, miał w razie zaburzeń przypomnieć mieszkańcom Lublina o obowiązkach wobec trójcy rządzącej. Radom już dnia 1 listopada zrzucił pęta okupacji. General Rozwadowski, w imieniu Rady Regencyjnej, zawiadomił nas depeszą, że władzę we wszystkich miejscowościach obejmuje najstarszy rangą wojskowy Polak.

W ten sposób władza w Radomiu miała przejść w ręce dotychczasowego generała austriackiego Kwiatkowskiego, czyli że wszystko miało zostać po staremu.

Po naradzie postanowiliśmy rozporządzenie to ignorować. Komendę nad miastem objął komendant miejscowej P. O. W., porucznik Marjański. Generał Kwiatkowski oddał bez oporu władzę.

Wybuch ten nastąpił jednak nieco zawcześnie, to też bataljon „Wehrmachtu“ w razie spokoju w Lublinie miał przybyć do Radomia, celem zaprowadzenia „ładu i porządku“. Wyślana z Dęblina, przeciw Radomowi, kompanja, została w nocy z 3 na 4 listopada rozbrojona w Kozienicach przez radomską milicję ludową.

W Lublinie władza austriacka rozłaziła się coraz bardziej. Generał-gubernator Liposzczak rządził tylko pozornie. Dnia 5 listopada pod naciskiem zrewoltowanego tłumu wypuszczono z więzienia lubelskiego (Zamku) więźniów politycznych.

Pod wpływem wieści o klęskach na froncie włoskim dezercja w szeregach austriackich szerzyła się w sposób zastraszający. P. O. W. i Pogotowie bojowe P. P. S. przygotowało się do rozstrzygającej akcji.

Od Czechów i Austriaków kupowano za bezcen (nieraz za paczkę tytoniu) broń i amunicję.

Pogotowie bojowe P. P. S. w Lublinie rozporządzało w tym czasie 50 granatami i 200 karabinami. Po wsiach w okolicach ćwiczono się i przygotowywano do rozstrzygającej rozprawy.

Żandarmów, i gnębieli ludności, sprzątano w sposób szybki i sprężysty.

Z polecenia Tymczasowej Komisji Rządzącej na powiat radomski, zostałem wysłany do Lublina, ażeby zasięgnąć informacji o sile zbrojnej naszych przeciwników i o zamierzonej ekspedycji karnej.

W Radomiu rozbiliśmy i wypędziliśmy Austriaków już dnia 1 listopada. Straż Bezpieczeństwa pełniła Milicja Ludowa. Aparat administracyjny, złożony przeważnie z miejscowych sił, funkcjonował bez zarzutu.

W Lublinie dowiedziałem się, że za rozbrownienie przez nas kompanji „Wehrmachtu“ w Kozienicach, wyruszy w dniach najbliższych do Radomia ekspedycja karna.

Po otrzymaniu tych cennych informacji od oficera należącego do P. O. W., wysłałem do Radomia kurjera z poleceniem tworzenia jaknajliczniejszych kadrów Milicji Ludowej, oraz wysyłania w okolice stałych patroli.

W Lublinie, w lokalu szkolnym dyrektora Żeńskiej Szkoły Handlowej ob. Kunickiego, przy ul. Namiestnikowskiej Nr. 37, o godz. 9 wieczorem dnia 6 listopada zastałem w komplecie przyszły Rząd Ludowy.

Byli tam ob. ob. Arciszewski, Ziemięcki, Malinowski, Downarowicz, Sieroszewski i Thugutt.

Ob. Wojtek (Malinowski) zakomunikował mi, jak zwykle, na pół żartobliwie i tajemniczo, że nazajutrz ma nastąpić przewrót i proklamowanie Republiki Ludowej.

Jednocześnie ob. Thugutt oświadczył uroczyście, że zostałem mianowany komisarzem na powiat radomski.

Wyszliśmy razem na ulicę i tutaj w sklepiku ob. Thugutt przyłożył mi pieczętkę na urzędowym akcie nominacyjnym. (Poduszkę tuszową pożyczył ob. Thugutt od właściciela sklepiku).

W hotelu „Victorja“ omawialiśmy również z ob. Thuguttem kandydatury komisarzy na odpowiednie okręgi.

W dniu tym, najbardziej podniecony i wzruszony, rozgrywającymi się wypadkami, był ob. Sieroszewski.

W nocy z 6 na 7-go zostały wszystkie ważniejsze objekty w Lublinie i okolicy obsadzone przez P. P. S. i P. O. W. Zdobyto arsenał i 30 karabinów maszynowych.

Dnia 7-go listopada o godzinie 8-ej rano kompanjami, w porządku bojowym, wmaszerowała do Lublina P. O. W., składająca się przeważnie z członków Stronnictwa Ludowego.

Każdą pół-kompanję prowadzili byli oficerowie legionów w hełmach szturmowych.

Zdobyte samochody z chorągiewkami o barwach narodowych, z członkami rządu, mężami zaufania, sztabowcami, sunęły przez ulice miasta.

Oficerów z „Wehrmachtu“ otoczono i wzięto w hotelu „Victorja“ do niewoli.

Przerażeni Austriacy składali broń bez oporu. Bataljon „Wehrmachtu“ okopał się w koszarach na przedmieściu „Osada“ i oświadczył, że bronić się będzie.

Przedsięwzięto środki zaradcze, wzgórze otoczono, zdobytymi karabinami maszynowymi.

Z ob. Konradem wyjechaliśmy samochodem patrolować okolicę Rur Jezuickich (przedmieście Lublina), gdzie „Wehrmachowcy“ okopali się najsilniej.

Ażeby uniknąć rozlewu krwi i wyczerpać wszelkie środki pokojowe, wysłaliśmy, w celu pertraktacji, do żołnierzy, dyrektora szkoły ob. Kunickiego i prezydenta miasta Lublina, którego do tej czynności ściągnięto wczesnym rankiem z łóżka.

Po 15 minutowych pertraktacjach, w których żołnierzom przedstawiono bezsilność ich sytuacji, bataljon poddał się bez zastrzeżeń.

O godz. 11-ej rano na placu przed Katedrą miała się odbyć przysięga na wierność Republice Ludowej.

„Wehrmacht“, zamieniony w armię republikańską, P. O. W. i żołnierzy Polaków z armji austriackiej, mustrowano zawzięcie.

O godz. 9-ej tego dnia wpakowano Austriaków na pociąg i odstawiono do granicy. Pociągi, objęte w tym dniu przez kolejarzy, kursowały bez przerwy.

O godz. 11-ej rozległy się sygnały wojskowe. Lud robotniczy ze sztandarami, chłopci pod swojemi chorągwiami śpieszyli na uroczystość.

Plac zaległy tłumy. Wojsko ustawiło się w czworobok. Kapelan wojskowy wypowiedział głośno słowa przysięgi, za nim powtarzali żołnierze.

„Przysięgam Bogu, że Ojczyźnie i Polskiej Republice Ludowej służyć będę wiernie, z oddaniem wszystkich sił swoich. Ślubuję bezwzględne posłuszeństwo swoim przełożonym wojskowym, mianowanym przez Rząd Ludowy. Ślubuję bronić Ojczyzny swojej, aż do ostatnich sił swoich przed najazdem wroga, a lud Polski przed zamachami tych, którzyby prawa jego ograniczać chcieli“.

Muzyka zagrała Mazurka Dąbrowskiego, wojsko salutowało, tłum odstłonił głowy, wielu miało łzy w oczach. „Chwila była osobliwa“.

Po złożeniu przysięgi odbyła się defilada wojsk przed generałem Rydzem-Śmigłym, który w cywilnym ubraniu, stojąc na stopniach Unji Lubelskiej, przyglądał się swoim zuhom. Szeregi „Wehrmachtu“ wzbudzały karnością swoją podziw. Place i ulice zalegały uzbrojone tłumy, gotowe bronić do upadłego Ojczyzny.

Z balkonu hotelu „Victorja“ przemawiałem do zgromadzonych tłumów, wyjaśniając im cel powstania Rządu Ludowego. Okrzyki rozlegały się bezustannie, wywoływano członków Rządu Ludowego ob. ob. Sieroszewskiego, Downarowicza, Arciszewskiego i Malinowskiego.

W powszechnym uniesieniu odczuwano powiew nowych czasów i zmierzch dawnych bogów...

W WYZWOLONEJ OJCZYŹNIE.

NARESZCIE.

Po latach mąk, po latach nieustającej walki z najazdem, zabłysło nam nareszcie oślepiające światło wolności narodowej. Pękła potrójna obręcz carsko-prusko-austriackiej przemocy. Zdumiewający splot wypadków sprawił, że Polska odzyskała niepodległość wskutek rozbitcia i porażki trzech państw rozbiorowych.

Od mogił polskich, rozsianych po wszystkich frontach świata, płynął do nas tajemny zew naszego wieszczą; od umarłych – żywym, których oczy szczęśliwe widziały zmartwychwstałą Ojczyznę: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeżeli poległych ciałem dał innym szczebel do sławy grodu“...

Z ich mogił wyrosły, jak drogowskazy, słupy ogniste, wskazujące nową drogę obowiązku i ofiary.

Nie wyziębły serc naszych ani czas, ani niewola. W ogniu walki zdobywaliśmy nowe dostojenie duchowe i pożądanie czynu...

Ze słowa rodził się czyn, z czynu poświęcenie, rycerstwo i ofiara...

W zaciętych zmaganiach z najazdem, rodzili się bohaterowie i wyrastały coraz to nowe mogiły,

zachęcające żywych do dalszej walki... Wykrzesaliśmy z dusz naszych hart i wolę Trauguttów, Bardowskich, Osińskich, Kopisiów, Okrzejów, Gibalskich i Piłsudskich...

Nadstawialiśmy wichrom przeciwnym piersi, burzyliśmy – tworząc jednocześnie.

Zwyciężyła nareszcie sprawiedliwość dziejowa, zwyciężyła idea polskiej iredenty, zwyciężył nasz radosny, twórczy, jak moc życia – optymizm, zwyciężyła starczą niemoc ugodową, nasza wiara młodzieńcza, która, wbrew wszystkim czciicielom brutalnej siły, waliła taranem niezmożonej woli w świat fałszu, krzywdy narodowej i obłudy...

Wchodziliśmy, jako państwo niepodległe, do wielkiej rodziny narodów świata...

Ojczyzna nasza przestała się dusić w swoich sztucznych granicach. Po latach zrastała się na nowo w jeden potężny organizm państwowy...

Dla mnie skończyły się na zawsze dni spisków, burzycielstwa, więzienia i partyzantki. Rozpocząłem z wdzięcznym sercem, skierowanym ku Najwyższemu, nową erę życia...

Tworzyć, budować, godzić, łagodzić namiętności ludzkie, dla Polski mocarnej i potężnej... Wołanie to w duszy mojej stawało się coraz potężniejsze i silniejsze.

Nigdy w życiu nie zapomnę tych dni, które tłumiły mi oddech w piersiach i były zaiste przełomowym zwrotem mego 25-letniego burzycielskiego okresu walki z trójzaborcami...

Uciekałem z rodzinnego miasta jako banita, na którym ciążył czteroletni wyrok niemieckiego sądu wojennego, a wracałem jako pierwszy Komisarz Rządowy m. Łodzi. Chwile pamiętne i osobliwe... Biłem czołem przed Tobą, o Polsko

święta, jawiąca się moim oczom, przywykłym do
ciemni więziennych, w blasku błyskawic wojennych
i gromów...

* * *

○ Polsko moja, o życie piękne, wolne,
wszechogarniające, pełne niespodzianek, tajemnic
i treści... Przenikasz wszechświat cały swym
potężnym tchnieniem, płyniesz do nas, synów
ziemi, w promieniach wschodzącego słońca,
przejawiasz się w całej grozie, w huku piorunów
i łoskocie huczących fal morskich. Miljonowe
mrowie ludzkie i ziemia cała żyje Tobą, płynąc
w wszechświecie ku swemu przeznaczeniu...

Pulsujesz dziś w sercu i krwi mojej. Ożywasz
nasz naród, dziś już wolny i niepodległy swem
boskiem ożywcem tchnieniem. O życie wolne,
wyzwolone z kajdan i okowów, o życie nieśmier-
telne! Serce moje śpiewa ci dziś pieśń dziękczynną
w akordzie swoich uderzeń i wielbi ciebie nie-
ustannie faktem wolnego istnienia... Evoe vita!...

Łódź, dnia 15 grudnia 1918 r.

MOTTO :

Stanowisko komisarza ludowego w Łodzi było to jakby zmartwychwstanie owych trybunów ludowych antycznego Rzymu. Może nigdzie w Rzeczypospolitej Polskiej placówka ta nie była tak poważną i odpowiedzialną jak w Łodzi. Codziennie napływały tu tysiące byłych jeńców rosyjskich i niemieckich, przemysłu nie uruchomiono, robót publicznych nie podjęto. Sytuacja była poważna: masy bezrobotnych wzrastały, a głód i nędza są złymi doradcami. Potrzebna była silna ręka, jasny umysł i bardzo dużo taktu i dobrej woli. Chwilami sytuacja była tego rodzaju, że jedna iskra wystarczyłaby dla wzniesienia straszego pożaru.— „Komisarz Ludowy“, „Głos Polski“ Nr. 59, 1./III. 1919 r.

JAK BUDOWANO PIERWSZE ZRĘBY.

Dnia 4-go grudnia 1918 roku otrzymałem od ówczesnego Prezydenta Rady Ministrów, Jędrzeja Moraczewskiego, dokument następującej treści: „Mianujemy Was Komisarzem Rządowym na miasto Łódź aż do odwołania“.

Dnia 6 grudnia przybyłem z Radomia celem objęcia stanowiska.

Na stanowisku komisarza ludowego na miasto i powiat Łódzki zastałem obyw. Remiszewskiego, b. wojewodę lubelskiego.

Komisariat na miasto Łódź był urzędem nowokreowanym. Brak było instrukcyj, ustaw,

rozporządzeń. Władza pomiędzy powiatem a miastem nie była zupełnie rozgraniczona. Chaos stosunków administracyjnych w tym czasie regulowały częściowo okólniki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pozostałe kwestje czekały na stabilizację w przyszłości.

Zwołaliśmy jedną drugą i trzecią konferencję rozdzielenia-graniczną, sporządziliśmy kilka protokołów, przydzielono mi do komisariatu kilku urzędników i od tego czasu nastąpił rozwód administracyjny pomiędzy miastem i powiatem.

Czego wtedy nie załatwialiśmy?! A więc regulacja zatargów pomiędzy fabrykantami a robotnikami, walka z lichwą, rejestracja podejrzanych (a był ich legion), propaganda patriotyzmu państwowego i walka z żywiołami wywrótowemi na wiecach i na terenie Rady Delegatów Robotniczych. Instytucja ta (R. D. R.) rościła sobie prawo do władzy suwerennej na terenie łódzkiego okręgu przemysłowego. Na posiedzeniach tych upraszczano sobie wszystkie kwestje społeczne i państwowe, oczekując rychło chwili, kiedy zjazd delegatów rad robotniczych wyłoni nowy rząd i nową formę ustroju państwowego. Codziennie wybuchały przejawy, terroru ekonomicznego w Łodzi. Zamieszki, pochody uliczne nie wygasły nigdy. Każdy wiec kończył się pochodem, a każdy pochód awanturą uliczną z tradycyjnymi okrzykami: „Precz!“ lub: „Niech żyje“. Na monotonię życia społeczno-politycznego nikt wtedy narzekać nie mógł.

Masy, rozkołysane nadziejami i mirażami sowieckiego „szczęścia“ po uprzednim obłożeniu zmuszały nieraz głodem fabrykantów do udzielania zapomóg. Naturalnie, że nikt zobowiązań, wymuszonych pod przymusem, nie dotrzymywał.

Powiewy rewolucyjne z Zachodu i Wschodu, masy zdemobilizowane – były w tym czasie czynnikami fermentu i rozstroju. Rządy represyj mogły z jednej strony doprowadzić masy do wybuchu, a słabe znów rozzuchwałyby żywioły wywrotowe. Z tych przyczyn rząd premiera Moraczewskiego, reprezentujący środek, w tym czasie był klapą bezpieczeństwa, był on w tym okresie wrzenia społecznego koniecznością państwową.

Dochodziło nieraz do tragikomicznych sytuacji przy załatwianiu różnego rodzaju interesantów. Najwięcej zgłaszało się rezerwistek, hałaśliwie domagających się wyszukania zaginionych, podczas wojny światowej mężów, domagających się w przeciwnym razie zapomóg lub rozwodów... Trudno im było wytłumaczyć, że komisarz nie może rozstrzygać tych spraw. W odpowiedzi na to powtarzały z uporem: – Władza wszystko musi rozstrzygać!...

Z jednej z fabryk zakomunikowano mi, było to w grudniu 1919 roku, że tłum od dwóch dni oblega dyrektorów fabryki, domagając się zapomóg. Interwencja policji nie pomagała. Tłum kilkutyśięczny, uzbrojony w drągi, zajął taką postawę, że bez rozlewu krwi nie obyło by się. Na skromniejszą zapomogę, proponowaną przeze mnie, robotnicy zgodzić się nie chcieli. Rej wodzili wśród zebranych komuniści. To grozi rewolucją – tłumaczył mi dobrodusznie jeden z komisarzy policji. Zdawałem sobie sprawę, że przeżyte w Rosji przez niego chwile przyczyniły się do tego, że wyolbrzymiał najmniejsze zamieszki. W momencie jednak najbardziej naprężonym zdecydowałem się lepiej puścić na rozgorączkowane głowy z węzów fabrycznych strumienie zimnej wody, aniżeli ołów.

A był wtedy w styczniu mróz siarczysty... Woda jednak zrobiła swoje, po kilku minutach plac fabryczny opustoszał, a każdy, jak mógł, tak uciekał do domu, ażeby wysuszyć przemoczone ubranie. Wybieg ten uratował życie wielu ludzi, wobec sytuacji prawie, że beznadziejnej. Wielu delegatów, przygodnie wybieranych na wiecach lub na ulicy, domagało się zwykle nakarmienia, ubrania i udzielenia pracy dziesiątkom tysięcy bezrobotnych robotników. Bagatelka... Przemysł, zniszczony podczas okupacji przez Niemców, był nieczynny. Milczały olbrzymie maszyny, pozbawione miedzi, pasów i części składowych, przez popularnie nazywaną w Łodzi „Kriegsraubstelle“.

Sytuacja komisarza ludowego w takich warunkach była nie do pozazdroszczenia. Był on, jak Piekarski na mękach, w którego walili wszyscy t. j. z dołu i z góry.

* * *

Bardzo ciekawe materiały i dokumenty znalazłem w aktach niemieckiego wydziału politycznego prezydium policji. A więc tłumaczenie niemieckie kompletu odezw, wydawanych przez polskie organizacje konspiracyjne w Łodzi w okresie okupacji. Charakterystyka dość trafna i dowcipna działaczy politycznych w Łodzi. Listy gończe i afisze pościgowe, jakie rozsyłano do posterunków żandarmskich po mojej ucieczce z Łodzi w roku 1917 były dla mnie miłą niespodzianką.

Sprawa poszukujących posady stała się w tym czasie niemożliwą do zniesienia. W pierwszym miesiącu otrzymałem około 3000 ofert, a dwa razy tyle petentów starało się bezpośrednio mnie zjednać i przekonywać w domu, w biurze, na

ulicy, w tramwaju, słowem wszędzie, gdzie się ruszyłem, dowodzili z uporem, że szczęście i pomyślność urzędu, a nawet Polski całej zależną jest od stanowiska, jakie petent zamierzał osiągnąć w najbliższym czasie.

Niektóre oferty posiadały wstępy wierszowane, w innych „curriculum vitae“ mieściło się na kilkadziesiąt stronach, przeważnie jednak petenci zaklinali mnie na szczytne ideały ludzkości i narodu, grożąc w przeciwnym razie „zemstą mas“ lub innymi straszliwymi przygodami.

Delegacje zagraniczne należały również do siedmiu plag egipskich, w pierwszym okresie uzyskanej niepodległości. Podejrzane nieraz indywidua, zaopatrzone w zaświadczenia konsulatów obcych, penetrowały lub też ordynarnie, pod pokrywką różnych instytucji humanitarnych i dobroczynnych, wtrącały się do naszych spraw wewnętrznych, pretendując niemal do roli gwarantów Traktatu Wersalskiego, szczególnie w odniesieniu do spraw narodowościowych.

Pewien taki delegat oświadczył, że w charakterze przedstawiciela koncernu prasowego w Ameryce, pragnie się przekonać, czy prawdą jest to, co piszą gazety zagraniczne o ucisku mniejszości w Polsce. Oświadczyłem mu krótko, że lepiej będzie, gdy korespondenci amerykańscy zaczną się interesować kwestją, jak Ameryka współdziała w utrwalaniu niepodległości na Filipinach, oraz, jak się umacnia demokrację amerykańską za pomocą nienawiści r a s o w e j i linczu murzynów.

Podkreśliłem, że kwestja żydowska jest kwestją wewnętrzną Polski, a interwencje z zewnątrz mogą te problemy zaostriżyć, a nie złagodzić.

Delegacji angielskiej, na zarzut szalejącego antysemityzmu prasy łódzkiej i urzędów państwowych, odpowiedziałem: Niech rząd angielski zawiesi swój antysemicki „Morning Post“, to my to samo zrobimy u siebie. Zgoda narodowościowa w Polsce powstanie, jako rezultat współpracy gospodarczej i państwowej całego szeregu wysiłków i lat, a nie jako epilog komisji śledczych, które rozdrażniają tylko Polaków i nie mają żadnego charakteru obowiązującego dla nas. Podkreśliłem, że nietylko w Polsce te kwestje czekają na załatwienie, ale Irlandja jest dowodem, że sprawy te wymagają wiele czasu i cierpliwości.

Po tych wywodach, cudzoziemcy omijali mnie i zostawiali w spokoju, nadmieniając, że nie należę w udzielaniu informacji prasowych do zbyt grzecznych. Byłem z tej opinii, jako państwowiec, bardzo zadowolony.

Takie i tym podobne sprawy były na warsztacie działalności urzędowej pierwszego komisariatu ludowego w Łodzi, w pierwszym roku Niepodległości.

DOLE I NIEDOLE PREZYDENTA MIASTA ŁODZI.

Rząd Moraczewskiego otworzył wrota demokracji robotniczej do rad miejskich. Na miejsce dotychczasowych władców z wyborów kurjalnych weszli do magistratów nowi ludzie od młota, biur, kowadła i warsztatów.

Pomimo ciężkich warunków, spowodowanych wojną, jak również złą wolą zwolenników dawnego porządku, rozpoczęliśmy syzyfową pracę: utrwalenia i pogłębienia naszych prac przy pustej kasie, dziesiątkach tysięcy bezrobotnych w mieście i rozlicznych trudnościach, piętrzących się na na każdym kroku. Szczególniej nieuświadomienie mas co do naszych celów i dróg, wprowadzało nas nieraz w tragiczne sytuacje.

W pierwszym tygodniu mego urzędowania, jako prezydent m. Łodzi otrzymałem od towarzyszy, bliższych lub dalszych znajomych, około 300 ofert.

Pomimo dobrych chęci nie nadążyłem niestety, odpowiadać wszystkim, zgłaszającym się o pomoc.

Sytuacja pogarszała się z dniem każdym.

Pod drzwiami mego biura wzrastał liczebnie ogonek interesantów, domagających się posad... Każdy z nich powoływał się na referencje znanych mi osób, lub też na rzeczywiste lub zmyślane cierpienia, poniesione dla sprawy robotniczej. Początkowo odpowiadałem dość uprzejmie na różne nieuzasadnione pretensje i wymówki, lecz kiedy po trzech dniach ci sami przybywali, przypominać się w tej samej sprawie, wywiesiłem

z konieczności na drzwiach magistratu obwieszczenie, że „posad wolnych niema, a wobec złożonych pięciu tysięcy ofert, nowych nie przyjmuję“.

Dotąd miałem hece o posady w biurze, potem przeniosło się to do prywatnego mego mieszkania.

Kiedy wychodziłem z posiedzeń na pół godziny na obiad, to na korytarzu w magistracie, przed domem, gdzie mieszkałem i w samym mieszkaniu, oczekiwali na mnie kandydaci na posady. Powtarzała się znów stara historia; ażeby nie być nietaktownym i nie narazić się, tłumaczyłem cierpliwie, że w tej sprawie tylko dobre chęci nie wystarczają, ale trzeba mieć również odpowiednie kwalifikacje, znajomość biurowości, a przede wszystkim gruntowną znajomość języka polskiego, czego w podaniach nie uwidoczniło, gdyż roilo się w nich od błędów stylistycznych i ortograficznych.

Robotnikom wyjaśniałem, że liczba pracujących, zatrudniona przy robotach miejskich, jest ściśle określona etatem i kredytem, udzielonym przez ministerjum robót publicznych. Napróžno. Każdy z uporem powtarzał w kółko: „Przecież mnie jednego umieścić możecie“.

W następstwie nie tylko, że pracować ale spać spokojnie nie mogłem.

W nocy, rankiem, w południe lub wieczorem polowano na mnie, chwymano za poły palta po zebraniach, w tramwajach, w klubie i t. p.

Na ulicy dźwięczało mi coraz silniej w uszach cienko, basem, pojedynczo lub całą gamą głosów:

Posad!... Posady!... Posadami!...

Spotykanych znajomych witałem słowem „Posada“, rozpoczynając z góry na ten temat przygotowaną rozmowę i odpowiedź.

Miejscowa prasa endécka podjudzała złośliwie liczne rzesze bezrobotnych, nawołując prawie codziennie:

– „Idźcie do magistratu do Rzewskiego, on powinien i musi wam dać posady i pracę“...

Zamiast dawnych ogonków przybywały przed magistrat tłumy, które natarczywie powołując się na to, „co stało w gazecie“, domagały się... „posad i pracy“.

Aż nareszcie stał się cud...

Miasto otrzymało znaczne pożyczki na budowę wodociągów, kanalizacji i robót publicznych. Biura pośrednictwa pracy poszukiwały napróżno robotników, bo uruchomiony przemysł pochłonął całą nadwyżkę wolnych rąk roboczych nietylko w Łodzi, ale całym okręgu.

Nadwyżka naszego bilansu handlowego wynosiła 2 miliardy dolarów.

Polityka pokojowa naszego państwa i moc wewnętrzna sprawiła, że wdzięczne, wyzwolone, przez rząd Polski ludy, oraz nasi sąsiedzi, proklamowały, razem z nami Stany Zjednoczone Europy Środkowej

Rzeczypospolita Polska syta i oświecona, stała się najpotężniejszym krajem wśród państw świata.

— — — — —
Myśli moja snuj dalej nic czarownej baśni...
Prawda... lecz to tylko sen...

Słyszę przy drzwiach biura magistratu przekomarzać się woźnego, który wręcza mi plikę ofert o rozpacziwej treści z prośbą o posady... Jednocześnie melduje o przybyciu delegacji bezrobotnych...

Łódź, 1. czerwca 1919 r.

MOTTO:

Walczę z ideami z tłumami wrogów i z tłumami tych za kogo walczę. Ciągnę pług ku niezoranym rolom, których nieszczęsny lud orać nie umie. Idę ku nieznanemu światu...

„Róża“ Stefan Żeromski.

W OPAŁACH.

TAJEMNICE ZBIOROWEJ DUSZY TŁUMU.

Masa posiada swoją duszę zbiorową, swoje nieobliczalne kaprysy i nastroje, które nieraz zapalają się, wybuchają jak rakietą, lub gasną, jak spadające gwiazdy...

Tłum bez względu na przestrzeń i rasę posiada pewne wspólne cechy psychologiczne, które potęguje klimat, kultura lub właściwości charakteru narodowego.

Popędliwość, dzikość, okrucieństwo mas trzebi coraz skuteczniej religia, cywilizacja, demokracja, nauka, jednak w zakamarkach duszy zbiorowej czai się zagadka, która albo wznosi masę do nadludzkich wyżyn ofiarności i poświęcenia lub też przekształca ją w bestię bezlitosną i mściwą. Głód-mocarz doprowadza nieraz najspokojniejszych i zrównoważonych ludzi do wybryków i czynów nieobliczalnych. Dzieje buntów, to wybuch utajonej dynamiki niezadowolenia, która łamie i burzy stawiane jej przeszkody i tamy...

Zaiste tłum w działaniu, w akcji jest jak sfinks tajemniczy, litościwy i straszny, miłosierny i bestjalski, szlachetny i przestępczy, słowem wszystkie winy, upośledzenia wiekowe, krzywdy rzeczywiste i urojone wyrwały na nim swoje nie-samowite piętno.

„Królewską sztuką“ nazwał Platon umiejętność „sprzęgania dusz ludzkich“, umiejętność kierowania tłumem. Wielką tę cnotę posiadali podobno tylko bogowie i wybrani. A ileż jednak razy w ciągu dziejów tłum kamienował swoich wodzów i wybawicieli...

Tak było, tak jest... i tak będzie...

— — — — —
Przeżywałem raz w życiu chwile, które należą do tych niespodzianek zdumiewających psychologii tłumy i napróżno szukałem w niej logiki i związku, gdybym chciał zanalizować rozumowo te wypadki.

Zostałem prezydentem m. Łodzi, która wyniszczona przez Moskali, obrabowana przez Prusaków, zrujnowana wojną, przedstawiała w roku 1919 obraz nędzy i rozpacz. Były to rządy samorządu na ruinach... W mieście głodowało sto tysięcy bezrobotnych podszczuwanych i popędzanych przez głód i komunistów prawie codziennie na ulicę. Od powstałego niedawno państwa polskiego domagano się świadczeń, któreby nawet bogata Ameryka i Anglja uwzględnić nie mogły. Magistrat na czele którego stałem, był klapą bezpieczeństwa, piorunochronem lub też celem ataków tak z prawa jak i z lewa. Wiłem się jak piskorz, ażeby utrzymać jaki taki ład w organizacji samorządowej i byłem wtedy

podobny nie do prezydenta miasta, największego w Polsce po Warszawie, ale do Piekarskiego na mękach. Kto wtedy do mnie nie miał pretensji. Boże drogi!.. Bezrobotni, że nie mają pracy, inni że muszą płacić podatki, przyjaciele polityczni, że nie jestem cudotwórcą, sprowadzającym mannę z nieba, a wszyscy pozostali wołali pojedynczo lub zbiorowo wszędzie na każdym kroku, o każdej porze: posad, pracy, chleba...

Przy olbrzymich potrzebach, nie było ustaw podatkowych, zrównoważonego budżetu i środków na częściowe choćby zaspokojenie potrzeb i ran, zadanych wojną.

Masa przechyliła się nastrojami i sympatjami od komunizmu do pogromów żydowskich. Od teroru ekonomicznego, stosowanego masowo przeciw fabrykantom, w postaci przymusowego obłężenia i aresztów, do obcinania bród żydom i ekscesów anty-żydowskich, urządzanych w parkach miejskich. Trzeba było nieraz łagodzić sprzeczności klasowe, lub też uzbrajać radnych i tłumić na „Starówce“ krwawe awantury mętów społecznych...

Stosunki były takie, że człek szamotał się bezsilnie, kłął z rozpaczą lub płakał nieraz nad niedolą i ciemnotą ludzką...

Coraz częściej magistrat był w obłężeniu przez tłumy.

Miejski aparat aprowizacyjny, zależny od centrali w Warszawie, wydawał systematycznie kartki żywnościowe, ale mniej systematycznie żywność: mąkę, chleb i kartofle.

Psia była to doła... Złorzeczono nam za winy niepopołnione. Zazdroszczono nam władzy, zazdroszczono nam nawet, że stawiamy czoło przeciwnościom, że nie kapitulujemy przed

pogrózkami lub złą wolą. Czyniono nas odpowiedzialnymi za wszystko zło, co się działo na terenie miasta. Z natęrczywością i niecierpliwością domagano się od nas natychmiastowego realizowania reform jaknajdalszych, na terenie samorządu. Rzucano hasła, które działały, jak iskra na beczkę prochu, igrano z ogniem zbrodniczo, lekkomyślnie. Ministerstwo robót publicznych zlikwidowało roboty nad budową linii Łódź – Kutno, gdzie pracowało (inni twierdzili, że przelewano z pustego w próżne) 10.000 robotników.

Rząd zawiesił pracę, widząc marny efekt, prowadzonych robót, gdzie rej wodzili próżniacy i komuniści.

Gdzie wyładować nienawiść, gdzie pohulać można bezkarnie, jak nie w magistracie.

Hajda więc na magistrat!...

Robotnicy, podszczeni przez prowokatorów oblegli magistrat... „Na latarnię!“ „Wyrzucić ich oknem!“ „Dawać Rzewskiego!“ Stałem wśród grona urzędników miejskich przybity i zgnębiony. Patrzyłem z okna magistratu na to morze falujących głów, na ludzi, którzy na swych wybrańców podnosili szpadle, oskardy i kije... I za co, pomyślałem, z goryczą? Za to, że od dzieciństwa szedłem przez trud i znoje, za to, że za ten lud znosiłem razy i katusze więzienne. za to, że nie wiedziałem od lat wielu, co znaczy szczęście osobiste i odpoczynek?... Zabić go, zabić! – ryczał tłum coraz zapalczywiej. Zaczęto demolować tramwaj. Na przedzie jechali policjanci, gruchnęła salwa karabinów i po chwili kilkunastu rannych i zabitych wiło się w drgawkach śmiertelnych na Placu Wolności... Po chwili wyłamano drzwi magistratu i tłum wściekły, rozjuszony rzucił się na górę, kierując się do mego gabinetu...

Żałość chwyciła mnie za gardło, a w duszy przekora z ironją powtarzały mi ponuro: zapłacili ci za wszystko, zapłacili!...

Jak błyskawica przemknęła mi myśl wtedy: „Zamiast umrzeć tu pod razami tłumu, w biurze, idź na Plac Wolności i tam zgiń z honorem.“

Rzuciłem w sieni na ziemi posiadany rewolwer, zbiegłem na dół, wołając: „Chcecie mnie zabić, zabijajcie łotry i zbroje.“ I o dziwo, tłum wyjący nieludzko rozstał się z szacunkiem, przepuszczając mnie przez środek Placu Wolności. Jak wicher przebiegłem tę przestrzeń. Podniosłem z ziemi konającego robotnika i na rękach wniosłem go do pobliskiego sklepiku. To samo zrobiłem z drugim i trzecim. Koło głowy świsnęły mi kule, grzechotały strzały karabinowe policji. Po dwudziestu minutach powróciłem bez przeszkód do magistratu. Przed samym magistratem rzucił się na mnie jakiś osobnik z karabinem, odebrany zabitemu policjantowi Sztorchowi. Chciał mnie ugodzić z tyłu. Został rozbrojony przez samych robotników. Komisarz Jabs, który przy wyjściu mojem z magistratu, pośpieszył mi z pomocą, został rozbrojny i ciężko ranny... Precz z policją!“ „Niech żyją Rady Delegatów Robotniczych!“ rozlegały się okrzyki komunistów. Po chwili jednak puszczono pogłoskę, że do tłumu strzelano z lokalu gminy żydowskiej na Placu Wolności. Prowokacyjna ta plotka spowodowała, że nastroje komunistyczne zmieniły się nagle na czarnosecinne.

— — — — —
I nieraz zastanawiając się nad tym zajściem pomyślałem sobie: jakie straszne skutki wywołuje zawsze nienawiść, demagogja i zła a zbrodnicza agitacja... Chimera, plotka niszczy nieraz dorobek

wieków. A przecież ludzkość nie zrealizowała dotychczas najpiękniejszego hasła, najpiękniejszej od dwóch tysięcy lat idei, pukającej nieustannie do serc ludzkich: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.“ W słowach tych mieści się i szczęście ludzkie i braterstwo i solidarność narodów świata i miłość maluczkich. Bo odrodzenie świata i stosunków społecznych przede wszystkim z ducha czystego i ofiarnego zrodzić się musi...

Przez odrodzenie duchowe i moralne jednostki, zrealizuje się odrodzenie całego narodu...

Łódź, 1919 r.

MOTTO :

Car był dla Polski tyranem-Neronem,
Za to Bóg wstrząsnął jego państwa tronem,
I dziś na Sybir pędzą sługi cara,
Za krzywdy ludów spotkała ich kara...

W SPALE.

Wśród cudownej okolicy, otoczonej lasami, przerznętej srebrną wstęgą Pilicy, w zielonej dolinie, jakby wymarzonej na miejsce ciszy i ukojenia, leży urocza Spała... Dawniej dla bezpieczeństwa przebywającego tu cara, wraz z rodziną, konsygnowano zwykle w okolicy dwa pułki piechoty, a w samym pałacu spalskim dwa szwadrony Czerkiesów pełniło służbę straży przybocznej.

Stu szpicli, odznaczonych za wierną służbę, tworzyło oddział tak zwanej „kontrazwiedki“. Poprzebierani za chłopów, żołnierzy lub oficerów, nadstawiali wszędzie ucha, węsząc, czy pomimo środków bezpieczeństwa, nie znajduje się czasem w otoczeniu cara ktoś nieprawomyślny.

Służba pałacowa, rekrutowała się z byłych „ochranszczyków“, sprowadzonych z Rosji. Jedy-
nym Polakiem w pałacu był kamer-lokaj Głowacki.

Dawniej tu napelniano lasy umyślnie hodowaną do polowań zwierzyną, zagajniki pełne ptactwa, kuropatw i bażantów.

Drakońskie kary, nakładane na włościan za tępienie zwierzyny, sprawiały, że jelenie, sarny, pasaly się swobodnie z bydłem na łąkach.

* * *

Wybuchła wojna europejska. Sfora carska z bólem serca opuścić musiała ten uroczy zakątek.

W charakterze zwycięzców wkroczyli do płonącej Spały Niemcy. Spalił się wtedy pałacyk myśliwski margrabiego Wielopolskiego. W pierwszym roku Niemcy skradli i wywieźli kosztowne dywany perskie, potem przyszła kolej na mosiężne zamki i klamki, aż wreszcie chciwość prusko-monarchiczna zatrzymała się u wrót sypialni, gdzie znajdowały się dwa wytworne, złoczone, mosiężne łóżka carskiej pary.

Wobec zawilego problemu, Niemcy zwrócili się wtedy do kajzera Wilhelma, co czynić? Otrzymali odpowiedź: „że majestat cesarski, nawet nieprzyjacielskiego panującego, nie pozwala na podobne świętokradztwa i wobec tych pamiątek rozkazuje zachowywać się wojskowym z należytą czcią i szacunkiem“ (Mit grösster Hochachtung), dosłownie. Łóżka ocalały... Tradycji monarchicznej stało się zadość, a każdy oficer pruski, wchodząc do carskiej sypialni, stawał na baczność... Złośliwi twierdzą, że cześć tę oddawano szafce nocnej, w której znajdowały się dyskretne przedmioty.

Korzystając ze sposobności, że w interesie miasta, znajdowałem się w lasach spalskich, udałem się do pałacu, ażeby zwiedzić miejscowość, o której opowiadano wiele...

Budynki pałacowe myśliwskie z werandą, bez ozdób, skromnie otoczone krzakami tuji, czynią na widzu wrażenie miłe. Mieszkania dla służby, leśnictwa, elektrownia, wodociąg, najnowsze urządzenia techniczne, stawy, sztuczne parowy, doliny, place do gier sportowych, zajmują dość znaczną przestrzeń.

Urządzenia wewnątrz pałacu, przypominają raczej hotel, aniżeli pałac. Małe pokoiki wielkością, tchną spartańską wprost skromnością.

Sala przyjęć o skromnych meblach ze staroświeckimi kominkami, u góry kandelabry elektryczne, zbudowane z rogów żóbrów i jeleni, wyglądają oryginalnie i interesująco.

Na ścianach mnóstwo rogów z upolowanych przez cara i wielkksiążąt jeleni z nazwiskami myśliwych na tabliczkach.

Z polskich nazwisk widnieje jeden napis: Margrabia Wielopolski.

Zwiedzając pokoje carskie, zastanawiałem się nad zmiennymi kolejami losu... Przed dwunastu laty z rozkazu ongi wszechwładnego cara, pędzono mnie w kajdanach na Sybir... Dziś potęga cara rozsypała się w proch; za popełnione nad ludem polskim i rosyjskim zbrodnie, dotknęła go ręka sprawiedliwości dziejowej.

Ktoby przypuszczał przed kilku laty – pomyślałem – że „buntowuszczyk“ zwiedzać będzie pałac carski i rozmyślać nad nicością potęgi, opartej na gwałcie i przemocy.

* * *

Spała znajduje się obecnie pod zarządem Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych, hipotecznie jednak jest jeszcze osobistą własnością cara.

Oprowadzał mnie po pałacu dawny kamerlokaj carski, Polak Głowacki. Ażeby się dowiedzieć szczegółów pałacowych, rozpocząłem z nim rozmowę, odpowiadał dość chętnie na zadawane przeze mnie pytania.

– Panie! Cesarz to był dusza człowiek, honorowy był bardzo. Czasem dwór się bawił, a on pisał i pisał w swoim gabinecie. Po polsku nie umiał wcale. Cesarzowa z córkami mówiła ze sobą

po francusku i niemiecku. Po rusku mówiła tak jak każdy Niemiec, śmiesznie. Służę 30 lat już... Oj miałem ja ci dobrze!... 85 rubli miesięcznie, wszelkie wygody, a jak cesarstwo byli, to 100 rubli za każdą razą dostawałem i podarunek: zegarek, pierścionek albo inne“.

– A mówił do was kto w pałacu po polsku?
– zapytałem.

– A juści! Pan margrabia Wielopolski. Nie wstydził się, tylko gadał przy wszystkich, chociaż za to wyśmiewali się z niego.

Raz cesarz zawołał mnie do siebie i pyta się: „Wy nazywajecie Głowacki?“ – „Toczno tak, Wasze Wieliczesstwo“ – odpowiedziałem. Popatrzył na mnie, poklepał po ramieniu i sam nie wiem, co chciał odemnie – rzekł zadumany.

– A ja wam powiem, dlaczego się was pytał...

Bartosz Głowacki, chłop ze wsi Rzędowic w 1794 roku 4 kwietnia, podczas powstania Kościuszki, zgromił strasznie Moskali pod Racławicami. Zdobył armaty moskiewskie, za co Kościuszkę mianował go oficerem polskim. Carowi widocznie przypominało się jego nazwisko i pomyślał, że jesteście może krewniakami tego „buntow-szczyka“, co krew przelewał za Polskę...

– A może być – powtarzał wzruszony stary. – Ja jestem z Radomskiego, a dziadek był z pod Krakowa...

Spała, ma 1919 r.

MOTTO:

O wy niscy, o wy ciemni i okrutni i nikczemni,
Wy przewiedźcie w nicość dusze
Bez ducha Faryzeusze.
Wy kuszące piorun Boży —
Aż was w proch tu położy...
Wy szpiegowie i wy katy
Z wypranymi od krwi szaty
Nasza mowa czysta, święta
Bo z anielskich krain wzięta
By was nazwać — — — Po imieniu!...
Wam nagrobek ten — zwierzęta!...

Z. KRASIŃSKI — 1841 r.
z „Przedświtu”.

NEMEZIS DZIEJOWA MŚCI SIĘ.

W 1922 roku zatrzymałem się podczas podróży w jednym z miast austriackich. Od 1909 r., kiedy byłem w tem mieście — upłynęło dużo wody.

Dawna Austria, zawdzięczająca swoją mocarstwową potęgę przewrotnej zasadzie: „dziel i panuj“, rozleciała się w wojnie światowej. Większość słowiańska rozsadziła dynamiką budzącego się życia narodowego, strupieszając monarchję Habsburgów.

Dziś już nikt tam nie myśli o światoburczych planach, a każdy chciałby spokojnie bez zadzierania z sąsiadami zabezpieczyć swój dobrobyt i kraju.

Dla odświeżenia wspomnień poszedłem do znajomych knajpek, gdzie się zbierała dawna emigracja polityczna polska, rosyjska i łotewska. Pomimo lat dwudziestu zmieniło się jednak niewiele. Za bufetem zamiast ojca, który zginął podczas wojny wszechświatowej, stał syn, podobny jednak jak kropla wody do swego papy. Lokal odświeżony, lecz na ścianach zamiast portretów: Adlera, Marksa, Bebla i Lasalla, wisiały tylko obrazy, przedstawiające piękne krajobrazy górskie Tyrolu.

– Zmienił Pan przekonania? – zapytałem.

– Myślę i głosuję tak jak mój ojciec.

– Jednak trzeba być dla interesu neutralnym, bo obecnie naszym stałym gościom rosjanom nie bardzo się Marks podoba – odpowiada.

– Dlaczego?

– Widzi Pan – dawni nasi klienci-rewolu-cjoniści są dziś w Rosji sowieckiej mężami stanu, dyplomatami, komisarzami, a obecni emigranci, to dawni dygnitarze carskiej Rosji, którzy Marksa uważają za sprawcę ich upadku.

– Zresztą, niech Pan przyjdzie dziś do nas na obiad, to pozna Pan naszych gości.

Po dwu godzinach przybyłem do lokalu. Na niewielkiej estradzie stało pianino, na którym jakiś rosjanin smętnie wygrywał „Wołga Wołga ma’ rodnaja, Wołga russkaja rieka“!

Gospodarz poinformował mnie, że muzykant jest byłym zastępcą naczelnika żandarmerji w Łodzi, a skrzypkami b. policmajster m. Tuły... Po chwili lokal zaczął się zapełniać typami, które były najzupełniej podobne do tych dawnych z przed dwudziestu laty. Przeważały czarne rubaszki, typy wykolejeńców życiowych o wzroku



*Pomnik dla uczczenia poległych w walce z najeźdźcą
w latach 1906-7-8 wzniesiony na polesiu Konstanty-
nowskiem w r. 1923 przez robotniczy Magistrat
m. Łodzi z inicjatywy ówczesnego prezydenta
miasta ALEKSEGO RŻEWSKIEGO.*

smętnym lub dzikim. Niewiasty o wyzywającym spojrzeniu, uszmkowane przesadnie, reprezentowały ostatnie mohikanki arystokracji.

Podczas obiadu padały w rozmowie dosadne rosyjskie przekleństwa i wyzwiska, wzrastało to specyficzne zacierzewienie rosyjskie, w toczonej dyskusji „princypialnost“, skłonność do abstrakcyjnego ujmowania zagadnień życiowych. streszczające się ostatecznie w jednym słowie rezygnacji i pesymizmu: Naplewat!...

Po chwili poprosiłem jednego z Rosjan, profesora uniwersytetu i filozofa, który skwapliwie skorzystał z propozycji.

– No cóż, jak się Wam powodzi?

– Podle. Każdy z nas nauczył się już rzemiosła, ale praca „djabło-marnie“ idzie. Niewiasty pracują w modniarstwie, hotelarstwie i kabaretach. Doczekać się nie można upadku w Rosji tych s... synów.

– A nie żal Wam tych, których kiedyś, jako warstwa rządząca, zsyłaliście na Sybir, katowali i mordowali?

Czy nie przyszło Wam kiedyś na myśl, że to jest kara Boża za wasze poprzednie czyny?

– Jerunda!...

– A jednak, widzicie z rosyjskimi rewolucjonistami, przebywałem przed dwudziestu laty w tej samej knajpie, żebyście i wy po latach skosztowali również męki banicji, wygnania i niedoli.

– Może i Pan ma rację, ale tak jak kiedyś wasi mesjaniści polscy, chcieli odkupić ludzkość całą przez Polski mękę i krzywdy, tak samo Rosja przedwojenna, odkupuje swoje winy długoletnie, jak Chrystus narodów, wobec własnego i obcych ludów całą hekatombą ofiar i cierpień.

Nie byłoby Boga w niebie, gdyby nie wysłuchał modłów i skarg naszych!...

Słowa te wypowiedział ze łzami w oczach, przejęciem, zaciętością i bólem.

Jak to się jednak dziwnie plecie na Bożym świecie – pomyślałem: Ktoby przypuszczał przed dwudziestu laty, że żandarm, który przesłuchiwał mnie w Łodzi, podczas badania, będzie emigrantem politycznym i grajkiem, w tem samym mieście, z którego nieraz słałem listy do kraju, pełne tęsknoty do matki i swoich najbliższych... Nemezis dziejowa mści się...

REFLEKSJE.

NA POLESIU KONSTANTYNOWSKIEM...

Polska Niepodległa umożliwiła nam, że miejsce święte, w czasach niewoli, znajdujące się w zapomnieniu i pohańbieniu, możemy uczcić godnie, jak przystało na spadkobierców, orężnej rozprawy z najazdem.

I nie tylko Polska uczciła tych, co na ziemi ojczystej legli, w walce z caratem, ale na katafalku, śmiertelnym całunem i sztandarem narodowym okryci wracają „z ziemi obcej do Polski“ najdzielniejsi, najszlachetniejsi, najofiarniejsi dla Polski i Jej chwały. Wróciły do nas z Francji prochy Juliusza Słowackiego, Dostojnego Króla-Ducha i spoczęły na Wawelu, aby wieszcz nasz „królom był równy“. Wróciły prochy Joachima Lelewela, niezłomnego szermierza demokracji, nauki, wodza duchowego polskiej rewolucji z roku 1830.

Wróciły do nas z dalekiej Syrii z Alepo, owinięte w sztandar wskrzeszonej państwowości polskiej, śmiertelne szczątki wodza rewolucji polskiej i węgierskiej, generała Bema, ażeby spocząć już na zawsze wśród swoich...

Walczyliśmy na wszystkich frontach wolnościowych świata o wyzwolenie ludów Europy, z pod jarzma tyranów, i w dniu poświęconym

pamięci zmarłych, zwracają się oczy dusz naszych ze smutkiem i żalem do mogił tych wszystkich, wiernych synów ojczyzny, którzy legli na obcej ziemi. Do tych wszystkich bohaterów którzy na ostrzach szabel i bagnatów roznosili po świecie całym ewangelję, wierzącej i walczącej Polski. Zwracają się oczy nasze do świętych i czczonych w narodzie prochów Kazimierza Puławskiego, które spoczywają w głębinach oceanu, do prochów genialnego Sułkowskiego, spoczywających pod skwarnem niebem Egiptu, do grobu Langiewicza oraz Bosała-Haukego, który zginął w obronie Francji, broniąc jej przed najazdem prusaków i tych wszystkich bezimiennych, nieznanymi mogił polskich, nad którymi unosi się Polska nieśmiertelna, sława, honor i obowiązek. Wojna wszechświatowa rozsypała mogiły polskie po całym świecie. Wszyscy ci bohaterowie w służbie wyznawanych idei wznieśli się najwyżej. A ilu legło w walce z przymusu, przeklinając zaborców, za których sprawę walczyć musieli?...

Polska w tych czasach walki dzieliła się zawsze na tak zwanych ludzi rozsądnych i szalonych. Rozsądni mierzyli życie narodu bujną i bogatą – cyrklem, miarą i wagą, szaleńcy realizowali to, co tkwiło podświadomie, w sercach milionów, to, co się ostało dobrego w sercach ludzkich w okresie upadku i niewoli.

Szaleńcami byli konfederaci barscy, szaleńcem był Kościuszko, Dąbrowski, Wysocki, Napierski, Mochnacki, Lelewel, Traugutt, Mierosławski, Montwiłł-Mirecki, Okrzeja i Piłsudski!...

Listopad, miesiąc umarłych, jest jednocześnie tym świętem polskiego nieśmiertelnego szaleństwa. W listopadzie 1830 roku wybucha powstanie narodowe, a potem po długich latach niewoli znów

13 listopada 1904 r. przed kościołem wszystkich świętych, na placu Grzybowskiem w Warszawie rozpoczyna się nowy okres zbrojnej walki ludowej polskiej klasy robotniczej o Polskę Niepodległą.

W rok później, 1 listopada masy zrewoltowane w Warszawie domagają się uwolnienia więźniów politycznych z Ratusza. Szarżują kozacy i w walce zaciętej z żołdactwem pada setka rannych i zabitych. Dnia 11 listopada 1918 roku wybuchają walki z okupantami, oraz ostateczne wypędzenie najazdu z ziem polskich.

Zaiste miesiąc ten jest nie tylko miesiącem polskiego szaleństwa, ale dniami wyroczni narodowej, związanej tajemnie z losami Polski.

Aż doczekaliśmy się po latach walk i rzezi międzynarodowej naszego renesansu, nowej wiosny ludów. Powstało z martwych wiele nowych państw do niepodległego bytu państwowego. Rozluźniły się lub zerwane zostały bezpowrotnie okowy niektórych narodów świata. Zdumiewający spłot wypadków wojennych sprawił, że Polska odzyskała niepodległość, wskutek rozbicia i porażki trzech państw rozbiorowych.

I jedynie czynowi zbrojnemu garści legionistów i ich Wodza, Polska zawdzięcza, że w tej przełomowej chwili, nie została biernym podmiotem historii, ale wobec świata całego złożyła dowody swej żywotności.

Wszystkie te refleksje i rozważania, wiążą się ściśle z poległymi, z ich ideałami w dniu ich święta i uroczystości, poświęcanych mogiłom...

Bo ten, kto wierzy w prawo postępu, w przyszłość, ten nie może być czarnowidzem. Jego optymizm będzie gwarancją duchową lepszej przyszłości.

Duch zwycięstwa i wiary musi przenikać naród cały, masy ludowe, które stopniowo w ten sposób realizują swoje rojenia i marzenia o przebudowie świata.

Gdybym był zdolny wskrzesić tych poległych bojowców i zapytać ich: „co żądacie od nas, abyśmy godni byli waszej ofiary?” – usłyszelibyśmy napewno odpowiedź: „Przetrwajcie tak życie, żebyście poraz wtóry uniknęli ofiar niepotrzebnych, uniknęli utraty niepodległości, niewoli i pohańbienia.”

Groby samotne na obczyźnie, krew przelewana za obcą, a nieraz wrogą sprawę, hekatomba ofiar, nakazują nam bronić Państwa Polskiego i jego obecnych granic aż do ostatniego tchu, aż do ostatniej kropli krwi naszej...

Serca nasze są w powinowactwie z temi mogiłami. Przejeliśmy po nich bogatą spuściznę woli i ducha, zasiew krwi, wsiąkający w tę ziemię, wydał oczekiwany przez nas plon wolności. Dzwony żałobne dzwonią w dniu 1 listopada w Polsce całej, na cześć zmarłych, na cześć poległych. Niechaj rozbrzmiewa ten dźwięk doniośle i potężnie, obwieszczając triumf nieśmiertelnego ducha ludzkiego, który nakazuje nam trwać, wierzyć i walczyć o dobro społeczne i państwowe.



Uroczyste przewiezenie zwłok, poległych za wolność Bojowców w okresie rewolucji

MOTTO :

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg,
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Co raz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg !...
Ale nie depreczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wzniesić:
Na nich się wiecznie święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć!
„Do młodych“ — Adam Asnyk.

RESTAURARE OMNIA IN CHRISTO.

Wśród rozgwaru twardego życia, kiedy człowiek człowiekowi wilkiem się staje, z odmętu namiętności, poziomych trosk i cierpień, unosi się nieraz duch ludzki z ulgą i rozkoszą do tych prawd wielkich, a głębokich, z których powstały wielkie tęsknice ludów.

Wielkie idee ludzkości, ukochanie prawdy, słońca, wolności, trudu i pracy tkwią w przepięknych przypowieściach ewangelicznych Chrystusa, które spływają cicho, jak nurt strumyka, na zbolełe życie dusze ludzkie.

Nauka Chrystusa była i jest wyrazicielką tych, co cierpią i walczą o lepsze jutro... Religja czysta jest oazą ukojenia, nadziei, wytrwania, piękna i nieśmiertelną tęsknotą za nieskończonością...

Wszystko to, co wzniosłe, to, co powstało w cudnych snach młodzieńczych: udręczonych serc naszych pragnienie, marzenia promienne, nieziszczone, znajduje swój wyraz w ideałach chrześcijaństwa.

Restaurare omnia in Christo!...

— — — — —

Pomimo niewiary i sceptycyzmu otwierają się przed ludzkością wierzeje wiodące w nieznaną dotychczas tajniki. Ciężki materializm zabija polot ducha i przygniata kamieniem bezdusznej teorii wszystko to, co rwie się do odrodzenia i czynu. Niewiara wypływa zawsze z rozterki, niemocy i chępliwości ludzkiej.

Religja wytwarza skojarzoną jaźń społeczną, reguluje życie psychiczne w zespołach ludzkich, a w misterjach, podczas silnych napięć mistycznych, podnosi ludzi wzwyż do wieczności, zlewa z przyrodą, wszechświatem i brata z całą czującą ludzkością...

Zkultywowania poczucia religijnego i nastrojów religijnych, zewnętrznie objawionych z wysubtelnienia metody kazania i nauczania, władania wolą, uwagą, myśleniem słuchaczy, z nastrojów misteryjnych, zrodziła się sztuka artystyczno-mistyczna, która wzniosła ducha ludzkiego do niebywałych wyżyn piękna i poezji...

Gdy w szczęściu, lub nieszczęściu, w rozpaczy i uniesieniu, jakby łuski spadają z oczu, wieje mroźny wiew z zaświatów i otwierają się

zmysły na subtelniejsze drgania w przestrzeni – to poczucie religijne swoje misterja snuje. Myśl i uczucie bywają wtedy religijnymi, gdy zdążają w wieczność, w nieskończoność, w niepoznawalne dziedziny, i szukają tam oparcia, związku.

Poryw poczucia religijnego jest nadzwyczajną potęgą. On zespala, ściąga siły, cuda tworzy, krzepi wolę i uspokaja, łagodzi, podnosi człowieka, łączy go z wiecznością, i w ten sposób wyzwala i przygotowuje do czynu... Każde rozpatrywanie z wewnętrznym skupieniem swej znikomości w porównaniu z potęgą przyrody, każdy wewnętrzny krzyk w przestrzeni, żądający sprawiedliwości, ratunku – to przejaw poczucia religijnego.

Takim był nasz polski mistycyzm mesjanistyczny. Uczeni, poeci, idealisci, męczennicy idei, ludzie poświęcenia i ofiary mają najczęściej poczucia religijnego, chociażby się nawet nazywali ateistami. Oni wciąż zwracają się do wieczności, wzywają pomocy najtajniejszych sił, w nich i po za nimi ukrytych; ci ludzie nieświadomie nieraz najczęściej się modlą prawdziwą wewnętrzną modlitwą religijną.

Prawdziwym narzędziem wyższych uczuć religijnych, kosmicznych, jest ekstaza. Im silniejsza ekstaza, tem czystsza religijność. Natchnienie bohaterskie, społeczne, naukowe, artystyczne jest stanem zbliżonym do ekstazy.

Organizowanie psychiczne wielkich zbiorowisk ludzkich odbywa się tylko w kultach religijnych, wspólnych śpiewach uroczystych, wśród uniesień, które uszlachetniają ludzi, wznosząc ich na wyższy stopień etyki i duchowego poznania. Jest to podnoszenie i przetwarzanie społeczeństwa na

drodze moralnego rozwoju. W szlachetnym kierunku skierowane wysiłki, wydać mogą tylko błogie skutki dla narodu i ludzkości.

— — — — —
Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi...

Błogosławieni którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni...

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości...

Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą i prześladować was będą i mówić wszystko złe przeciw wam...

Bądźcie wy tedy doskonali, jak Ojciec wasz niebieski doskonały jest...

Będiesz miłował Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego jak siebie samego...

— — — — —
Tak mówił Chrystus... Buntownik, reformator, wódz uciśnionych, pogromca obłudy, Mistrz serc i dusz ludzkich.

— — — — —
Po kilkunastu wiekach słowa te nie straciły na mocy i sile. Są pokarmem duchowym dla milionów... Powoli, lecz skutecznie, tępią chwasty w duszach ludzkich i wskazują ludzkości drogę ku szczytom. Biję od nich majestat wielki i Boskość...

— — — — —
Wierzę w zwycięstwo prawdy nad kłamstwem, światła nad ciemnością, sprawiedliwości nad krzywdą i wierzę w cudowną moc odrodzenia dusz ludzkich przez naukę i słowa Twoje, o Chryste!...

— — — — —

A ziemia polska rozśpiewana wichrem, szumem swoich lasów i fal wiślanych, powtarza dziękczynnie od gór Karpackich, aż po Bałtyk siny: „Chwała na wysokościach Bogu za to, że błogosławił nam w naszej walce o wolność, za to, że dał świadectwo pogwałconej prawdzie i sprawiedliwości dziejowej“.

— — — — —

SPIS RZECZY.

W WALCE Z CARATEM.

Władysław Gacki: Przedmowa	5
Przerwana pieśń,	9
Na barykadach Łodzi	17
Wspomnienia o Komendancie	21
Pamiętki po Piłsudskim w Łodzi	24
Z walk Kainowych Łodzi	28
Bostonka	31
Wigilja w więzieniu	35
Łódzka Golgota	39
Na Zmartwychwstanie.	40
O zmroku	44
Grypsanka	48
Spiącony dług	52
Z dziejów łódzkiej prowokacji	55

ŻYCIORYSY.

Wódz bojowców	63
Z szeregu najdzielniejszych	77
Rycerz niezłomny	84
Orla dusza	94
Jak w bajce	99

W DRODZE NA SYBIR. NA ZESŁANIU.

Koncert w Butyrkach.	107
Starym szlakiem zesłańców.	112
Bez winy	116
Końska kuracja	119
Żelazny argument	122
Posiew fanatyzmu	127
Wiry	132
Z niedawnej przeszłości	137
Z odmětów niedoli	140

NA EMIGRACJI.

Z kart chlubnej przeszłości	149
Wspomnienia z emigracji	153
Na obczyźnie	170

OBLĘŻENIE ŁODZI.

W WALCE Z OKUPACJĄ NIEMIECKĄ.

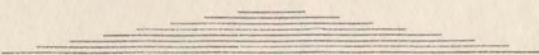
Z krwawych dni	159
Pamiętne słowa	164
W obronie sztandaru	166
Wieczór wigilijny pod strażą szpicli pruskich . .	174
Ucieczka	178
Na granicy okupacji niemieckiej	184

W WALCE Z OKUPACJĄ AUSTRJACKĄ.

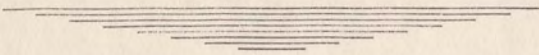
Pierwszy seans hypnotyczny	189
Pralnia paszportów i konspiracyjne wiadro . . .	193
Przeszkoda	198
W więzieniu lubelskiem	202
U schyłku chmurnych dni niewoli	204
Na przełomie	209

W WYZWOLONEJ OJCZYŹNIE.

Nareszcie	217
Jak budowano pierwsze zręby	220
Dole i niedole prezydenta miasta Łodzi	226
W opałach	229
W Spale	235
Nemezis dziejowa mści się	239
Refleksje	243
Restaurare omnia in Christo	247



Przeczytaj książkę:
„Powieść o czternaściorgu dzieciach”
a napewno polecisz ją czytać każdemu,
a szczególnie młodzieży.



ZAKŁADY GRAFICZNE
J. K. BARANOWSKIEGO
W ŁODZI
UL. PIOTRKOWSKA 109.